

BARSOOM VI

Edgar Rice Burroughs

WŁADCA UMYSŁÓW Z MARSA



Wyjątkowa seria z amerykańską, brytyjską i rosyjską science fiction i fantasy

Książki i e-booki Edgara Rice'a Burroughsa w serii Galaktyka Gutenberga:

### **cykl Barsoom**

Księżniczka Marsa

Bogowie Marsa

Władca Marsa

Thuvia, wojowniczką Marsa

Szachiści Marsa

Władca umysłów z Marsa

Wojownik Marsa

Miecze Marsa

Sztuczni ludzie z Marsa

Llana z Gathol

### **cykl Pellucidar**

We wnętrzu Ziemi

Pellucidar

Tanar z Pellucidaru

Tarzan w Pellucidarze

Powrót do epoki kamienia

Kraina Grozy

Serię można subskrybować w całości. Dla subskrybentów specjalne edycje powieści i zbiorów opowiadań znanych pisarzy amerykańskich.

Seria dostępna wyłącznie w księgarni [Solarisnet.pl](http://Solarisnet.pl)





**Edgar Rice Burroughs**

**WŁADCA UMYSŁÓW  
Z MARSJA**

Przełożył  
Tomasz Walenciak



# Spis treści

Wyjątkowa seria...

Karta tytułowa

ROZDZIAŁ 1: HELIUM. 8 CZERWCA 1925

ROZDZIAŁ 2: DOM ŚMIERCI

ROZDZIAŁ 3: AWANS

ROZDZIAŁ 4: VALLA DIA

ROZDZIAŁ 5: UMOWA

ROZDZIAŁ 6: NIEBEZPIECZEŃSTWO

ROZDZIAŁ 7: PODEJRZENIA

ROZDZIAŁ 8: UCIECZKA

ROZDZIAŁ 9: RĘCE DO GÓRY

ROZDZIAŁ 10: PAŁAC MU TELA

ROZDZIAŁ 11: PHUNDAHL

ROZDZIAŁ 12: XAXA

ROZDZIAŁ 13: WIELKI TUR

ROZDZIAŁ 14: POWRÓT DO THAVASA

ROZDZIAŁ 15: JOHN CARTER

# ROZDZIAŁ 1: HELIUM.

## 8 CZERWCA 1925

Szanowny Panie Burroughs!

Było to jesienią w obozie szkoleniowym dla oficerów, kiedy po raz pierwszy zetknąłem się z Johnem Carterem, Wodzem Marsa, czytając kolejne strony Pańskiej noweli *Księżniczka Marsa*. Książka ta przejęła mnie dogłębnie. Choć mój zdrowy rozsądek protestował, że to tylko bardzo pomysłowy kawałek fikcji, myśl o prawdziwości tej historii podświadomie zawładnęła moim umysłem do tego stopnia, że kiedyś zdarzyło mi się śnić o Marsie i Johnie Carterze, o Dejah Thoris, Tarsie Tarkasie i Wooli, zupełnie jakby były to prawdziwe osoby z mojego życia, a nie wytwory Pańskiej wyobraźni.

To prawda, że w tamtych dniach, dniach ciężkich przygotowań, nie było zbyt wiele czasu na marzenia. Zdarzały się jednak chwile, zanim sen pochłaniał mnie na dobre, kiedy mogłem sobie pomarzyć. Zawsze o tym samym! Zawsze o Marsie. Gdy budziłem się w nocy, szukałem wzrokiem „Czerwonej Planety”, kiedy była gdzieś nad horyzontem, i znalazłszy ją, wpatrywałem się, szukając rozwiązania nierozwikłanej zagadki, którą Mars stanowił przez lata dla Ziemi.

Być może stało się to moją obsesją. Mars był nieodzowną częścią moich dni w obozie, jak i nocy spędzonych na pokładzie transporterów, kiedy to wolałem leżeć na plecach, wpatrując się w czerwone oko boga wojny - mojego boga - i wyobrazać sobie, że tak jak John Carter przemknę kiedyś przez wielką pustkę do przystani moich marzeń.

I wtedy przyszły te okropne dni i noce spędzone w okopach - szczury, robactwo, błoto - z rzadkimi cudownymi przerwami od monotonii rozkazów z góry. Kochałem to, tak jak kochałem wybuchające pociski, dziki, szalony chaos grzmiących dział... Tylko te szczury, robaki i błoto - Boże! Jak ja ich nienawidziłem! Brzmi to trochę, jakbym się przechwalał. Wiem - i przepraszam za to. Chciałem po prostu napisać Panu prawdę o sobie. Myślę, że Pan zrozumie.

Może to też być ważne w kontekście wielu późniejszych wydarzeń.

W końcu doczekałem się tego, co spotkało już wielu oficerów na tych cholernych polach. W ciągu tygodnia dostałem swój pierwszy awans i stopień kapitana, z którego byłem niesamowicie dumny. Zachowywałem jednak pokorę, zdając sobie sprawę z wielkiej odpowiedzialności, jaką to na mnie nakładało, jak i wielkich możliwości w służbie mojemu krajowi, ale i prywatnie, wobec ludzi będących pod moim dowództwem. Przesunęliśmy się o 2 kilometry i z małym oddziałem zajmowaliśmy najdalej wysuniętą pozycję, zanim dostaliśmy rozkazy o wycofaniu się. To była ostatnia rzecz, jaką pamiętam, nim odzyskałem przytomność po zmroku. Pośród nas musiał nastąpić jakiś wybuch. Co się stało z moim oddziałem, nigdy się nie dowiedziałem. Pamiętam, że kiedy się obudziłem, było zimno i bardzo ciemno, oraz że na początku, przez moment, było mi całkiem dobrze. Myślę, że było to, zanim odzyskałem przytomność - wtedy zacząłem naprawdę odczuwać ból. Narastał on, aż stał się nie do zniesienia. Był w moich nogach. Sięgnąłem więc, aby sprawdzić, lecz moja ręka odruchowo cofnęła się, gdy odkryła, co się stało. Kiedy próbowałem ruszyć nogami, przekonałem się, że jestem kaleką od pasa w dół. Wtedy księżyc wyłonił się zza chmury i spostrzegłem, że leżę w dziurze po wybuchu, ale nie leżę tam sam - wokół mnie były ciała zmarłych.

Było to na długo przed tym, jak znalazłem w sobie na tyle odwagi i siły, żeby się podnieść i wyprostować na jednym łokciu, tak żebym mógł obejrzeć pełnię strat, jakie mnie spotkały.



Jedno spojrzenie wystarczyło. Utonąłem w agonii psychicznej i fizycznej męki. Urwało mi nogi na odcinku pomiędzy biodrami a kolanami. Z jakiejś przyczyny nie krwawiłem zbyt wiele, jednak zdawałem sobie sprawę, że straciłem już sporo krwi i że stopniowo tracę jej na tyle dużo, iż w krótkim czasie moje męki mogą się definitywnie skończyć, jeżeli szybko ktoś mnie nie znajdzie. I gdy leżałem tak w męczarniach, modliłem się, żeby nie znaleźli mnie zbyt szybko, gdyż bardziej przerażała mnie wizja bycia kaleką do końca życia niż myśl o nadchodzącej śmierci.

Nagle moje oczy skupiły się na jasnym, czerwonym oku Marsa i wtem pojawiła się we mnie iskra nadziei. Wyciągnąłem ramiona w stronę Czerwonej Planety i bez chwili wahania zacząłem modlić się o pomoc do patrona mojego zawodu. Wiedziałem, że mi pomoże, moja wiara była tak głęboka, a wysiłek mentalny, który włożyłem w uwolnienie się z więzów mojego okaleczonego ciała, tak wielki, że poczułem nagle nudności, a po chwili ostry trzask łamanego stalowego kabla - nagle stałem nagi na dwóch sprawnych nogach, patrząc z góry na zakrwawionego, zniekształconego siebie. Stałem tak tylko przez chwilę, zanim ponownie zwróciłem wzrok ku górze - ku mojej gwiazdzie przeznaczenia - i z wyciągniętymi ramionami stałem tej zimnej francuskiej nocy, czekając.

Nagle poczułem, jak coś mnie ciągnie z prędkością światła przez bezdrożne pustkowia przestrzeni międzyplanetarnej. Momentalnie zrobiło się zimno i kompletnie ciemno - reszta jednak jest w tym dziele, o czym, dzięki pomocy wspanialszego od nas obu, mogę Pana powiadomić w tym liście. Pan i kilku innych wybranych uwierzą w to - dla reszty nie ma to większego znaczenia.

Przyjdzie jeszcze na to czas - ale po co mówić coś, co Pan już wie?

Chciałbym pozdrowić i pogratulować Panu - pogratulować, że ma Pan niesamowite szczęście być tym medium, przez które Ziemianie lepiej rozumieją kulturę i zwyczaje panujące na Barsoom. Dzięki Panu nie muszą sami poświęcać czasu, by mknąć przez przestrzeń kosmiczną jak

John Carter dla widoku tych wszystkich krajobrazów ukazanych przez Pana, tak jak zrobiłem to ja. ULYSSES PAXTON, były kapitan oddziału piechoty Armii Stanów Zjednoczonych.

## ROZDZIAŁ 2:

# DOM ŚMIERCI

Musiałem niechcący zamknąć oczy w trakcie mojej przemiany, ponieważ gdy je otworzyłem, leżałem plackiem na plecach, wpatrując się we wspaniałe, oświetlone słońcem niebo. Kilka kroków dalej natomiast stała i tajemniczo spoglądała na mnie w dół istota o wyglądzie najdziwniejszym, jakie moje oczy widziały do tej pory.

Zdawała się całkiem leciwym mężczyzną, z racji fałd i zmarszczek nie do opisanie. Jego kończyny były wychudzone, żebra wystawały spod skurczonej skóry, czaszka była duża i dobrze rozwinięta, co - w połączeniu z tymi wyniszczonymi kończynami i torsem - sprawiało wrażenie jej wielkiej ciężkości. Zupełnie tak jakby była nieproporcjonalna do reszty ciała, choć to na pewno wcale nie tak.

W czasie, gdy patrzył na mnie przez swoje wielkie, wielosoczewkowe okulary, miałem też okazję przyjrzeć się jemu. Miał z 5 stóp i 5 cali wzrostu\* [\* około 165 cm]. Jednak bez wątpienia kiedyś w młodości był wyższy, co można było stwierdzić, patrząc na jego bardzo zgarbioną sylwetkę. Był w sumie nagi, poza całkiem zwyczajną i wyglądającą na znoszoną skórzaną uprzężą podtrzymującą bronie i kieszonkowe sakiewki - oraz wspaniałym wysadzonym naszyjnikiem wokół swojej mizernej szyi. Tego typu naszyjniki, za które wdowy po cesarzach, pozbawione bogactwa czy posiadłości, sprzedawały swoje dusze. Jego skóra była czerwona, kępy loków siwe. Gdy patrzył na mnie, widziałem coraz większe zdziwienie malujące się na jego twarzy. Oparł swój podbródek pomiędzy kciukiem a

palcami lewej ręki i powoli podnosząc prawą, zaczął rozmyślnie drapać się po głowie. W końcu przemówił do mnie. Jednakże był to język, którego nie rozumiałem.

Wraz z jego pierwszymi słowami usiadłem i pokręciłem głową. Następnie rozejrzałem się wokół i zobaczyłem, że siedzę na karmazynowej murawie, ogrodzonej wysokim murem, którego dwie, a może i trzy strony były zewnętrznymi murami budowli. Ze wszystkich form architektonicznych, jakie miałem w głowie, przypominała mi ona najbardziej typowy europejski zamek feudalny. Fasada, którą widziałem, była bogata w zdobienia i miała bardzo nieregularną formę. Linia dachu była tak złamana, że sugerowała ruinę. Przy tym wszystkim jednak tworzyło to harmonię i nie było pozbawione piękna. Wewnątrz tego ogrodzonego terenu rosło sporo drzew i krzaków. Wszystkie wyglądały dość dziwnie i wszystkie, albo prawie wszystkie, bujnie rozkwitały.

Starszy mężczyzna przemówił ponownie, tym razem już stanowczo, jakby powtarzał rozkaz, który nie został wykonany - jednak ja ponownie pokręciłem głową z niezrozumieniem. Sięgnął więc wtedy dłonią po jeden ze swych dwóch mieczy, jednak gdy tylko to zrobił, zerwałem się na nogi tak szybko, że nie umiem teraz powiedzieć, który z nas był bardziej zaskoczony. Musiałem wznieść się na 10 stóp w powietrze i cofnąć o jakieś 20 od miejsca, w którym siedziałem - wtedy wiedziałem już, że jestem na Marsie (nie, żebym wcześniej w to wątpił). Mniejsze przyciąganie, kolor murawy, czerwony odcień skóry Marsjan - o wszystkim tym czytałem w zapiskach Johna Cartera, w tym wspaniałym i jakże niedocenionym wkładzie w literaturę naukową współczesnego świata. Nie miałem wątpliwości, stałem właśnie na powierzchni Czerwonej Planety - znalazłem się w moim wymarzonej Barsoom.

Starzec był tak zaskoczony moją zwinnością, że sam aż trochę odskoczył. I choć z pewnością zrobił to mimowolnie, przyniosło to ciekawe rezultaty. Jego okulary zsunęły mu się z nosa i spadły na ziemię. Wtedy też

odkryłem, że ten biedny, stary nieszczęśnik, kiedy pozbawiony okularów, jest praktycznie ślepy. Klęknął i zaczął nerwowo szukać po omacku swojej zguby, jakby od jej natychmiastowego znalezienia miało zależeć całe jego życie.

Być może myślał, że wykorzystam przewagę jego chwilowej bezsilności i powalę go. Chociaż okulary były olbrzymie i leżały kilka kroków od niego, nie był w stanie ich znaleźć. Jego ręce ogarnęła przekorna niemoc, jaka często paraliżuje nasze najprostsze zachowania i przez którą potrafimy kilka razy być blisko szukanej rzeczy, ale dziwnie nie możemy na nią natrafić.

Gdy tak stałem, patrząc na jego daremne wysiłki i rozmyślając, czy słusznym jest zwrócenie czegoś, przez co potencjalnie będzie mu tylko łatwiej trafić ostrzem miecza w moje serce, zdałem sobie sprawę, że kolejny z nich wszedł na dziedziniec.

Patrząc w stronę budynku, widziałem wielką czerwoną postać biegnącą w stronę mojego staruszka od okularów. Nowy przybysz był całkiem nagi, dzierżył w ręce maczugę i miał wyraz twarzy, który zdecydowanie źle wróżył bezradnemu starcowi, płaszczącemu się przed nim jak kret w poszukiwaniu okularów.

Moją pierwszą myślą było pozostać całkiem obojętnym w sytuacji, która zdawała się mnie nawet nie dotyczyć. Nie znałem też w sumie żadnej z tych postaci na tyle, żeby móc z którąkolwiek sympatyzować. Po drugim spojrzeniu na twarz maczugowca zacząłem się jednak zastanawiać, czy aby na pewno mnie to nie dotyczy.

Było to spojrzenie, które świadczyło albo o wrodzonej brutalności, albo o wariackim usposobieniu, które skierowałoby jego ewidentnie mordercze zamiary na mnie, po tym jak już rozprawiłby się ze staruszką, podczas gdy wygląd tego drugiego świadczył raczej o jego niegroźnej naturze. To prawda, że wyciągnięcie miecza w moją stronę nie było zbyt przyjacielskim

posunięciem, jednak gdybym miał wybierać, on zdecydowanie wydawał się mniejszym złem.

Podczas gdy dalej szukał po omacku swoich okularów, nagi mężczyzna znalazł się praktycznie nad nim. Nagle podjąłem decyzję, że stanę po stronie staruszka. Byłem jakieś 20 stóp dalej, nagi i nieuzbrojony w nic, aczkolwiek pokonanie tego dystansu z moimi ziemskimi mięśniami zajęło mi ledwie moment. Nagi miecz należący do starca leżał tuż obok niego. Tak więc po chwili stałem oko w oko z dryblasem, kiedy on sam znalazł się w odległości bardzo sprzyjającej atakowi. Cios, który miał być początkowo wymierzony komu innemu, mógł być za chwilę wymierzony przeciwko mnie. Odskoczyłem na bok i wtedy przekonałem się, że ziemskie mięśnie mają swoje wady i zalety, jako że nauczyć się chodzić musiałem w zasadzie w tej samej chwili, w której musiałem nauczyć się walczyć nową bronią przeciwko wariatowi uzbrojonemu w maczugę. Za takiego przynajmniej go uznałem i chyba nie jest to dziwne, jeśli spojrzeć na straszne spojrzenie i przerażającą wściekłość wymalowane na jego twarzy.

Kiedy usiłowałem się przystosować do nowych warunków, zdałem sobie sprawę, że stawiając czoła mojemu przeciwnikowi, nie miałem za bardzo jak uniknąć śmierci z jego rąk. Tak często się potykałem i bezwładnie przewracałem na tę szkarłatną murawę, że od początku nasz pojedynek z jego strony polegał na próbach ugodzenia mnie swoją wielką maczugą - zaś z mojej na unikach i ucieczkach przed nim. Trochę przerażające, ale niestety prawdziwe.

Jednakże nie trwało to długo, jako że wkrótce nauczyłem się, zmuszony powagą sytuacji, panować nad swoimi mięśniami. Stałem wtedy na murawie i kiedy wymierzył we mnie cios, zrobiłem unik i szybko ugodziłem go ostrzem mojego miecza, upuszczając trochę jego krwi i wywołując u niego wściekły ryk z bólu. Stał się wtedy uważniejszy, a ja wykorzystując nowy rozkład sił w tej walce, pchnąłem go tak, że się wywrócił. Poczułem wtedy wiatr w żaglach i z większą pewnością

zacząłem na niego nacierać, zadając mu kolejne rany mieczem. Po chwili krew wylewała się z niego w sześciu miejscach. Cały czas jednak musiałem uważać na jego potężne wymachy, z których każdy spokojnie powaliłby nawet woła.

Przez moje uniki i ucieczki z początku walki byliśmy teraz już za ogrodzeniem i walczyliśmy ładnych kilka metrów od miejsca naszego spotkania. Spojrzałem tam akurat w tej samej chwili, gdy staruszek znalazł w końcu swoje okulary. Szybko założył je na oczy, rozejrzał się, wypatrzył nas i zaczął biec w naszą stronę, wyciągając sztylet i drąc się przy tym głośno. Czerwony wielkolud zaczął coraz bardziej na mnie napierać, jednak ja, uzyskawszy wreszcie pełną kontrolę nad swoimi ruchami, i świadomy, że za chwilę mogę mieć dwóch adwersarzy zamiast jednego, rzuciłem się na niego z podwójną siłą. Wymierzył we mnie, ale chybił o ułamek cala, powodując tylko przyjemny powiew wiatru na moim skalpie. Korzystając z tego, że mój przeciwnik się odkrył, bez wahania wbiłem miecz prosto w jego serce. Przynajmniej wydawało mi się wtedy, że to serce. Jednak gdy przypomniałem sobie rękopisy Johna Cartera, zrozumiałem, że rozmieszczenie organów u Marsjan nie jest identyczne z ludzkim. Rana, którą zadałem przeciwnikowi, była jednak na tyle mocna, że znalazł się już poza walką. W tej samej chwili też pojawił starzec. Zastał mnie gotowego, by stawić mu czoło. Jednak jak się okazało, pomyliłem się co do jego zamiarów. Nie wykonywał żadnych nieprzyjaznych ruchów czy gestów związanych ze swą bronią, starając się raczej przekonać mnie, że nie chce wcale zrobić mi krzywdy. Był bardzo podekscytowany, trochę zakłopotany i wyraźnie zdenerwowany, że nie mogę go zrozumieć. Podskakiwał dookoła, krzycząc do mnie dziwne zdania, które tonem przypominały stanowcze komendy, wściekłe inwektywy i dość bezsilny gniew. Dla mnie jednak najważniejsze było to, że schował swój miecz z powrotem do pochwy - ważniejsze niż cały ten bełkot. Kiedy przestał krzyczeć i zaczął mówić do mnie jak do dziecka - jakby pantomimą - wiedziałem już, że nie

mam się czego obawiać, bo ma wobec mnie pokojowe, a może nawet przyjacielskie zamiary. Obniżyłem więc głos i ukloniłem się. To wszystko, na co wpadłem, żeby zapewnić go, że nie mam zamiaru go opluwać.

Zdawał się zadowolony, wnet zwracając uwagę w stronę poległego olbrzyma. Zbadał jego puls, posłuchał serca, pokiwał głową, wstał i wyjąwszy gwizdek z jednej ze swych sakiewek, potężnie zagwizdał.

Po chwili z jednego z okolicznych budynków wybiegła cała zgraja nagich czerwonych istot i ruszyła w naszą stronę. Wydał im kilka lapidarnych komend, a ci po chwili wzięli olbrzyma na swe barki i wynieśli z pola walki. Następnie staruszek zaczął iść w stronę budynku, dając mi znać, że mam podążać za nim. Nie miałem chyba innego wyjścia, jak tylko go słuchać i towarzyszyć. Gdziekolwiek bym nie był na marsie, szansa, że nie będę tu wśród wrogów była równa jednemu do miliona, więc miałem tu tyle szczęścia, ile mogłem mieć - pamiętałem przy tym jednak, że muszę polegać tylko na swojej zaradności, dzielności, zwinności czy umiejętnościach, żeby przeżyć jakoś na Czerwonej Planecie.

Starzec wprowadził mnie do jakiejś małej izby, z której otworzyło się wiele drzwi do innych pomieszczeń. Przez jedno z nich wprowadzali właśnie mojego niedawnego przeciwnika. Przeszliśmy do dużego, wspaniale oświetlonego pokoju, gdzie moim oczom ukazał się nagle najbardziej makabryczny widok, jaki kiedykolwiek widziałem. Pokój wypełniały rzędy stołów ustawionych równolegle i z niektórymi wyjątkami stoły te prezentowały makabryczną zawartość - na każdym z nich leżało poćwiartowane lub pokaleczone ludzkie ciało. Nad każdym stołem znajdowały się półki, na których leżały pojemniki o różnej wielkości i o różnym kształcie. Na dole tych półek było mnóstwo przyrządów chirurgicznych, co sugerowało mi, że początek mojej przygody na Barsoom zaczniemy od gigantycznej akademii medycznej.

Jedna komenda od mojego pomarszczonego towarzysza i ci, którzy nieśli olbrzyma, położyli go na pustym stole i po chwili wyszli. Następnie



gospodarz - jeśli mogę tak o nim powiedzieć, jako że do tej pory nie chciał brać mnie w jeniecstwo - prowadził mnie dalej do kolejnego pokoju. Mówiąc coś do mnie zwyczajnym tonem, zrobił dwa nacięcia na ciele mojego niedawnego adwersarza. Wydaje mi się, że jedno było w jakiejś dużej żyłę, drugie natomiast w tętnicy. Zgrabnie przyłożył końce dwóch tub, z których jedna połączona była z pustym szklanym naczyniem, druga zaś z podobnym, lecz wypełnionym jakimś bezbarwnym, przezroczystym płynem. Przypominał on zwykłą, czystą wodę. Po połączeniu tych elementów ze sobą starzec wcisnął guzik uruchamiający mały silniczek. Następnie krew ofiary została wpompowana do pustego słoika, podczas gdy zawartość drugiego naczynia uzupełniała żyłę i tętnicę.

Ton głosu i gesty, jakich używał staruszek, przekonały mnie, że chce mi po prostu wyjaśnić szczegółowo cel i metody tego przetaczania. Jednak jako że nie rozumiałem ani słowa z tego, co mi tłumaczył, to gdy skończył, wiedziałem dokładnie tyle samo, ile wiedziałem, nim zaczął. Aczkolwiek to, co widziałem, pozwoliło mi dojść do wniosku, że zapewne byłem właśnie świadkiem ichniejszego balsamowania. Wyjawszy tuby z ciała maczugowca, starzec zakrył wycięte dziury za pomocą czegoś, co przypominało wielką taśmę samoprzylepną, a następnie pokazał mi, że mam iść za nim. Szliśmy od pokoju do pokoju, a w każdym, przez który przechodziliśmy, było to samo - te same makabryczne sceny. Przy wielu z tych ciał starzec przystawał, aby coś opowiedzieć o danym przypadku albo odnieść się do notatek, które wisiały na haczyku na początku każdego stołu.

Z ostatniego pomieszczenia, jakie odwiedziliśmy na pierwszym piętrze, mój gospodarz poprowadził mnie pochyłym korytarzem na drugie piętro. Tu pokoje wyglądały bardzo podobnie do poprzednich. Jednak z tą różnicą, że zawierały one całe ciała, nie poćwiartowane jak w poprzednim przypadku, wszystkie połatane tą taśmą samoprzylepną. Gdy przechodziliśmy pomiędzy stołami, w pewnym momencie do sali weszła barsoomiańska dziewczyna. Wyglądała mi początkowo na niewolnicę albo

służącą. Zapytała starca o coś, po czym ten ponownie dał mi znać, żeby iść za nim. Po przejściu kolejnym pochyłym korytarzem znaleźliśmy się na pierwszym piętrze drugiego budynku.

Tutaj, w pięknie wystrojonym, wystawnie urządzonej apartamencie czekała na nas starsza czerwona kobieta. Nie wyglądała na osobę pierwszej czy nawet drugiej młodości, a jej twarz zniekształcona została przez jakiś uraz. Jej niesamowity strój i asysta innych kobiet oraz uzbrojonych wojowników świadczyły, że mamy do czynienia z osobą wysokiej rangi. Mały staruszek traktował ją jednak dość opryskliwie, przerażając nieco tym jej świtę.

Długo ze sobą rozmawiali, po czym jeden z wojów podszedł do nich, otworzył sakiewkę i wyjął z niej garść, jak miemam, marsjańskich monet. Wiele z nich przekazał starcowi, który kiwnął na swoją pacjentkę i na mnie, abyśmy szli za nim. Kilku z jej strażników zaczęło iść za nami, ale staruszek stanowczo dał im znać, że mają zostać. Rozgorzała dyskusja pomiędzy kobietą a jej świtą z jednej strony, a równocześnie ze starcem z drugiej. Spór zakończył staruszek, oddając część pieniędzy. Ta propozycja rozwiązała kłótnię. Kobieta odmówiła jednak i przyjęcia reszty, porozmawiała chwilę ze strażą i poszła z nami.

Staruszek poprowadził nas na drugie piętro i weszliśmy do pomieszczenia, które znowu bardzo przypominało poprzednie. Choć nie byłem w nim wcześniej, zastałem praktycznie ten sam scenariusz - rzędy stołów, a na nich ciała. Tym razem jednak były to ciała młodych kobiet, z których niektóre były naprawdę piękne. Podążając ostrożnie za starcem, kobieta obserwowała przeraźliwy obrzęd ze staranną uwagą.

Trzykrotnie obeszła stoły, przyglądając się ich makabrycznemu obrazowi. Za każdym razem zatrzymywała się najdłużej przy stole, na którym leżała bodaj najpiękniejsza istota, jaką w życiu widziałem. Następnie podeszła jeszcze czwarty raz do tego stołu i stała przy nim długo, wpatrując się gorliwie w twarz zmarłej dziewczyny. Przez chwilę

rozmawiała ze starcem, zadając mu niezliczoną ilość pytań, na które on odpowiadał krótko i szorstko. Następnie wskazała na ciało pięknej zmarłej i skinęła głową potwierdzająco do nadzorca tych makabrycznych widoków.

Staruszek w tej samej chwili potężnie zagwizdał, przywołując w ten sposób sługi, którym wydał jakieś krótkie polecenia, po czym zaprowadził nas do kolejnej sali. Była ona mniejsza od poprzednich i różniła się też tym, że było w niej kilka pustych stołów. W pokoju stały dwie niewolnice - czy też asystentki, ciężko na pierwszy rzut oka ocenić. Na polecenie starca pomogły one starszej damie rozebrać się z jej pięknych szat, rozwiązały jej włosy i położyły ją na jednym ze stołów. Po chwili została dokładnie wysypana jakimś specyfikiem. Jak się domyślam, był to jakiś antyseptyk. Następnie dokładnie ją osuszono i przeniesiono na kolejny stół, który stał może z 20 cali od następnego.

Nagle drzwi do izby otworzyły się zamasyście i w pomieszczeniu pojawili się dwaj asystenci, trzymający ciało owej pięknej zmarłej dziewczyny z poprzedniego pokoju. Złożyli je na stole, przed chwilą zwolnionym przez naszą damę. Następnie powtórzono całą procedurę z antyseptykiem, po czym umieszczono je na wspomnianym już przeze mnie stole w odległości może 20 cali. Staruszek wykonał następnie dwa nacięcia w ciele starej kobiety, tak jak zrobił to przy okazji pokonanego przeze mnie maczugowca. Podobnie też jak w jego przypadku wzięto tuby i wyssano za ich pomocą krew z żył i tętnic damy, po czym zastąpiono je przezroczystym płynem. W tym momencie uszło z niej życie i leżała martwa na błyszczącej ersajtowej płycie, z której zrobiony był wierzch stołu. Nieruchome, martwe ciało, jak w przypadku leżącej obok niewiasty.

Mały starzec przesunął następnie swoje oprzyrządowanie w dół, na wysokość pasa. Po dokładnym wysypaniu przyrządów sięgnął po ostry nóż znad stołu i zaczął wycinać skalp z głowy kobiety, kierując się ostrożnie wzdłuż jej linii włosów. Podobnie za chwilę usunął skalp z głowy młodej dziewczyny i za pomocą małej okrągłej piły przytwierdzonej do

elastycznego, obrotowego trzonka, zaczął piłować czaszki obu kobiet, idąc po linii wyznaczonej przez usunięcie skóry. Całokształt przebiegu tej zręcznej operacji był tak zdumiewający, że ciężko to opisywać.

Dość powiedzieć, że po upływie 4 godzin przełożył mózgi każdej z kobiet do czaszki tej drugiej, zgrabnie połączył uszkodzone nerwy i zwoje, złączył czaszki i skalpy i obwiązał obie głowy tą osobliwą taśmą samoprzylepną, która nie dość że była sterylna i lecznicza, to jeszcze miejscowo znieczulająca!

Po tym wszystkim podgrzał krew starszej kobiety, dodał do niej kilka kropel jakiejś chemicznej substancji, opróżnił żyły niewiasty z przezroczystego płynu, wlał tam krew damy, jednocześnie wykonując zastrzyk podskórny.

Przez cały czas trwania operacji nie odezwał się ani słowem. Teraz wydał w swoim szorstkim stylu jakieś instrukcje asystentom i dał mi znać, żebym podążył za nim - a potem wyszedł z pokoju. Poprowadził mnie do odległej części budynku - czy może nawet całego kompleksu budynków - wprowadził do luksusowego apartamentu, otworzył drzwi do barsoomiańskiej łazienki i oddał w ręce wyspecjalizowanych sług.

Odświeżony i wypoczęty, opuściłem łazienkę po około godzinie. W sąsiedniej izbie czekały już na mnie wytworne szaty i uprząż. Choć gładkie, były wykonane z dobrego materiału. Nie było jednak z nimi broni.

Naturalnie rozmyślałem o wszystkim, co spotkało mnie do tej pory na Marsie. Najbardziej niewytłumaczalnym było dla mnie jednak zachowanie starszej kobiety, która wręczyła mojemu gospodarzowi całkiem pokaźną sumę pieniędzy za jej zabicie, a później wstawienie sobie mózgu zmarłej osoby. Czy było to wynikiem jakiegoś przerażającego fanatyzmu religijnego czy może jest na to jakieś inne wytłumaczenie, którego mój ziemski mózg nie pojmuje?

Nie zdążyłem odpowiedzieć sobie na to pytanie, ponieważ przyszedł po mnie kolejny niewolnik, za którym miałem iść do sąsiedniego apartamentu.

Tam czekał już na mnie mój gospodarz za stołem pełnym rozmaitych pyszności. Powiedzmy sobie szczerze, że poniekąd należało mi się to po moich ostatnich długich i ciężkich tygodniach wojskowego wyżywienia.

Podczas naszego posiłku staruszek starał się ze mną konwersować. Jednak jak można się domyślić - bezowocnie. Denerwował się z tego powodu czasami i trzykrotnie nawet sięgnął ręką po miecz. Z zachowania takiego można było wywnioskować, że jest trochę obłąkany. Na szczęście za każdym razem odzyskiwał panowanie nad sobą, nie dopuszczając do konfliktu.

Przez większość posiłku starzec nad czymś rozmyślał. Wtedy nagle wpadł na pewien pomysł, który miał rozwiązać nasze problemy komunikacyjne. Odwrócił się w moją stronę z przelotnym uśmiechem i zajął mą uwagę czymś, co miało się okazać intensywnym kursem barsoomiańskiego. Kurs ten trwał dość długo, bowiem na zewnątrz zdążyło się już dawno zrobić ciemno. W końcu staruszek pozwolił mi udać się na spoczynek, odprowadzając mnie osobiście do apartamentu. Był to ten sam apartament, w którym wcześniej czekały na mnie ubrania. Pokazał mi, gdzie mam jedwabie i futra do spania, po czym życzył po ichniejszemu dobrej nocy. W dalszym ciągu nie wiedziałem, czy jestem tam bardziej gościem czy więźniem.

## ROZDZIAŁ 3:

### AWANS

Zanim się obejrzałem, minęły trzy tygodnie. Opanowałem w tym czasie barsoomiański na poziomie pozwalającym mi w zadowalającym stopniu konwersować z moim gospodarzem. Robiłem także postępy w języku pisanym używanym w jego nacji, który oczywiście różni się w piśmie od języków innych nacji występujących na Barsoom. Sporo się w tym czasie nauczyłem o tym dziwnym ni to więzieniu, ni to raj. Sporo także dowiedziałem się o moim gospodarzo-klawiszu, zasłużonym chirurgu Toonol, Ras Thavasie, któremu towarzyszyłem niemal zawsze od dnia, kiedy się tu pojawiłem. Powoli też zacząłem odkrywać cel tej wspaniałej instytucji, której praktycznie sam był panem i władcą. Niewolnicy czy asystenci służyli mu tylko do rąbania drzewa i podawania wody. A te wszystkie zdumiewające działania, czasami złowrogie, czasem wspaniałomyślne, były dziełem jego wielkiego umysłu i umiejętności, jakie posiadał.

Ras Thavas sam w sobie był tak niezwykle, jak niezwykle były rzeczy, które osiągnął. Nigdy nie był celowo okrutny czy niegodziwy. Był odpowiedzialny za najbardziej makabryczne okrucieństwa i podstawę wielu zbrodni, jednak po chwili dokonywał czegoś, co gdyby zostało powielone na Ziemi, zapewniłoby mu wieczne miejsce na piedestale. Chociaż wiem, że spokojnie mogę powiedzieć, iż nigdy nie kierowały nim jakieś niskie motywy, prowokujące go do krzywdy czy okrucieństwa, to z drugiej strony, nie mogę rzec, żeby miał też i te wysokie, skłaniające go do filantropii.

Jego stricte naukowy umysł pozbawiony był jakichkolwiek mdłych przesłanek czy sentymentów. Był to także umysł bardzo praktyczny, co widać najlepiej po stawkach, jakie brał za swoją pomoc. Pomimo tego wiem jednak, że nie operowałby nigdy tylko dla pieniędzy. Widziałem go często oddanego całe dni analizie jakiegoś medycznego problemu, którego rozwiązanie nie miało mu przynieść wcale materialnej korzyści. W tym czasie za to jego korytarze przyozdobione były setkami różnych pacjentów i ich kolorowych banknotów, tylko czekających na wzbogacenie jego kieszeni.

To, w jaki sposób byłem traktowany, wynikało tylko i wyłącznie z jego zobowiązań wobec nauki. Stanowiłem dla niego zagadkę. Problem, z którym jeszcze się nie spotkał. Nie wiem, czy byłem dla niego po prostu jednym z gatunków Barsoomian, którego jeszcze nie spotkał, czy wiedział, że jestem spoza Barsoom. W każdym razie dla nauki najlepiej było, bym był trzymany, dobrze traktowany i w międzyczasie analizowany. Wiedziałem dużo o mojej planecie, co cieszyło bardzo Ras Thavasa. Z przyjemnością wydobywał ze mnie po kolei wszystko, co wiem, licząc, że wyciągnie z tego jakieś wnioski, które pozwolą mu rozwiązać ichniejsze problemy, zaprzatające głowy barsoomiańskim naukowcom. Niedługo jednak musiał przyznać, że - jeśli o to chodzi - byłem totalną porażką. Problem nie polegał już nawet na fakcie, że nie interesowały mnie nigdy żadne przedmioty ściśle. Po prostu nasza Ziemska nauka czy technika były ciągle w powijakach, jeśli porównać ją z niesamowitym postępowaniem, jaki ma miejsce na Marsie. Starzec trzymał mnie jednak przy sobie, szkoląc mnie przy tym w podstawowych kwestiach dotyczących jego rozległego laboratorium. Powierzył mi np. przepis na „balsamujący płyn” i nauczył, jak wypompować krew z ciała pacjenta i zastąpić go tym fantastycznym środkiem konserwującym, który zatrzymuje rozkład ciała, nie zmieniając nawet najmniejszych nerwów czy tkanek. Poznałem także tajemnicę roztworu, którego kilka kropeł dodanych do podgrzanej krwi pacjenta,

zanim trafi ona do jego żył, ożywia go na nowo, przywracając do życia każdy pojedynczy organ.

Pewnego razu wyjaśnił, dlaczego zdecydował się powierzyć mi te wszystkie sekrety, których nie powiedział innym, i dlaczego to ja byłem przy nim cały ten czas od mojego przybycia, podczas gdy rodowici Barsoomianie służyli nam dzień i noc.

– Vad Varo - powiedział, używając mojego barsoomiańskiego imienia, które sam mi zresztą nadał, uważając, że moje ziemskie nie miało żadnego znaczenia i było niepraktyczne. - Przez wiele lat szukałem asystenta, ale nigdy nie znalazłem takiego, który oddałby całe serce i pomagał mi bezinteresownie, nie mając nigdy ochoty odejść do kogoś innego albo wyjawić innym moje tajemnice. Ty jesteś wyjątkowy w całym Barsoom, nie masz tu bowiem żadnych przyjaciół czy znajomych poza mną. Jeżeli opuścisz mnie, to znajdziesz się w nieprzyjaznym dla siebie świecie, pełnym wrogów, każdy bowiem traktuje tu obcych bardzo podejrzanie. Nie przeżyłbyś tygodnia. Byłbyś przemarznięty, głodny i obszarpany jak wyrzutek społeczeństwa. Tutaj masz wszystkie luksusy, jakie tylko umysł jest w stanie wymyślić, a zdolne ręce wytworzyć. Masz przy tym pracę tak ciekawą, że każda twoja godzina tu ze mną musi nieść satysfakcję nieporównywalną z niczym innym. Jakby to podsumować, to nie masz żadnego logicznego powodu, aby mnie opuszczać, za to multum takowych, aby tu ze mną zostać. Nie wierzę w żadną lojalność, która nie jest kierowana własnym interesem. Jesteś więc idealnym asystentem nie tylko ze względów, które ci już podałem. Jesteś nim, bo jesteś inteligentny, błyskotliwy i - jak już zdecydowałem, obserwując Cię wystarczająco długo - możesz służyć mi także w inny sposób: być moją ochroną.

– Pewnie też zauważyłeś, że jako jedyny tu w laboratorium mam ze sobą broń. To dość niespotykane na Barsoom, gdzie wszyscy, bez względu na status, wiek czy płeć chodzą nieuzbrojeni. Wielu jednak z tych Barsoomian nie zaufałbym na tyle, żeby dać im broń, jako że szybko by mnie zabili.



Tym, którym ufam, także boję się dać broni, albowiem inni obezwładniliby ich, zabrali broń i także mnie zabili. I w końcu - ci, którym ufam, też prędzej czy później zwróciliby się przeciwko mnie, jako że nie ma istoty, która nie chciałaby stąd odejść i wrócić do swoich. Tylko ty, Vad Varo, nie masz do kogo pójść. Dlatego zdecydowałem się dać ci broń.

– Raz już uratowałeś mi życie. Podobna sytuacja może się jeszcze powtórzyć. Wiem, że ponieważ jesteś rozumną i rozsądną istotą, to mnie nie zabijesz, bo nie masz po co. Nic nie zyskasz, a możesz wszystko stracić przy mojej śmierci. Zostałbyś tu sam, bez żadnych przyjaciół i ochrony. Sam w świecie zupełnie ci obcym, gdzie morderstwa są na porządku dziennym, a naturalna śmierć zdarza się naprawdę rzadko. Oto więc twoje bronie. - Podeszedł do gablotki, otworzył ją, a tam moim oczom ukazał się cały arsenał różnej broni. Wyciągnął dla mnie długi miecz, krótki miecz, pistolet i sztylet.

– Zdajesz się przekonany o mojej lojalności, Ras Thavasie - powiedziałem.

Wzruszył ramionami i rzekł: - Wiem jedynie, gdzie leży twój interes. Sentymentaliści mają swoje słowa: miłość, lojalność, przyjaźń, wrogość, zazdrość, nienawiść i tysiąc innych, na które szkoda oddechu. Jedno słowo definiuje je wszystkie: własny interes. Inteligentna osoba zdaje sobie z tego sprawę. Analizuje innych pod kątem ich upodobań i potrzeb, a na tej podstawie stwierdza, czy będzie ona przyjacielem czy wrogiem, zostawiając tych drugich idiotom, którzy dają się zwieść sentymentom.

Ucieszyłem się, kiedy mogłem przypiąć broń do uprzęży. Zachowałem też jednak spokój. Wiedziałem, że jakiegokolwiek kłótnie z tym człowiekiem nic mi nie przyniosą, podobnie jak nie mam szans na polu dyskursu akademickiego. Pomimo tego wiele z tych rzeczy, o których mówił, wzbudziło moją ciekawość i zaświeciło czerwoną lampkę z tyłu głowy. Podczas gdy niektóre wytłumaczył mi swoimi uwagami, jedna rzecz dalej mnie nurtowała. Dlaczego ten czerwony chłopak, którego unicestwiłem

chwilę po swoim przybyciu na Barsoom, chciał go zabić? Gdy usiedliśmy i rozmawialiśmy po wieczornym posiłku, postanowiłem go o to zapytać.

– Sentymentalista widzisz. Trudniej o bardziej sentymentalnego. Dlaczego mnie tak żarliwie nienawidził, tego żadne procesy myślowe wyćwiczonego, analitycznego umysłu - takiego jak mój - nie ogarną. Biorąc jednak pod uwagę jego zachowanie, mogę rzec, że miał on stan umysłu, którego nie mogę sobie nawet wyobrazić. Rozważ pewne fakty. Padł on kiedyś ofiarą morderstwa - młody wojownik w kwiecie wieku, posiadający piękną buzię i smukłe ciało. Jeden z moich agentów zapłacił jego bliskim całkiem pokaźną sumę i przywiózł jego martwe ciało do mnie. W ten sposób zdobywam praktycznie cały mój materiał. Zastosowałem na nim swoje metody - te, które już widziałeś wielokrotnie. Przez rok ciało leżało nieużywane w laboratorium. Nie było nawet bowiem okazji, żebym miał z niego jakiś użytek. Wtedy przyszedł do mnie pewien bogaty klient, w sile wieku zresztą. Zakochał się, widzisz, w młodej kobiecie, która miała masę przystojnych adoratorów wokół siebie. Mój pacjent miał od nich więcej pieniędzy, był mądrzejszy, bardziej doświadczony, ale brakowało mu jednej rzeczy, którą zawsze mają ci młodzi, kierujący się sentymentem mężczyźni - wyglądu.

– Nasz 378-J-493<sup>8</sup><sub>11</sub> miał to, czego brakowało mojemu klientowi, a co mógł kupić. Szybko doszliśmy do porozumienia w kwestii ceny i przenieśliśmy mózg mojego klienta do ciała 378-J-493<sup>8</sup><sub>11</sub>. Mój klient wyszedł potem zadowolony i z tego, co wiem, zdobył serce tej słodkiej idiotki, natomiast 378-J-493<sup>8</sup><sub>11</sub> mógłby leżeć tu w nieskończoność na jednym z marmurowych łóżek, gdyby nie to, że któregoś dnia trochę na chybił trafił wybrałem go, potrzebując kolejnego męskiego niewolnika.

– Zważ teraz na to. Faceta zamordowano, był martwy. Ja kupiłem i zapłaciłem za wszystko, co w nim było. Mógłby leżeć martwy na jednym z moich łóżek, gdybym nie wpompował w jego żyły nowego życia. Czy miał umysł, żeby rozważyć tę całą transakcję mądrze, trzeźwo myśląc? Nie miał.

– Jego sentymentalne podejście inspirowało jego wyrzuty do mnie. Zarzucał mi, że dałem mu inne ciało. Chociaż dla mnie logicznym było, patrząc nawet z sentymentalnego punktu widzenia, że powinien być mi wdzięczny, że przywróciłem mu w ogóle życie! Wprawdzie może w trochę bardziej wysłużonym, ale w pełni zdrowym ciele.

– Kilkakrotnie podejmował ze mną ten temat, błagając mnie o przywrócenie mu jego dawnego ciała - coś, czego absolutnie nie mogłem zrobić. Nie było nawet mowy, żebym cofnął teraz wszystko, chyba że któregoś dnia trafiłoby do mnie akurat ciało mojego klienta - zbieg okoliczności mało prawdopodobny, jeśli wziąć pod uwagę majętność mojego pacjenta. Zdesperowany młodzian zaproponował, że sam go zabije, a następnie przyniesie mi ciało, abym mógł odwrócić całą operację i przywrócić mu jego ciało. Kiedy i tego mu odmówiłem, widziałem, że wzrasta w nim gniew. Do momentu twojego przybycia i uratowania mnie, nie sądziłem, że może tak siebie nienawidzić.

– Sentymentalizm przeszkadza w rozwoju praktycznie wszystkiego. My, mieszkańcy Toonol, jesteśmy pewnie mniej narażeni na jego pokusy niż inni na Barsoom, ale jednak większość z moich krajan padło ofiarą sentymentów. Ma on jednakże swoje wady i zalety. Bez niego nie mielibyśmy stabilnego rządu i inne nacje, takie jak Phundahlianie czy pozostali, podbiliby nas i przejęli władzę w państwie. Na szczęście wystarczająco wiele z naszych niższych klas ma sentyment, dzięki któremu są lojalne wobec Jeddaka, władcy Toonol, a spora część wyższych sfer jest na tyle rozsądna, że wie, iż utrzymanie go przy władzy służy także ich interesom.

– Phundahlianie, z drugiej strony, to skończeni sentymentalisci, pełni bezdennej głupoty i przesądów, ofiary własnej nieznośnej zarozumiałości. Samo to, że dalej trzymają na tronie tę starą jędzę Xaxę, świadczy o ich wyjątkowej głupocie. Jest arogancką, samolubną, głupią i okrutną ignorantką. Jednak Phundahlianie będą walczyć i ginąć za nią, bo jest córką

Jeddaka Phundalian. Ustala podatki, które wykańczają ludność, źle nią rządzi, wykorzystując ją, oszukując i zdradzając, ale poddani dalej padają jej do stóp i chcą za nią walczyć. Dlaczego? Tylko dlatego, że jej ojciec był Jeddakiem, tak jak i dziadek, pradziadek i tak aż do starożytności. Dlatego, że oni wszyscy są kierowani sentymentami, a nie rozsądkiem. Dlatego, że ci wszyscy rządzący umieli zrobić użytek z ich sentymentu.

– Nie było w niej nic godnego polecenia komukolwiek przy zdrowych zmysłach. Nawet nie była ładna. Widziałeś ją zresztą.

– Ja ją widziałem? - zapytałem zdziwiony.

– Tak, asystowałeś mi tego dnia, kiedy nadaliśmy jej staremu mózgowi nową pokrywę. To był dzień, w którymś przybyłeś z Ziemi.

– Ona? Ta stara kobieta była Jeddarą Phundalian?

– Tak, to właśnie była Xaxa.

– Czemu nie traktowałeś jej w sposób należyty dla władczyni? Każdy z nas na Ziemi zupełnie inaczej wyobrażałby sobie stosunek do władcy. Przez to też nie wiedziałem nawet, że to była ona. Myślałem, że to jakaś zwykła bogata starsza pani.

– Ja jestem Ras Thavas - powiedział. - Dlaczego miałbym pochylać głowę przed kimkolwiek? W moim świecie intelekt jest najważniejszy. Nie liczy się nic innego tylko mózg i mogę przyznać bez egotyzmu, że pod tym względem jestem największy.

– Czyli nie jesteś jednak do końca pozbawiony sentymentów - stwierdziłem, uśmiechając się. - Uznajesz dumę ze swojego intelektu.

– To nie duma - powiedział spokojnie jak na siebie. - To jest po prostu fakt, który stwierdzam. Fakt, który nietrudno mi udowodnić. Wielce prawdopodobne, że posiadam najlepszy, najbardziej rozwinięty i najlepiej funkcjonujący umysł spośród wszystkich istot, jakie spotkałem. Jeśli pójść dalej tym tropem, możliwe, że mam najbardziej rozwinięty i najlepiej funkcjonujący umysł na cały Barsoom. Z tego co już wiem o Ziemi i z tego co póki co dowiedziałem się od ciebie, jestem przekonany, że na Ziemi nie

macie też nikogo, kto choć prowizorycznie zbliżyłby się do tego, co zrobiłem i osiągnąłem przez 1000 lat badań i nauki. Rassom (Merkury) i Cossom (Wenus) mogą mieć istoty o inteligencji równej czy nawet większej od mojej. Póki co przeprowadziliśmy pewne badania ich fal myślowych, jednak na razie nasze instrumenty badawcze pozwalają nam tylko przypuszczać, że mają mieszkańców o wielkiej sile, wyrafinowaniu i łatwości przystosowania się.

– A co z tą dziewczyną, której ciało dałeś Jeddarze? - spytałem trochę z innej beczki, jako że nie mogłem wymazać z pamięci obrazu tego pięknego, słodkiego ciała, które musiało mieć równie słodki i mądry umysł.

– To tylko przedmiot, nic więcej jak przedmiot - odpowiedział, machając ręką.

– Co z nią będzie? - zapytałem.

– Co za różnica? - Obstawał dalej przy swoim. - Wykupiłem ją wraz z całą grupą więźniów wojennych. Nie pamiętam nawet, z jakiego kraju mój agent ich przywiózł ani skąd pochodzili. To nie jest dla mnie ważne.

– Czyli kupiłeś ją żywą? - pytałem dalej.

– Tak, a co?

– Czyli... yhm... to ty ją zabiłeś?

– Od razu - zabiłem! Nie, ja ją tylko zakonserwowałem! Dlaczego miałbym jej pozwolić starzeć się i dostać zmarszczek? Nie miałyby już wtedy takiej wartości, nie? Nie, zakonserwowałem ją. Kiedy Xaxa ją kupiła, była tak młoda i śliczna jak w dniu, kiedy do mnie trafiła. Wiele kobiet ją oglądało od tego czasu, pragnąc mieć jej ciało i twarz, ale w końcu padło na samą Jeddarę. To ona zaoferowała mi najwyższą cenę, jaką kiedykolwiek w ogóle dostałem.

– Taaak, trzymałem ją długo, ale wiedziałem, że któregoś dnia zwróci mi się z nawiązką - dodał.

– Była faktycznie bardzo śliczna i - jak widzisz - sentyment przydaje się w takich sytuacjach. Gdyby nie sentyment, nie byłoby głupców

wspierających tak moje działania i pozwalających mi na ciągły rozwój. Wiem, że może cię to zdziwić, ale czuję, że jestem już prawie zdolny stworzyć nowy myślący gatunek ludzki. Wszystko dzięki kilku prostym chemicznym operacjom z wiązkami promieni, o których wasi ziemscy naukowcy pewnie jeszcze nie wiedzą, jeśli mam oceniać przynajmniej po twoich brakach w wiedzy.

– Wcale bym się nie zdziwił - zapewniłem go. - Nie zdziwiłoby mnie chyba nic, co jesteś w stanie zrobić.

## ROZDZIAŁ 4:

### VALLA DIA

Leżałem długo tej nocy, myśląc o 4296-E-2631-H, ślicznej dziewczynie, której ciało skradziono, aby stworzyć piękną oprawę dla straszego umysłu starej jędzy. Wydawało mi się to tak okrutnym przestępstwem, że nie mogłem przestać o tym myśleć. Roztrząsanie tego zapoczątkowało we mnie chyba też nienawiść i wstręt do Ras Thavasa. Nie mogłem sobie nawet wyobrazić, jak komuś może przemknąć przez myśl, by odbierać życie tak pięknej dziewczynie, choćby dla jak najszlachetniejszych celów. Tym bardziej nie mogłem sobie wyobrazić osoby, która zrobiła to dla śmierdzących pieniędzy.

Tak długo rozmyślałem o tej dziewczynie, że była pierwszą rzeczą, która pojawiła się w mojej głowie o świcie. Kiedy już zjadłem posiłek, a Ras Thavas się nie pojawiał, poszedłem prosto do magazynu, gdzie trzymał tę biedną istotę. Leżała tu opisana jako 4296-E-2631-H. Ciało starej kobiety z wyniszczoną twarzą leżało przede mną w surowym śmiertelnym bezruchu. Jednak to nie ją zobaczyłem, gdyż pod tymi szarymi lokami widziałem urzekające promienne piękno.

Ta istota, leżąca przede mną i wyglądająca jak Xaxa, nie była nią do końca, jako że to chłodne ciało nie zawierało najważniejszej rzeczy - umysłu Xaxy. Jak straszne musiałyby być powrót do życia dziewczyny, jeżeli kiedykolwiek by do niego doszło! Wzdrygnąłem się na myśl o horrorze, jaki by przeżyłaby, zdając sobie sprawę z okrucieństwa, jakie jej wyrządzono. Kim była? Jaka historia jest zamknięta w tym głuchym,

zmarłym mózgu? Ile miłości musiała przeżyć osoba o tak nieskończenie pięknej twarzy i tak niesamowitej gracji? Czy Ras Thavas kiedykolwiek wybudził ją z tej pozornie szczęśliwej śmierci? Na pewno szczęśliwszej, niż gdyby miała się starzeć. Wzdrygnąłem się na myśl o przywróceniu jej do życia i zapragnąłem ją usłyszeć, poznać ten umysł, który w niej żył, poznać jej imię, wysłuchać historii tego kochanego życia, które zostało tak bezczelnie zabrane ze swojego domu, tak okrutnie potraktowane przez los. I wyobraźcie sobie, że obudziłaby się! Wyobraźcie sobie, że obudziłaby się i - nagle poczułem rękę na swoim ramieniu. Odwróciłem się, a za mną stał Ras Thavas.

– Widzę, że cię to zainteresowało - rzekł.

– Zastanawiałem się - odpowiedziałem - jak zareagowałby umysł tej młodej dziewczyny, gdyby ją wskrzeszono i gdyby zobaczyła, że jest teraz taką starą kobietą?

Pomacał się po podbródku i spojrzał mi prosto w oczy. - Interesujący eksperyment muszę przyznać - powiedział.

– Cieszę się, że zaczynasz interesować się naukowymi problemami, które podejmuję tutaj w moim laboratorium. Przez ostatnie 100 lat mojej pracy nie skupiałem się raczej na psychologicznych aspektach, muszę przyznać. Kiedyś przywiązywałem do tego więcej wagi. To byłoby ciekawe obserwować i analizować kilka spośród tych przypadków. Ten jeden może mieć szczególne znaczenie dla ciebie, jako że będzie twoim pierwszym. Później zajmiemy się kolejnymi przypadkami - przeanalizujesz te, gdzie kobiecy mózg został przełożony do męskiej czaszki albo na odwrót. Są także interesujące przypadki, kiedy jakaś uszkodzona, niesprawna część mózgu zostaje wymieniona częścią od innej osoby. W celach naukowych można także przeszczepić mózg człowieka różnym bestiom i vice versa. Wtedy dopiero mamy duże pole do obserwacji! Przychodzi mi na myśl sprawa sprzed kilku lat, kiedy przeszczepiłem połowę mózgu małpy do mózgu człowieka, po tym, jak jemu samemu usunąłem wcześniej jedną



półkulę. Jest to przypadek już kilkuletni, ale cały czas myślę, że można by do niego wrócić i odnotowywać rezultaty. Przyjrzymy się temu niebawem. Minęło już w końcu trochę lat od tego zabiegu. Musi być jeszcze kilka ciekawych przykładów, które wyleciały mi chwilowo z głowy. Ale wskreśmy przypadek 4296-E-2631-H.

– Nie! - wykrzyknąłem, kładąc mu rękę na ramieniu. - To będzie straszne.

Odwrócił się do mnie zdziwiony i z charakterystycznym dla siebie zgryźliwym uśmiechem krzyknął: - Ty ckliwy, sentymentalny głupcze! Kto śmie mi odmawiać?

Chwyciłem za rękojeść mego miecza, patrząc mu stanowczo w oczy.

– Ras Thavas - powiedziałem. - Ty jesteś moim gospodarzem i mistrzem, ale od kiedy jestem też twym gościem, traktuj mnie z godnością.

Przyjrzał mi się, ale spojrzenie gdzieś mu uciekało. - Byłem zbyt porywczy - rzekł.

– Zapomnijmy o tym - powiedziałem. Doprowadziłem do przeprosin, czego naprawdę się nie spodziewałem, chociaż sytuacja była dość nieprzyjemna. Myślę, że od tej pory traktował mnie z dużo większym respektem. Teraz powrócił jednak do płyty, na której leżały pozostałości po 4296-E-2631-H.

– Przygotuj pacjenta do przywrócenia go do życia. I zrób przy tym badania, jakie możesz - powiedział i wyszedł zaraz z pomieszczenia.

W pracy, co do której miałem sporo wątpliwości, byłem już całkiem biegły. Przekonany, że dobrze robię, słuchając Rasa Thavasa, zostałem członkiem jego świty. Krew, która płynęła kiedyś przez piękne ciało, które Ras sprzedał Xaxie, spoczywała w hermetycznie szczelnym naczyniu, na półce nad ciałem. Tak jak robiłem to do tej pory pod czujnym okiem mojego przełożonego, tak teraz zacząłem robić to samodzielnie. Krew podgrzana, nacięcia zrobione, tuby przyczepione, kilka kropel przezroczystego płynu przywracającego życie dolane do krwi. Byłem teraz

gotowy przywrócić życie młodemu umysłowi, który leżał martwy przez 10 lat. Kiedy mój palec spoczywał już na guziku uruchamiającym całą operację, wskrzeszającym uśpione żyły, przeszło mnie tak dziwne uczucie, że chyba żaden inny człowiek nie przeżył jeszcze niczego podobnego.

Stałem się chwilowo panem życia i śmierci - i w momencie, kiedy byłem bliski wskrzeszenia kogoś z umarłych, poczułem się bardziej jak morderca niż wybawca. Próbowałem spojrzeć na całą procedurę bezuczuciowo, chłodnym okiem naukowca, ale nie dałem rady. Widziałem tylko załamana dziewczynę, szlochającą nad utratą swojego piękna. Tłumiąc w sobie przekleństwa, odwróciłem się. Nie mogłem tego zrobić! Wówczas jakby opanowała mnie jakaś zewnętrzna siła i mój palec sam nieomylnie powędrował w stronę guzika - i wcisnął go. Nie potrafię tego wyjaśnić w logiczny sposób. Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to teoria dualizmu, która tłumaczy wiele rzeczy. Być może mój subiektywny umysł podświadomie kierował aktem. Wiem tylko, że to zrobiłem. Wcisnąłem guzik, a krwi w naczyniu zaczęło powoli ubywać.

Stałem jak zaczarowany, patrząc, co się dzieje. Naczynie zrobiło się już praktycznie puste. Wyłączyłem silniczek maszyny, usunąłem tuby, delikatnie okleiłem taśmą zrobione wcześniej nacięcia. Czerwone rumieńce zabarwiły skórę, zastępując siny, blady, purpurowy odcień kojarzony ze śmiercią. Klatka piersiowa regularnie powiększała się i opadała, głowa przewróciła się w moją stronę, a oczy otworzyły. Ciche westchnięcie wydobyło się z jej ust. Przez dość długi czas nie okazała potem żadnego znaku życia, aż nagle otworzyła oczy. Z początku były one matowe i ospałe, po chwili jednak zaczął pojawiać się w nich błysk i zainteresowanie. Oczy wypełnione zdumieniem, spoczęły wpierw na mnie, później oglądały resztę pomieszczenia. Potem wróciły do mnie i przyglądając mi się z góry na dół, skupiły się na moim obliczu. Dalej było w nich zdumienie i dociekliwość, ale nie było strachu.

– Gdzie ja jestem? - zapytała. Jej głos był głosem tej starej kobiety - wysoki i surowy. Zaniepokojenie pojawiło się na jej twarzy. - Zaraz! Co się ze mną dzieje? Co jest nie tak z moim głosem? Co się stało? - pytała.

Położyłem rękę na jej czole. - Nie przejmuj się tym teraz - powiedziałem uspokajająco. - Poczekaj, aż będziesz trochę silniejsza. Wtedy ci wyjaśnię.

Usiadła. - Jestem silna - odpowiedziała. Po czym spuściła wzrok w dół, patrząc na resztę swojego ciała, na swoje kończyny i ogarnęło ją przerażenie. - Co mi się stało? W imię mojego najstarszego przodka, co się ze mną stało?

Ostry, surowy głos zazgrzytał mi w uszach. To był głos Xaxy. Tej Xaxy, która musi teraz brzmieć słodko i delikatnie, szczególnie w połączeniu z tą piękną twarzą, którą jej ukradła. Starłem się nie myśleć o tych wszystkich skrzypliwych uwagach, tylko wyobrażałem sobie urodziwe piękno, które kiedyś otaczało duszę zamkniętą obecnie w tym starym, pomarszczonym ciele.

Wyciągnęła dłoń i położyła delikatnie na mojej. Sam ten akt był piękny, jej ruchy były pełne gracji. Mózg młodej dziewczyny pobudził mięśnie do działania, jednak czar prysł, kiedy do głosu zaczęły dochodzić zniszczone struny głosowe, nie mogące wydawać już delikatnych dźwięków. - Powiedz mi, błagam! - W starych oczach pojawiły się łzy. Zaryzykuję i stwierdzę, że po raz pierwszy od wielu lat. - Powiedz mi! Wydajesz się dobrym człowiekiem.

Tak więc powiedziałem jej. Słuchała uważnie, wzdychając co jakiś czas.

– Teraz nie wydaje się to aż tak straszne, gdy już wiem, o co chodzi. To lepsze niż bycie martwą. - To sprawiło, że poczułem się lepiej, iż wcisnąłem ten głupi przycisk. Cieszyła się, że żyje, nawet jeśli została rzucona w straszne ciało jędzy Xaxy.

– Byłaś taka piękna - powiedziałem.

– A teraz jestem taka brzydka? - Nie odpowiedziałem nic.

– W sumie jakie to ma znaczenie? - spytała zaraz. - To stare ciało nie może mnie zmienić, sprawić, że będę inna niż zawsze. Dobro zawsze we mnie pozostanie, bez względu na słodkość czy delikatność. Mogę być szczęśliwa, że jestem znowu wśród żywych i mam szansę zrobić coś dobrego. Byłam na początku przerażona, bo nie wiedziałam, co się ze mną stało. Myślałam, że może złapałam jakąś straszną chorobę, która tak mnie zmieniła, a to mnie przeraziło. Lecz teraz, kiedy już wiem - pff, trudno, co z tego?

– Jesteś niesamowita - powiedziałem. - Większość kobiet oszalałaby ze smutku i rozpacz, gdyby straciły takie piękno, a ty nie przywiązujesz do tego wagi.

– Oj, uwierz mi, że przywiązuję, mój przyjacielu - poprawiła mnie. - Ale nie na tyle, żeby rujnować sobie życie przez to w innych aspektach albo żeby rzucać cień na osoby wokół mnie. Miałam swoje piękno i cieszyłam się nim. Nie była to jednak czysta radość, mogę cię zapewnić. Mężczyźni przez to zabijali się nawzajem; przez to dwa wielkie narody poszły na wojnę; i prawdopodobnie też przez to mój ojciec stracił tron, a może nawet życie. Nie wiem, bo zostałam schwytana przez obce wojska, gdy wojna jeszcze szalała. Być może nadal szaleje i ludzie nadal umierają, bo byłam zbyt piękna. Przynajmniej teraz nikt nie będzie przeze mnie walczył - dodała z ponurym uśmiechem.

– Wiesz jak długo tu byłaś? - zapytałem.

– Tak - odpowiedziała. - To było przedwczoraj, kiedy przywieźli mnie tutaj.

– To było 10 lat temu - poprawiłem ją.

– 10 lat? Niemożliwe!

Wskazałem jej na ciała leżące wokół. - Leżałaś tu jak oni przez 10 lat - wyjaśniłem. - Tu są ciała, które leżą nawet 50 lat, z tego co mi mówi Ras Thavas.

– 10 lat! 10 lat! Tyle się mogło wydarzyć przez 10 lat! Tak jest w sumie lepiej, bałabym się wracać teraz. Nie chce się dowiedzieć, że moja mama czy mój ojciec nie żyją. Tak jest lepiej. A może pozwolisz mi znowu tak „zasnąć”? Nie mogę?

– To zależy od Ras Thavasa - odpowiedziałem. - Ale przez jakiś czas będę cię obserwował.

– Obserwował?

– Analizował cię, twoje reakcje.

– Aaa, i co to dobrego przyniesie?

– Może przyniesie to coś dobrego dla świata.

– To może przynieść temu wstrętnemu Ras Thavasowi nowe pomysły do jego pokoju tortur - jakieś nowe metody na bogacenie się, zarabiania na ludzkiej krzywdzie - odparła smutnym głosem.

– Robi też dobre rzeczy - odpowiedziałem. - Pieniądze, które zarabia, pozwalają mu utrzymywać to wspaniałe miejsce, gdzie dokonuje ciągle niezliczonych eksperymentów. Wiele z jego operacji jest wspaniałomyślnych. Wczoraj przywieziono mu wojownika, którego ramię było tak uszkodzone, że nie dało się go uratować. Ras Thavas dał mu nowe ramię. Urodziło się dziecko chore umysłowo, a Ras dał mu nowy mózg. To ramię i mózg pochodziły od osób, które nagle zmarły. Dzięki Ras Thavasowi mogły pośmiertnie dać życie i szczęście innym.

Pomyślała przez chwilę i odparła: - To mi wystarczy. Mam tylko nadzieje, że to ty będziesz zawsze tym obserwatorem.

W tejże chwili wszedł do pokoju Ras Thavas i obejrzał ją. - Dobry przypadek - rzekł. Spojrzał na kartę, gdzie zapisałem swoje krótkie obserwacje, opierając się trochę na innych wpisach, pokrewnych do historii przypadku  $4_{29}6-E-2_{631}-H$ . Oczywiście to jest dość wolne tłumaczenie. Barsoomianie nie mają alfabetu podobnego do naszego i ich system liczb jest też dość odmienny. Te 13 znaków powyżej tworzyły 4 znaki

toonoliańskie. Ich znaczenie jednak było dość podobne. Oznaczały one wszystkie, w skróconej formie, numer sprawy, pokoju, stołu i budynku.

– Pacjentka zostanie zakwaterowana blisko ciebie, żebyś mógł ją regularnie obserwować. Będzie to pokój sąsiadujący z twoim. Zobaczę, czy jest otwarty. Zabierz tam pacjentkę. Kiedy nie będzie pod twoją obserwacją, zamykaj ją tam.

Była to dla niego tylko kolejna z wielu spraw.

Zabrałem dziewczynę, jeśli mogę tak mówić w tym przypadku, do jej kwatery. Po drodze zapytałem ją o imię, tłumacząc, że nieelegancko bym się czuł, zwracając się do niej 4296-E-2631-H.

– To bardzo miłe, że pomyślałeś o tym - powiedziała. - Ale naprawdę to wszystko, po co tu jestem, po prostu kolejny obiekt do wiwisekcji.

– Dla mnie jesteś czymś więcej niż tylko obiektem - odparłem. - Jesteś samotna i bezbronna. Chcę ci pomóc, jak tylko umiem - uczynić twój los łatwiejszym, jeśli mogę.

– Dziękuję ci raz jeszcze. Nazywam się Valla Dia, a ty?

– Ras Thavas mówi do mnie Vad Varo.

– Ale to nie jest twoje imię?

– Moje imię to Ulysses Paxton.

– To dziwne imię, inne niż wszystkie, które do tej pory słyszałam. Ale ty też jesteś inny niż wszyscy mężczyźni, których do tej pory spotkałam. Twój kolor skóry jest inny niż wszystkie, które tu do tej pory widziałam.

– Nie jestem bowiem z Barsoom, tylko z Ziemi. Z planety, którą nazywacie czasem Jasoom. Dlatego też różnię się w wyglądzie od innych, których do tej pory spotkałaś.

– Jasoom? Jest tutaj jeszcze inny człowiek z Jasoom, którego sława sięgnęła do najdalszych zakątków Barsoom, ale ja nigdy go nie widziałam.

– John Carter?

– Tak, John Carter, Wódz. Był od tych z Helium, a moi ludzie nie byli w dobrych stosunkach z tymi z Helium. Nigdy nie rozumiałam, dlaczego się

tu znalazł. A teraz nagle zjawia się tu kolejny Ziemianin. Jak to możliwe? Jak pokonałeś wielką próżnię? Pokręciłem głową. - Nie potrafię nawet zgadnąć - odpowiedziałem.

– Jasoom musi być zamieszkane przez cudownych mężczyzn - stwierdziła. Muszę przyznać, że był to niezły komplement.

– Tak jak Barsoom przez piękne kobiety.

Spojrzała smutno na swoje stare i pomarszczone ciało.

– Widziałem prawdziwą ciebie - powiedziałem łagodnie.

– Nie chcę nawet myśleć o swojej twarzy. Wiem, że jest straszna.

– To nie jesteś ty. Pamiętaj o tym, kiedy ją zobaczysz, i nie czuj się źle z tego powodu.

– Jest aż tak źle?

Nie odpowiedziałem nic

– Nieważne - dodała zaraz. - Jeśli nie miałabym pięknej duszy, nie byłabym piękna. Nie ważne, jak piękna byłabym z wyglądu. Jednak jeśli posiadałam piękną duszę, to nadal jestem piękna. Więc mogę mieć piękne myśli i robić wspaniałe rzeczy i myślę, że to właśnie jest prawdziwy test czyjegoś piękna.

– I jest nadzieja - odparłem cichutko, niemal szepcząc.

– Nadzieja? Nie, nie ma nadziei. Jeśli masz na myśli to, że pewnego dnia odzyskam moje stracone ciało. Powiedziałeś mi już wystarczająco dużo, żeby przekonać mnie, że tak się nigdy nie stanie.

– Nie będziemy o tym rozmawiać - odpowiedziałem. - Ale możemy o tym myśleć, a czasami myślenie i pragnienie czegoś bardzo pomaga nam to osiągnąć. Jeśli wystarczająco mocno tego chcemy.

– Nie chcę mieć nadziei - zripostowała. - Jako że przyniesie mi to tylko rozczarowanie. Chcę być szczęśliwa, będąc, jaka jestem. Mając nadzieję, będę wiecznie nieszczęśliwa.

Zamówiłem jedzenie dla niej, poczekałem, aż je dostanie, i wyszedłem, bowiem Ras Thavas po mnie posłał. Musiałem zamknąć jej drzwi, tak jak

nakazał starszek. Znalazłem Rasa w jego biurze - małym pokoju sąsiadującym z bardzo dużym, gdzie cały tabun asystentów sporządzał i klasyfikował raporty z różnych wydziałów jego wielkiego laboratorium. Wstał, kiedy wszedłem.

– Chodź ze mną, Vad Varo. Musimy się przyjrzeć dwóm przypadkom w L-42-X. Tym, o których ci mówiłem.

– Człowiekowi z połową mózgu od małpy i małpie z połową ludzkiego mózgu? - zapytałem.

Pokiwał twierdząco głową i wyprzedził mnie w stronę korytarza prowadzącego do piwnic budynku. Kiedy weszliśmy tam, korytarze i ściany wskazywały, że dawno nikt tu nie był.

Podłogi pokryte były niepojętym kurzem, długo nie zaznając żadnej obecności. Małe radowe kolby, które podświetlały zmarłych, były podobnie zakryte. Kiedy przechodziliśmy dalej, mijaliśmy wiele korytarzy po obu stronach, każdy opisany jakimiś hieroglifami. Niektóre z drzwi zostały szczelnie zamurowane. Jakie straszne tajemnice mogły skrywać? W końcu doszliśmy do L-42-X. Ciała były tu poukładane na półkach, których kilka rzędów niemal całkowicie zastawiło pokój od podłogi do sufitu. Jedyne prostokątny obszar w środku pomieszczenia był wolny. Stał tam ersajtowy stół operacyjny z różnymi narzędziami chirurgicznymi, z silniczkami i innym sprzętem laboratoryjnym.

Ras Thavas odszukał te dziwne obiekty swoich eksperymentów i razem przenieśliśmy ciało człowieka na stół. Podczas gdy Ras przyłączał tuby, ja sięgnąłem po naczynie z krwią, znajdujące się na tej samej półce co ciało. Znana już mi operacja rewiwifikacji została szybko przeprowadzona i po chwili patrzyliśmy już, jak pacjent powoli odzyskuje przytomność.

Mężczyzna usiadł i spojrzał na nas, potem szybko rozejrzał się po pokoju. Gdy powrócił wzrokiem do nas, w jego oczach pojawił się złowrogi błysk. Powoli zsunął się na podłogę ze stołu, na którym leżał.

– Nie skrzywdzimy cię - powiedział Ras Thavas.



Mężczyzna próbował odpowiedzieć, jednak jego słowa były jakimś niezrozumiałym bełkotem. Ras zrobił krok w jego stronę, lecz w tym momencie mężczyzna zaczął chodzić na czworaka, kładąc kostki swoich dłoni na ziemi, i odsunął się, rycząc.

– Wracaj! - krzyczał za nim naukowiec. - Nie zrobimy ci krzywdy - próbował ponownie. Na nic się to jednak nie zdało. Mężczyzna uciekał dalej, warcząc przy tym coraz bardziej. Nagle zaczął wdrapywać się na najwyższą półkę, gdzie przykucnął nad jednym z ciał i bredził coś do nas.

– Zdaje się, że będzie nam potrzebna pomoc - mówiąc to, Ras skierował się do korytarza, gdzie zagwizdał swoim gwizdkiem.

– Na co tak gwizdziesz? - zapytał nagle mężczyzna. - Kim jesteś? Co ja tu robię? Co mi się stało?

– Zejdź na dół - odpowiedział starzec. - Jesteśmy przyjaciółmi.

Mężczyzna zszedł powoli z półki i zaczął iść w naszą stronę. Ciągle jednak na czworaka. Spojrzał przez chwilę na rozstawione wokół ciała i jego oczy na nowo wypełnił złowrogi błysk.

– Jestem głodny! - krzyczał. - Będę jeść! - Po czym chwycił najbliższe ciało i zrzucił je na ziemię.

– Przestań, stój! - błagał przerażony Ras Thavas, idąc w jego stronę. Ale mężczyzna uciekał tylko, zrzucając na ziemię kolejne ciała. W tym też momencie weszli kolejni asystenci i z ich pomocą obezwładniliśmy i związaliśmy biedne stworzenie. Następnie Ras Thavas posłał asystentów po ciało małpy, po czym powiedział im, żeby zostali, jako że możemy ich jeszcze potrzebować.

Obiekt ten był przedstawicielem białej rasy małp barsoomiańskich - najgroźniejszej i najbardziej przerażającej, zamieszkującej głębiny Czerwonej Planety. Dlatego też staruszek, znając wielką siłę i brutalność małpy, wolał upewnić się, że będzie bezpiecznie związana, zanim podejmie się jej ponownego wskrzeszenia.

Była to ogromna istota, mająca około 10 do 15 stóp wysokości, stojąca prosto, mająca pośredni zestaw ramion czy nóg pomiędzy górnymi a dolnymi kończynami. Oczy miała blisko siebie, zwykłe, niewystające. Uszy umieszczone wysoko. Pysk i zęby natomiast przypominały do złudzenia te afrykańskich goryli.

Gdy powracała jej świadomość, istota zbadła nas wzrokiem. Kilukrotnie próbowała coś powiedzieć, ale wydobyła z siebie tylko jakieś niewyartykułowane dźwięki.

Gdy tak leżała, przemówił do niej Ras Thavas: - Jeśli rozumiesz moje słowa, pokiwać głową. - Istota pokiwała głową.

- Czy chcesz być uwolniona z więzów? - zapytał naukowiec.

Osobnik ponownie pokiwał twierdząco.

- Obawiam się, że będziesz chciał nas skrzywdzić albo uciec - odpowiedział Ras.

Małpa wyraźnie chciała coś wyartykułować, jednak nie mogła długo nic powiedzieć. Dopiero na koniec wydała z siebie dźwięk, którego nie można pomylić z niczym innym - zwykłe „nie”.

- Nie chcesz zrobić nam krzywdy czy próbować uciekać? - starszek spytał raz jeszcze.

- Nie - odpowiedziała małpa. Tym razem powiedziała to wyraźnie.

- Zobaczymy - odparł Ras Thavas. - Ale pamiętaj, że jeżeli tylko nas zaatakujesz, to możemy w każdej chwili cię unicestwić.

Małpa pokiwała znowu głową i z trudem wypowiedziała powoli: - Nie zrobię wam krzywdy.

Na znak Rasa Thavasa asystenci rozwiązali istotę, a ta po chwili usiadła. Rozprostowała swoje kończyny i zeszła z łatwością na podłogę. W przeciwieństwie do mężczyzny stała prosto na dwóch nogach. Ras wyjaśnił mi później, że człowiek z połową małpiego mózgu poruszał się na czworaka w wyniku odwrócenia zachowań po przeniesieniu małego mózgu małpy do dużej ludzkiej czaszki.

Ras dosyć długo badał obiekt, po czym wznowił swoją obserwację ludzkiego pacjenta. Ten z kolei nadal przejawiał więcej cech małpy niż człowieka, lecz mówił znacznie łatwiej niż człowiek. Było tak chociażby dlatego, że miał do dyspozycji bardziej rozwinięte organy głosowe. Trzeba było dużego wysiłku i maksymalnej uwagi, by zrozumieć słowa małpy.

– Nie ma w nich niczego szczególnego - powiedział starzec po trwającej pół dnia obserwacji. - Pokazują to, co ustaliłem już kilka lat temu, przeszczepiając całe mózgi. Akt przeszczepu stymuluje wzrost i rozwój komórek mózgowych. Zauważysz, że w każdym przypadku przeszczepione części mózgow są bardziej aktywne - to one w dużym stopniu kontrolują umysł. Dlatego też nasz ludzki pacjent przejawia więcej małpich cech, z kolei małpa zachowuje się bardziej jak człowiek. Jednak gdyby dłuższa i bardziej szczegółowa obserwacja była konieczna, zauważyłbyś bez wątpienia, że każde od czasu do czasu wraca do swojej normalnej natury. Człowiek zachowuje się jak człowiek, małpa jak małpa - nie jest to jednak warte poświęcania czasu, którego i tak straciłem już za dużo - nic nie zarobiłem w to przedpołudnie. Zostawię cię teraz, żebyś uspił nam z powrotem pacjentów, a sam idę na górę do laboratorium. Jeśli będzie ci potrzebna jakaś pomoc, zostawiam ci asystentów.

Małpa, która słuchała tego wszystkiego z żywym zainteresowaniem, zaczęła mnie prosić: - Och, proszę, błagam cię! - wymamrotała. - Nie skazuj mnie na powrót na te straszne półki. Pamiętam, jak przyniesiono mnie tutaj, szczelnie i mocno związanego. Chociaż nie wiem, co mi przeszczepiano od tego czasu, mogę się domyślać po mojej skórze i po obecności tych wszystkich zakurzonych ciał wokół, że leżałem tu już całkiem długo. Błagam cię, pozwól mi żyć i pozwól wrócić do moich braci i sióstr. Albo pozwól mi służyć na tyle, na ile będę mógł w tym środowisku. Trochę je już poznałem w czasie od schwytania mnie do przyniesienia tutaj.

– Nonsens! - krzyknął niecierpliwy Ras Thavas. - Lepiej dla ciebie samego, gdy jesteś tu, przechowywany dla nauki.

– Zgódź się na jego prośbę - zacząłem go błagać - a ja wezmę całą odpowiedzialność za to, a przy okazji też wiele się nauczę, obserwując go.

– Rób, jak ci powiedziałem - odburknął Ras i wyszedł z pomieszczenia.

Wzruszyłem ramionami. - Czyli nic się nie da zrobić - powiedziałem.

– Mogę was wszystkich powalić i uciec - zaczęła zastanawiać się głośno mała. - Ale ty byś mi pomógł. Nie zabiłbym nikogo, kto mógłby być moim przyjacielem. Ciarki mnie przechodzą na myśl o kolejnej śmierci. Ile ja już jestem tutaj?

Odwołałem się do historii sprawy, którą leżała z przodu stołu. - Dwanaście lat - odparłem.

– I w sumie dlaczego nie? - pytał dalej sam siebie. - Ten naukowiec mnie zabije, dlaczego więc ja nie miałbym go zabić pierwszego?

– Nie przyniesie to niczego dobrego - zapewniłem go. - Możesz nigdy wtedy stąd nie uciec. W zamian możesz być naprawdę zabity, umierając tak, że Ras Thavasowi już nigdy nie będzie opłacało się ciebie wskrzeszać. Za to ja, nawet jeśli mam szansę i chęci cię wskrzesić, byłbym wtedy martwy przez ciebie i nie będę mógł cię uratować.

Mówiłem niskim głosem, nachylając się do jego ucha, tak żeby asystenci Rasa mnie nie słyszeli. Mała słuchała uważnie.

– Zrobisz tak, jak proponujesz? - spytał.

– Przy pierwszej możliwej okazji - zapewniłem go.

– Świetnie - odpowiedział. - Poddam się i zaufam tobie.

Pół godziny później obydwaj pacjenci wrócili na swoje półki.

## ROZDZIAŁ 5:

### UMOWA

Mijały dni, tygodnie, miesiące, a ja dzień po dniu urzędowałem razem z Ras Thavasem w laboratorium - i muszę przyznać, że staruszek obdarzał mnie coraz większym zaufaniem, odkrywając kolejne tajemnice swojej profesji i swoich umiejętności.

Powoli przydzielał mi coraz ważniejsze funkcje w swoim laboratorium. Zacząłem przeszczepiać kończyny z jednego ciała do drugiego, potem organy układu trawiennego. Potem dał mi przeprowadzić samemu całą operację wycięcia nerek z młodego chłopaka i wszczepienia ich staremu pacjentowi, który płacił za ten zabieg. Innego dnia wszczepiłem karłowatemu dziecku nowy gruczoł tarczycy. Tydzień później wykonałem dwie transplantacje serca. I następnie doczekałem się w końcu swojej wielkiej chwili, kiedy bez pomocy Ras Thavasa, który stał cicho za mną, wyjąłem mózg starego człowieka i wszczepiłem go do małej czaszki młodego chłopca.

Kiedy skończyłem cały zabieg, Ras Thavas położył mi dłoń na ramieniu. - Sam bym tego nie zrobił lepiej - powiedział zadowolony. Wyglądał na przepełnionego dumą i radością. Zastanawiałem się nad tym nagłym przejawem emocji, bowiem pamiętałem dobrze, jaki to jest dumny z powodu ich braku. Myślałem często o tym, dlaczego Ras Thavas poświęca tyle czasu na szkolenie mnie, ale zawsze dochodziłem do wniosku, że wraz z rozwijaniem swojego wielkiego laboratorium potrzebuje wykwalifikowanego asystenta. Jednak gdy przyjrzałem się notatkom, do

których miałem teraz dostęp, zauważyłem, że jego obecna działalność nie odbiega wcale od tego, jak wyglądało to dawniej. A nawet jeśli by odbiegała i zakres obowiązków miał się zwiększyć, to nie widziałem tak naprawdę żadnego rozsądnego powodu, dla którego wybrał mnie zamiast swoich czerwonoskórych Marsjan. Jego wiara w moją lojalność nie tłumaczyła mi do końca mojego awansu, kiedy mógł zostawić mnie jako swojego stróża, a chirurgii uczyć jakiegoś Barsoomianina.

Odkryłem jednak właśnie, że miał znakomity powód, aby tak zrobić. Zresztą Ras Thavas zawsze musiał mieć znakomity powód, żeby coś robić. Jednego wieczoru, kiedy skończyliśmy naszą kolację, usiadł naprzeciwko mnie i zaczął wpatrywać mi się głęboko w oczy, tak jak miał to dość często w zwyczaju - zupełnie jakby chciał czytać w moich myślach, co przy okazji średnio mu wychodziło ku jego zdziwieniu i rozczarowaniu. Każdy Marsjanin bowiem zdaje sobie sprawę, że inni Marsjanie mogą dokładnie odczytać każdą jego myśl. Ras nie potrafił jednak odczytać mojej. Tłumaczył to tym, że nie jestem Barsoomianinem. Ja jednak mogłem często odczytywać myśli jego asystentów, kiedy nie służyli Ras Thavasowi, choć nigdy nie udało mi się wyczytać czegokolwiek z mojego gospodarza. Zresztą jestem pewien, że nikt nie potrafił go rozszyfrować. Jego myśli były tak szczelnie zamknięte jak jego słoiki z krwią. Nie było momentu, kiedy je odsłaniał.

Siedział tak, patrząc na mnie cały wieczór. Nie żeby mnie to zawstydzало. Byłem już przyzwyczajony do jego dziwnych zachowań. - Być może - powiedział po chwili - jedną z przyczyn, dla których ci ufam, jest to, że nie potrafię nigdy odczytać twoich myśli, więc jeśli skrywasz tam jakieś zdradliwe zamiary wobec mnie, to i tak nie mogę tego widzieć. Podczas gdy w innych od razu widzę, w każdym po kolei, mając dostęp niemal do najgłębszych zakamarków ich duszy - zawiść, zazdrość, nienawiść. Wiem, że im nie mogę ufać. Tak więc nie mam wyjścia - muszę podjąć ryzyko i stać się zależnym w pewnym stopniu od ciebie. I mój

rozum podpowiada mi, że dobrze robię. Tłumaczyłem ci, na podstawie czego wybrałem cię jako swojego stróża. Tym samym kieruję się przy wyborze na stanowisko, które cały czas mam w głowie. Nie możesz zrobić mi krzywdy, nie krzywdząc przy tym też siebie, a żaden człowiek nie robi tak celowo. Nie ma także żadnego powodu, dla którego miałbyś czuć do mnie jakąś głęboką wrogość.

– Jesteś też oczywiście sentymentalistą i patrzysz z przerażeniem na wiele czynności kierowanych racjonalnym, zdrowym, naukowym myśleniem. Jednak jesteś przy tym bardzo inteligentny i potrafisz doceniać bardziej motywy, którymi się kieruje. Nawet jeśli nie zgadasz się z nimi, bo twój sentymentalizm podpowiada ci inaczej. Mogłem cię obrazić, ale nigdy nie skrzywdziłem cię ani też żadnej istoty, wobec której mogłeś czuć tę - jak wy to nazywacie - przyjaźń czy miłość. Czy moje założenia są złe albo rozumowanie jest błędne?

Zapewniłem go, że nie są.

– To dobrze. Teraz pozwól, że ci wyjaśnię, dlaczego włożyłem tyle trudu w nauczanie cię. Jesteś tak wykwalifikowany, jak nie jest nikt inny poza mną samym. Nie jestem jeszcze gotowy cię wykorzystać - albo raczej ty nie jesteś gotowy. Jednak gdy poznasz mój plan, zrozumiesz, dlaczego muszę użyć twojej energii, aby go zrealizować. I do tego momentu będziesz jeszcze mocniej dążył do perfekcji w opanowaniu wysokiej, naukowej sztuki, niż robisz to teraz.

– Jestem bardzo starym człowiekiem - kontynuował pod dłuższej przerwie. - Nawet jeśli weźmie się pod uwagę to, jak czas płynie na Barsoom. Żyję już ponad tysiąc lat, przekroczyłem więc naturalnie przydzielony limit, ale nie skończyłem jeszcze pracy mojego życia. Ba, nawet jej dobrze nie zacząłem. Nie mogę umrzeć. Barsoom nie może zostać pozbawione tego cudownego umysłu i umiejętności, jakie posiadam. Miałem już od dawna w głowie plan, jak przechytryć śmierć, ale nie mogłem go nigdy wykonać, bo potrzebowałem kogoś z równie wielkimi

umiejętnościami. Dwie takie osoby mogą żyć wiecznie. Wybrałem cię z powodów, które ci już wyjaśniłem. Nie są one przesiąknięte sentymentalizmem. Nie wybrałem cię, ponieważ cię kocham czy lubię albo myślę, że ty mnie kochasz czy lubisz. Wybrałem cię, ponieważ wiem, że ze wszystkich ludzi na świecie ty jesteś ostatnim, który mógłby mnie zawieść. Przez jakiś czas moje życie będzie w twoich rękach. Wiesz już teraz, dlaczego tak długo myślałem, zanim podjąłem decyzję.

– Plan, który wybrałem, to prostota w czystej postaci. Pod warunkiem, że mogę liczyć na dwa czynniki: na umiejętności i lojalność popartą własnym interesem. Moje ciało jest już wyczerpane. Potrzebuję nowego. Moje laboratorium jest pełne wspaniałych ciał. Młodych, w których drzemie siła i zdrowie. Muszę sobie wybrać jedno i muszę mieć sprawnego asystenta, który przeszczepi mi mózg do tego nowego „opakowania”. - Tu zatrzymał się na chwilę.

– Teraz rozumiem, dlaczego tak mnie szkolisz - powiedziałem. - Intrygowało mnie to bardzo.

– W ten sposób będę mógł kontynuować swoje dzieła - mówił dalej. - I w ten sposób też Barsoom może liczyć na trwające niemal wiecznie korzyści, z których młode pokolenia Barsoomian mogą czerpać. Mogę żyć wiecznie, pod warunkiem że będę miał wykwalifikowanego asystenta. A mogę zapewnić to sobie tylko pod warunkiem, że on będzie żył razem ze mną. Kiedy zużyje mu się jeden organ albo całe ciało, ja mu to wymienię. Mam przecież cały magazyn ludzkich ciał i organów. I odwrotnie, on w każdej chwili może mi coś przeszczepić. Tak oto możemy żyć wiecznie, gdyż wierzę, że mózg jest niemal nieśmiertelny - chyba że zostanie ranny bądź zaatakowany przez jakąś chorobę.

– Nie jesteś jednak jeszcze gotowy, by powierzyć ci to zadanie. Musisz jeszcze przeszczepić trochę mózgow, by zapoznać się i umieć poradzić sobie z różnymi nieprawidłowościami i idiosynkrazjami. To one powodują nigdy niekończące się różnice, przez które nie ma dwóch takich samych



operacji. Jak zdobędziesz już wystarczającą biegłość, ja będę pierwszym, który to dostrzeże, i wtedy zapewnimy Barsoom bezpieczną przyszłość.

Staruszek daleki był od nienawidzenia siebie i tego, co robi. Jednak muszę przyznać, że jego plan był doskonały, zarówno dla niego, jak i dla mnie. Mógł zapewnić nam nieśmiertelność - cały czas w świetnym zdrowiu i silnych, młodych ciałach. Perspektywa była kusząca - i jaką miałem wspaniałą pozycję! Jeżeli starzec może być pewien mojej lojalności, opartej na własnym interesie, tak samo ja mogę być pewny jego, bowiem nie wchodziłby na ścieżkę wojenną z kimś, kto może zapewnić mu nieśmiertelność albo jej go pozbawić. Po raz pierwszy, od kiedy trafiłem do niego, poczułem się bezpieczny.

Jak tylko go opuściłem, skierowałem się do apartamentu Valla Dii, jako że chciałem przekazać jej te wspaniałe wiadomości. Od jej wskrzeszenia minęło już kilka tygodni. Często się widzieliśmy w tym czasie, a w naszych codziennych rozmowach odkrywałem powoli kolejne uroki jej pięknej duszy, tak że w pewnym momencie przestałem już widzieć ohydną, zniekształconą twarz Xaxy, a oczami mojej duszy widziałem ten czar i urok, którymi promieniował jej umysł. Stała się moją powierniczką, tak jak ja jej - i muszę przyznać, że ta relacja stanowiła dla mnie chyba największą przyjemność tu na Barsoom.

Jej gratulacje, kiedy powiedziałem jej moją nowinę, były szczerze i urocze. Powiedziała, że miała nadzieję, że wykorzystam swoją pozycję, by czynić dobro na świecie. Powiedziałem jej, że tak będzie i że pierwszą rzeczą, której zażądam od Ras Thavasa, będzie danie Valla Dii pięknego ciała, ale pokręciła głową.

– Nie, mój przyjacielu, jeśli nie mogę mieć swojego ciała, to to Xaxy jest dla mnie w porządku. Bez mojego ciała nie muszę martwić się o powrót do mojego kraju, podczas gdy Ras Thavas dałby mi jakieś nowe piękne ciało, stanę się łakomym kąskiem dla jego klientów, którzy będą pragnęli odkupić od niego moje ciało. Tak oto ja trafię do jakiejś skorupy, schorowanej czy

okaleczonej. Nie, mój drogi, jestem zadowolona z ciała Xaxy, chyba że mogłabym któregoś dnia na powrót posiadać swoje własne. Xaxa przynajmniej przekazała mi całkiem mocne i zdrowe opakowanie - jakkolwiek paskudne by ono nie było - ale czy wygląd ma tutaj znaczenie? Ty, mój przyjacielu, i twoja przyjaźń. To mi wystarcza. Podziwiasz mnie za to, jaka jestem, a nie za to, jak wyglądam, więc zostawmy to tak, jak jest.

– Jeśli mogłabyś odzyskać swoje dawne ciało i wrócić do swojej ojczyzny - czy chciałabyś? - zapytałem.

– Och, nie mów tego! - zapłakała. - Zwykła myśl o tym powoduje, że niemal szaleję z tęsknoty. Nie mogę żywić beznadziejnego marzenia, przez które wpędzam się tylko w większy wstręt do swojego losu.

– Nie mów, że jest beznadziejne. Tylko śmierć przekreśla nasze nadzieje.

– Wiem, że chcesz być miły - odparła - ale tylko mnie ranisz. Nie może być żadnej nadziei.

– Mogę w takim razie mieć nadzieję za ciebie? - zapytałem. - Jako że ja widzę wyjście, być może szanse jego powodzenia nie są duże, jednak ciągle jest to jakieś wyjście.

Pokręciła znowu głową. - Nie ma żadnego wyjścia! - powiedziała stanowczo. - Duhor nie będzie mnie już znał.

– Duhor? - zapytałem. - Twój... ktoś, na kim bardzo ci zależy?

– Zależy mi bardzo na Duhorze - odpowiedziała z uśmiechem. - Ale Duhor to nie ktoś, Duhor to mój dom. Kraj moich przodków.

– Jak doszło do tego, że opuściłaś Duhor? - zapytałem. - Nie opowiadałaś mi nigdy tego, Valla Dio.

– To wszystko przez Jal Hada, bezwzględnego księcia Amhor.

– Duhor i Amhor były wrogimi królestwami z pokolenia na pokolenie. Któregoś dnia Jal Had przyszedł w przebraniu do Duhoru. Podobno usłyszał o wielkim pięknie jedynej córki Kor Sana, Jeddaka Duhoru. Kiedy ją zobaczył, zapragnął mieć ją dla siebie. Powróciwszy do Amhoru, wysłał ambasadorów na dwór Kor Sana, prosić o rękę księżniczki Duhoru. Jednak

Kor San, nie mając żadnego syna, pragnął wydać swą piękną córkę za jednego z własnych Jedów, tak by syn powstały z tego związku, mający w swych żyłach krew Kor Sana, mógł rządzić Duhorem. Tak więc oferta Jal Hada z Amhoru została odrzucona.

– Rozzłościło to Amhorianina tak, że zbudował on wielką flotę, by podbić Duhor. W ten sposób chciał zdobyć siłą to, czego nie mógł zdobyć honorowo. Duhor był wtedy w czasie wojny z Helium i wszystkie siły skupione zostały na południu. Wyjątek stanowiła mała armia, którą zostawiono, by strzegła miasta. Jal Had nie mógł wybrać lepszego momentu do ataku. Duhor upadł, a podczas gdy jego żołnierze zaczęli plądrować miasto, Jel Had ograbił pałac Jeddaka i szukał księżniczki. Ta jednak nie miała zamiaru poddać się najeźdźcy i użyła swojego sprytu, aby popsuć mu plany.

– Był pośród jej świty kosmetolog, którego zadaniem było chronić lśniąca, piękną skórę i włosy księżniczki i przygotowywać ją do publicznych wystąpień, świąt oraz codziennych kontaktów z dworzanami. Był on mistrzem w swoim fachu. Potrafił zmienić zarówno brzydotę w piękno, jak i piękno w brzydotę. Szybko zawołała go i rozkazała oszpecić swoje piękno. Kiedy skończył, nikt nie przypuszczał, że to księżniczka Duhoru, tak zmyślnie zabawił się swoimi pigmentami i szczoteczkami.

– Kiedy Jal Had nie mógł znaleźć księżniczki w pałacu i żadne groźby czy tortury wobec jej sług nie przynosiły rezultatu, Amhorianin zarządził, że każda kobieta z pałacu zostanie schwytana i wzięta do Amhoru. Tam będą przetrzymywane jako zakładniczki, dopóki księżniczka nie zostanie mu dostarczona. Wszystkie zatem zostałyśmy schwytane i wrzucone na statek, który wysłano z powrotem do Amhoru przed powrotem głównej floty, która została, aby dokończyć grabież miasta.

– Statek, wraz ze swoim małym konwojem, przemierzył cztery spośród pięciu tysięcy haadów\* [\* 1.949,05 ziemskiej stopy], gdy został namierzony przez flotę z Phundahlu i doszło do niemal natychmiastowego

ataku. Eskortujące statki zostały rozbite bądź udało im się odpłynąć, a nasz został przejęty przez Phundalian. Przywieziono nas do Phundalu, gdzie zostałyśmy wystawione na targ. Wtedy pojawił się jeden z agentów Ras Thavasa, który mnie wykupił. Resztę już znasz.

– A co się stało z księżniczką? - spytałem.

– Prawdopodobnie zmarła. Jej oddział został podzielony w Phundahlu. Tylko śmierć mogła definitywnie przekreślić jej powrót do Duhoru. Księżniczka już nigdy nie ujrzy swojej ojczyzny.

– Ale ty możesz! - wykrzyknąłem, gdyż wpadłem nagle na pomysł. - Gdzie jest ten Duhor?

– Jedziesz tam? - zapytała, śmiejąc się.

– Tak!

– Jesteś szalony, mój przyjacielu - powiedziała. - Duhor leży równe 7,800 haadów od Toonol, po drugiej stronie śnieżnych Wzgórz Artoliańskich. Ty, obcy człowiek, w dodatku sam, nigdy byś się tam nie dostał. Tym bardziej że po drodze masz toonoliańskie bagna, dzikie hordy, okrutne bestie i wrogie miasta. Nawet jeśli udałoby ci się uciec z wyspy Ras Thavasa, to zamarzyłbyś tylko już na pierwszych haadach. Co cię zatem skłania, żeby się tak bez sensu poświęcać?

Nie mogłem jej powiedzieć. Nie mogłem patrzeć na to zniszczone ciało, na tę szkaradną, zniekształconą twarz i powiedzieć: „Ponieważ cię kocham, Valla Dio”. Ale to niestety było moim jedynym motywem. Gdy zacząłem ją stopniowo poznawać, powoli odkrywając wspaniałe piękno jej duszy i umysłu, zacząłem dostrzegać we własnym sercu, że ją kocham. Nie mogę tego wyjaśnić, ale nie potrafiłem tego powiedzieć tej starej wiedźmie. Widziałem to niesamowite ciało, które stanowiło kiedyś dom dla równie niesamowitej duszy prawdziwej Valla Dii, którą mógłbym kochać. Mógłbym kochać jej serce, duszę i umysł - ale nie mógłbym kochać ciała Xaxy. Targały mną też inne emocje: przede wszystkim niepewność, czy Valla Dia mogłaby odwzajemnić moją miłość. Zamknięta w ciele Xaxy, nie

mając żadnego innego adoratora, nie mając innego przyjaciela, mogłaby z wdzięczności czy czystej samotności czuć coś do mnie. Jednak tu po raz kolejny zacząłem rozmyślać, czy gdyby była Vallą Dią, prawdziwą, piękną Vallą Dią, która wróciła do pałacu swojego króla, otoczona dostojnymi arystokratami Duhoru, czy spojrzalaby w ogóle na samotnego wyrzutka z innej planety i go pokochała? Wątpiłem w to - jednak te wątpliwości nie powstrzymały mnie przed chęcią realizacji szalonego planu, który zaprzętnął mi głowę.

– Nie odpowiedziałeś mi na pytanie, Vad Varo - przerwała moje zawile rozmyślenia. - Dlaczego byś to zrobił?

– By pomścić krzywdy, jakie ci wyrządzono, Valla Dio.

Westchnęła. - Nawet tego nie próbuj, proszę - błagała. – Pozbawiłbyś mnie w ten sposób mojego jedyne przyjaciela. Twoje towarzystwo jest jedyną rzeczą, która sprawia mi tu radość. Doceniam twoją wspaniałomyślność i lojalność, chociaż mogę ich nie rozumieć. Twoja bezinteresowna chęć pomocy z narażeniem własnego życia wzrusza mnie bardziej, niż jestem to w stanie wyrazić, powiększając tylko mój dług wdzięczności wobec ciebie, ale nie możesz tego zrobić! Pamiętaj, nie możesz.

– Jeśli to cię męczy, Valla Dio - odrzekłem - nie będziemy o tym więcej rozmawiać. Pamiętaj jednak, że nie porzucam myśli o tym. Któregoś dnia znajdę rozwiązanie, nawet jeśli teraz plan ten nie zdaje egzaminu.

Mijały kolejne dni. Wspaniałe marsjańskie noce przemijały jedna za drugą. Ras Thavas spędzał coraz więcej czasu na przygotowywaniu mnie do przeszczepów mózgu. Sporo czasu zajęło, zanim stałem się biegły w tym temacie, ale czułem, że nadchodzi ten czas, kiedy Ras Thavas uzna, iż może powierzyć swoją przyszłość w moje ręce i moim umiejętności. Miał być ode mnie całkowicie zależny i zdawał sobie sprawę, że ja to wiedziałem. Mógłbym go zabić. Mógłbym zostawić go na zawsze w jego narkozie. Mógłbym także wyciąć mu jakiś numer, jakkolwiek tylko przyszedłby mi

do głowy, począwszy od dania mu ciała calota - barsoomiańskiego odpowiednika psa, skończywszy na wszczepieniu części mózgu małpy. Musiał jednak podjąć ryzyko. Tym bardziej że wiedział, iż podupadał coraz bardziej na zdrowiu. Był już praktycznie całkowicie ślepy. Tylko dzięki swoim cudownym okularom, które sam zrobił, mógł widzieć cokolwiek. Nie lepiej było ze słuchem. Od dawna był nieco głuchy i posługiwał się różnymi aparatami słuchowymi. Do tego wszystkiego doszło teraz serce, wysyłające sygnały przemęczenia, których nie mógł już ignorować.

Pewnego ranka zostałem wezwany do jego sypialni przez jednego ze sług. Zastałem go tam leżącego. Wyglądał jak skurczona, mizerna kupa skóry i kości.

– Musimy się śpieszyć, Vad Varo - wyszeptał. - Moje serce już prawie się zatrzymało na kilka cali\* [\* 0,9 sekundy]. Wtedy też posłałem po ciebie - powiedział i pokazał palcem na drzwi wychodzące z sypialni. - Tam znajdziesz ciało, które wybrałem - rzekł. - Tam, w moim prywatnym laboratorium, które wybudowałem wiele lat temu specjalnie na tę okazję, dokonasz największej operacji, o jakiej świat tylko słyszał. Przeniesiesz najwspanialszy umysł do najpiękniejszego ciała, jakie tylko ukazało się tym starym oczom. Znajdziesz tam czaszkę przygotowaną już na przyjęcie mojego mózgu. Mózg tego osobnika został już wcześniej wyjęty i zniszczony. Totalnie zniszczony. Spaliłem go. Nie mogłem bowiem, nawet hipotetycznie, ryzykować istnienia umysłu, który pragnąłby i planował wrócić do prawowitego właściciela. Nie, musiałem go zniszczyć. Zawołaj sługi i rozkaż im położyć mnie na ersajtowej płycie.

– To nie będzie konieczne - odpowiedziałem i sam wziąłem jego skurczone, małe ciało. Czując się, jakbym niósł dziecko, zaniósłem go do pomieszczenia obok. Znajdowało się tam perfekcyjnie oświetlone i przygotowane laboratorium mieszczące dwa stojące obok siebie stoły. Na jednym z nich leżało już ciało czerwonoskórego. Położyłem więc Ras Thavasa na stole obok. Następnie rzuciłem okiem na opakowanie, które

sobie wybrał. Nigdy wcześniej nie widziałem tak świetnego ciała czy tak przystojnej twarzy - Ras Thavas faktycznie dobrze wybrał. Po chwili odwróciłem się już z powrotem do mojego starca. Zgrabnie, tak jak mnie uczył, wykonałem dwa nacięcia i przyłożyłem tuby. Mój palec spoczął na guziku, który w każdej chwili mógł uruchomić wypompowywanie krwi i wpompowywanie jego niezwykłego płynu konserwująco-znieczulającego. Wtedy przemówiłem.

– Ras Thavasie, długo szkolileś mnie do tej chwili. Pracowałem sumiennie, przygotowując się najlepiej, jak mogłem, tak bym nie miał najmniejszych obaw co do pomyślnego wyniku operacji. Uczyłeś mnie przy okazji, że każde działanie powinno być kierowane własnym interesem. Jesteś więc zadowolony, że nie robię tego, bo cię kocham czy lubię, tylko myślisz, że zaoferowałeś mi wystarczające wynagrodzenie, dając mi podobną szansę bycia nieśmiertelnym.

– Pomimo twoich nauk, obawiam się, że jestem wciąż w jakimś stopniu sentymentalistą. Pragnę przyjaźni i miłości. Wynagrodzenie, które mi zaoferowałeś, jest więc zbyt małe dla mnie. Czy będziesz w stanie zapłacić więcej, żeby operacja ta została pomyślnie przeprowadzona?

Patrzył na mnie poważnie przez dobrą minutę. - Czego chcesz? - zapytał. Widziałem, że trząsał się cały ze złości, lecz nie podniósł głosu.

– Pamiętasz przypadek 4296-E-2631-H? - spytałem.

– Dziewczynę z ciałem Xaxy? Tak, pamiętam. I co w związku z tym?

– Chcę, żeby jej ciało wróciło do niej. To jest cena, którą musisz zapłacić za tę operację.

Popatrzył na mnie chwilę. - To niemożliwe. Xaxa ma to ciało. Nawet jeśli mi na nim zależało, nie mogę go odzyskać. Przejdź do operacji!

– Jednak mi obiecałeś - upierałem się dalej.

– Nie mogę obiecać ci niemożliwego - nie mogę wejść w posiadanie Xaxy. Poproś mnie o cokolwiek innego. Jestem w stanie spełnić każdą rozsądną prośbę.

– To wszystko, o co proszę - tylko to. Ale nie nalegam, żebyś zdobył to ciało. Jeżeli przyprowadziłbym tu Xaxę, przeprowadziłbyś z powrotem operację?

– To by oznaczało wojnę między Toonolem a Phundahlem - Ras kipiał ze złości.

– To mnie nie interesuje - odparłem. - Szybko! Decyduj się! W przeciągu pięciu tali powinienem nacisnąć przycisk. Jeżeli obiecasz, że spełnisz, o co proszę, zostaniesz wskrzeszony w nowym, pięknym ciele. Jeśli odmówisz, zostaniesz tu na zawsze.

– Obiecuję - wydobył z siebie powoli - że jeśli przyniesiesz mi ciało Xaxy, przeszczepię do niego, który tylko mózg będziesz chciał spośród mojego laboratorium.

– Dobrze! - wykrzyknąłem i wcisnąłem guzik.



## ROZDZIAŁ 6:

# NIEBEZPIECZEŃSTWO

Ras Thavas wybudził się z narkozy jako nowa, przepiękna osoba - młodzieniec o tak wspaniałej urodzie, jakby pochodził ze świata Bogów. W tej pięknej głowie tkwił jednak niezłomny, chłodny, tysiącletni umysł starego mistrza chirurgii. Gdy otworzył oczy, spojrzał na mnie chłodno.

– Dobra robota - powiedział.

– To, co zrobiłem, zrobiłem w imię przyjaźni, być może w imię miłości - odparłem. - Tak więc możesz dziękować temu potępianemu przez ciebie sentymentalizmowi za sukces.

Nie odpowiedział nic.

– A teraz - kontynuowałem - będę oczekiwał od ciebie spełnienia obietnicy, którą mi dałeś.

– Jeśli dostarczysz mi ciało Xaxy, przeszczepię do niego, który tylko mózg sobie wybierzesz spośród mojego laboratorium - odpowiedział. - Ale na twoim miejscu nie ryzykowałbym życia dla tak niewykonalnego przedsięwzięcia. Wybierz sobie jakieś inne ciało - jest tyle pięknych - i wszczepię do niego mózg  $_{429}6\text{-E-}26_{31}\text{-H}$ .

– Żadne inne ciało niż to, które nosi teraz Jeddara Xaxa, nie wypełni twojej obietnicy.

Wzruszył ramionami i chłodno się uśmiechnął. - Bardzo dobrze, sprowadzaj więc Xaxę - powiedział. - Kiedy zaczniesz?

– Nie jestem jeszcze gotowy, dam ci znać, gdy będę.

– Dobrze, a teraz odejść... Ale czekaj! Idź najpierw do gabinetu i sprawdź, jakie przypadki na nas czekają, i jeżeli są takie, które nie wymagają mojej osobistej uwagi i poradzisz sobie z nimi ze swoją wiedzą i umiejętnościami, to zajmij się nimi.

Gdy wychodziłem, dostrzegłem chytry uśmieszek zadowolenia na jego wargach. Co go wywołało?

Nie podobało mi się to i starałem się odgadnąć, co właściwie mogło przemknąć przez ten genialny umysł, wywołując w tej akurat chwili taki nieprzyjemny uśmiech. Będąc już na korytarzu, słyszałem też, jak wzywa swojego osobistego niewolnika i lokaja Yamdora. Był to wielki chłop, którego lojalność wynikała głównie z drogich prezentów i niezliczonych przysług, jakie otrzymywał od Ras Thavasa. Tak wielka była jego siła, że wszyscy się go bali. Yamdor mógł szepnąć swojemu panu jedno słowo i którykolwiek z wielu niewolników czy asystentów trafiał na ersajtową płytą na wieki. Krążyły plotki, że jest efektem jakiegoś nienaturalnego eksperymentu, który połączył umysł kobiety z ciałem mężczyzny, i wiele z jego zachowań czy manier potwierdzało tę tezę. Kiedy pomagał swojemu panu, jego dotyk był delikatny i lekki, jego ruchy pełne wdzięku. Natomiast jego umysł - zazdrosny, mściwy i pamiętliwy.

Wydaje mi się, że mnie nie lubił. Był zazdrosny o pozycję, jaką wyrobiłem sobie w środowisku Ras Thavasa. Byłem bowiem bezdyskusyjnie zastępcą mistrza, a on tylko niewolnikiem. Zawsze odnosił się do mnie z największym szacunkiem. Jednak był ciągle tylko małym ogniwem wspaniałej maszyny, jaką stanowiła instytucja prowadzona przez suwerenny umysł chirurga. Dlatego nie zwracałem na niego zbytnio uwagi. Podobnie teraz, kiedy tylko ukloniłem mu się w drodze do gabinetu.

Przeszedłem kawałek, kiedy przypomniałem sobie o ważnej sprawie, którą musiałem skonsultować z Ras Thavasem. Zawróciłem więc po instrukcje. Idąc korytarzem prowadzącym do jego apartamentów, doszedłem do otwartych drzwi, gdzie usłyszałem nowy głos genialnego

chirurga. Ras Thavas miał w zwyczaju mówić raczej głośno, co albo oddawało jego dominującą naturę i autorytarny charakter, albo po prostu wynikało z głuchoty. Nie wiem w sumie. Wiem za to, że po operacji, kiedy dysponował świeżymi, młodymi strunami głosowymi, jego głos czysto i płynnie niósł się po korytarzu.

– Pójdiesz więc, Yamdorze - mówił - i wybierzesz sobie dwóch niewolników, co do których jesteś pewien, że potrafią być cicho i umieją zachować dyskrecję. Weźmiesz pacjentkę z pokojów Vad Vara i zabijesz ją - tak by nie został żaden ślad po jej ciele i jej umyśle. Chwilę później przyprowadzisz tych dwóch niewolników do laboratorium F-30-L, nie pozwalając im z nikim rozmawiać, a ja już wyślę ich na wieczną ciszę i zapomnienie. Vad Varo odkryje jej nieobecność i przyjdzie mi to zakomunikować.

– Podczas mojego śledztwa przyznasz się, że pomogłeś jej uciec, ale że nie masz pojęcia, dokąd mogła pójść. Ja skazę cię na śmierć, lecz na końcu, biorąc pod uwagę, jak bardzo jesteś mi potrzebny i jak szczerze mi obiecałeś, że nie będziesz już więcej występował przeciwko mnie, odroczę twoją karę ze względu na twoje dobre sprawowanie. Czy wszystko dokładnie zrozumiałeś?

– Tak, panie - odpowiedział Yamdor.

– Znikaj stąd w takim razie i wybieraj dwóch, którzy ci pomogą.

Szybko i po cichu mknąłem przez korytarz, aż do pierwszego skrzyżowania. Skręciłem na nim, przy okazji uciekając z zasięgu wzroku kogokolwiek idącego z apartamentów Rasa. Poszedłem prosto do pokoju zajmowanego przez Valla Dię. Otworzyłem kluczem drzwi, energicznie szarpnąłem nimi i skinąłem na dziewczynę, żeby szła za mną. - Szybko! Valla Dio! - zawołałem. - Nie mamy czasu do stracenia. Próbując cię uratować, przyniosłem ci tylko zgubę. Najpierw musimy ci znaleźć jakąś kryjówkę, a potem będziemy myśleć, co dalej.

Pierwszym miejscem, jakie uznałem za wystarczającą ochronę, były piwnice wydrążone pod laboratorium - i w ich stronę ponaglałem Valla Dię. Po drodze opowiedziałem jej wszystko, co się wydarzyło. Ani na moment mi nie przerwała. Widać było za to wielką wdzięczność, jaką wyrażała za moją bezinteresowną przyjaźń do niej. Zapewniała mnie, że nie ma żalu, gdyż to nie moja wina. Przekonywała, że woli umrzeć, wiedząc, iż miała takiego przyjaciela, niż żyć wiecznie w samotności.

Dotarliśmy w końcu do pomieszczenia, którego szukałem. Piwnica L-42-X w budynku 4-J-21, gdzie spoczywały ciała małpy i człowieka, z których każde miało połowę mózgu drugiego. Tutaj musiałem zostawić Valla Dię na czas, w jaki miałem pośpieszyć do gabinetu i wykonać zadania powierzone mi przez Rasa, aby nie wzbudzać dodatkowych podejrzeń, kiedy Yamdor znajdzie jej pokój pusty.

Dotarłem do gabinetu niezauważony przez nikogo, kto mógłby donieść Ras Thavasowi, że podróż od niego zajęła mi wyjątkowo dużo czasu. Na szczęście okazało się, że nie było żadnych przypadków. Nie śpiesząc się zbyt, znalazłem wkrótce wymówkę, żeby wyjść, i udałem się prosto do swojego pokoju. Starłem się iść spokojnie, nie dając po sobie poznać zdenerwowania. Nuciłem, jak to miałem w zwyczaju (a był to zwyczaj, który niesamowicie irytował Rasa), fragmenty pewnej piosenki, która była popularna, akurat gdy opuszczałem Ziemię. Było to „Oh, Frenchy”.

Po chwili spotkałem Yamdora pędzącego korytarzem prowadzącym z moich pokoi. Szedł on razem z dwójką niewolników. Przywitałem go grzecznie, jak miałem w zwyczaju. On również grzecznie się przywitał, jednak widać było w jego oczach strach i podejrzenie. Udałem się więc szybko do mojego apartamentu, otworzyłem drzwi do przyległego pokoju, gdzie jeszcze do niedawna mieszkała Valla Dia, i potem pobiegłem szybko do Ras Thavasa. Gdy wszedłem, rozmawiał akurat z Yamdorem. Wpadłem tam cały zziębnięty, udając wielkie przejęcie.

– Ras Thavasie - krzyknąłem - co zrobiłeś z pacjentką 4296-E-2631-H? Zniknęła. Jej pokój jest pusty, a kiedy szedłem do niej, spotkałem wracającego stamtąd Yamdora z dwoma niewolnikami. - Odwróciłem się w stronę Yamdora i wskazując na niego palcem, krzyknąłem: - Yamdor! Co zrobiłeś z tą kobietą?

Obaj panowie wydali się nieźle zmieszani, więc pogratulowałem sobie w myślach, że tak łatwo zbiłem ich z tropu. „Staruszek” postanowił wszcząć natychmiastowe śledztwo i zaraz zarządził dokładne poszukiwania zarówno na terenie posesji, jak i poza nią. Yamdor stwierdził, że nie wie nic na temat Valla Dii i w jego przypadku przynajmniej wiedziałem, że mówi prawdę. Z Ras Thavasem nie mogłem mieć już takiej pewności. Widziałem podejrzliwość w jego wzroku, kiedy przesłuchiwał Yamdora. Ewidentnie jednak nie mógł wymyślić żadnego motywu, którym kierowałby się Yamdor, uprowadzając dziewczynę.

Śledztwo Ras Thavasa nic nie wykazało. Myślę, że gdy postępowało, stawał się stopniowo coraz bardziej przekonany, iż mogę wiedzieć więcej w tym temacie, niż wskazywałoby na to moje zachowanie. Odkryłem bowiem starannie zamaskowane szpiegostwo. Do tego czasu mogłem nocą spokojnie przemycać jedzenie dla Valla Dii, gdy Ras Thavas szedł już spać. Pewnej nocy podświadomie poczułem, że jestem śledzony, i zamiast iść do krypty, udałem się do gabinetu, gdzie dodałem jakieś obserwacje o przypadku, którym akurat tego dnia się zajmowałem. Wróciwszy do pokoju, zacząłem nucić „Over There”, tak żeby podkreślić bardziej moją beztroskość. Od momentu opuszczenia przeze mnie pokoju do czasu mojego powrotu doń czułem, że czyjeś oczy obserwują każdy mój krok. Co robiłem? Valla Dia musiała przecież coś jeść - inaczej zmarłaby. Gdyby ktoś jednak odkrył przeze mnie jej kryjówkę - również by umarła. Ras Thavas by już tego dopilnował.

Pół nocy nie mogłem zasnąć, próbując wymyślić jakieś wyjście z tej sytuacji.

Wyjście wydawało się jedno - zwieść moich przeciwników. Skoro raz mi się to udało, to może udałoby się wykonać w całości plan, który przyszedł mi wcześniej do głowy. Jedyne logiczne, który przywróciłby ciało Valla Dii i zakończył tę konspirację. Droga była długa, niebezpieczeństwa wielkie, ale byłem młody i zakochany, a więc też beztroski i nieświadomy konsekwencji, jakie mogły mnie spotkać. Chodziło bowiem o szczęście Valla Dii, którego nie mogłem też zbytnio ryzykować. Cóż, stres był, ale musiałem spróbować, nawet gdybym miał stracić swe życie.

Plan był gotowy, a ja leżałem na futrach i jedwabiach w ciemnościach mojego pokoju, czekając na moment, kiedy będę mógł wprowadzić go w życie. Moje okno, znajdujące się na wysokości trzeciego piętra, sięgało ponad ogrodzenie, nad szkarłatną murawę, na której wylądowałem po raz pierwszy na Barsoom. Przez otwartą okiennicę oglądałem Cluros - dalszy księżyc i jego powolną wędrówkę.

Zaszedł w końcu. Za nim Thuria, jego nieuchwytna kochanka, przemierzająca niebiosy. Za pięć xat\* [\* 15 minut] ona również zajdzie i na 3 godziny 45 minut czasu ziemskiego zapanuje ciemność poza gwiazdami rozświetlającymi firmament.

W korytarzu czujne oczy prawdopodobnie zwały się na mnie dalej. Modliłem się do Boga, żeby ich tam nie było, jako że Thuria już też poszła spać, chowając się za horyzontem. Prześlizgnąłem się do okna. Trzymałem w ręce linę, którą sam zrobiłem, czekając na zajście księżycy, skręcając ją z kawałków moich jedwabii do spania. Jeden koniec przywiązałem do ciężkiej ławki z drzewa sorapusowego, którą postawiłem pod oknem. Puściłem wolny koniec mojej liny i zacząłem schodzić. Wolałem nie ufać aż tak bardzo moim ziemskim mięśniom, niewypróbowanym w takich sytuacjach. Gdyby przyszło mi bowiem wracać, to nie wiem, czy doskoczyłbym do swojego parapetu. Zbyt wysoka była stawka mojej misji, żebym mógł ryzykować takie rzeczy. Tak więc przygotowałem sobie linę.

Czy byłem obserwowany, tego nie wiem. Musiałem iść tak czy inaczej - czy ktoś patrzył, co robię, czy nie. Za cztery godziny Thuria znów pojawi się na horyzoncie, tuż przed Barsoomiańskim świtem, a w międzyczasie musiałem jeszcze spotkać się z Valla Dią, poinformować ją o moim planie, wykonać go i wrócić niezauważony do mojego pokoju. Niosłem ze sobą swoje bronie i byłem zdeterminowany zabić kogokolwiek, kto spotka mnie i rozpozna po drodze. Obojętne, czy ta osoba miała pokojowe czy złowrogie zamiary wobec mnie.

Noc była cicha poza jakimiś dalekimi odgłosami, które słyszałem tu codziennie, od kiedy tylko przybyłem. Tłumaczyłem sobie, że są to krzyki złowrogich bestii. Kiedyś spytałem o nie Ras Thavasa, ale był akurat w kiepskim humorze i nic mi nie odpowiedział. Szybko zszedłem na ziemię i zacząłem szukać najbliższego wejścia do budynku, wcześniej orientując się w terenie i ustalając sobie trasę do piwnicy. Nikogo wokół nie było widać, więc byłem spokojny, kiedy doszedłem w końcu do wejścia. Mogłem odetchnąć, że nie zostałem zauważony. Valla Dia była tak szczęśliwa, że mnie znowu widzi, że niemal rozplakałem się ze wzruszenia.

– Myślałam, że coś ci się stało - zapłakała. - Wiedziałam bowiem, że nie zostałabyś gdzieś tak długo z własnej woli.

Powiedziałem jej o swoim przeświadczeniu. O tym, że byłem obserwowany i o tym, że nie będę mógł przynosić jej dłużej jedzenia, bo z pewnością ktoś za chwilę odkryłby jej kryjówkę. To z kolei spowodowałoby nieuchronną śmierć.

– Jest jedno wyjście - powiedziałem. - Nie śmiem nawet go sugerować i nie robiłbym tego, gdyby było jakieś inne. Musisz być bezpiecznie ukryta na jakiś czas, dopóki nie uspimy podejrzeń Ras Thavasa. Gdyby mnie dalej obserwował, nie mógłbym zrealizować planu twojego ostatecznego uwolnienia, przywrócenia z powrotem ciała i powrotu do Duhoru.

– Twoje słowo jest dla mnie rozkazem, Vad Varo.

Pokręciłem głową. - To jest trudniejsze, niż ci się wydaje.

– Jakie mam wyjście? - spytała.

Pokazałem palcem na ersajtową płytę. - Musisz przejść znowu przez tę mękę, żeby nikt cię nie znalazł, dopóki nie nadejdzie odpowiedni moment do wykonania mojego planu. Wytrzymasz?

– Czemu nie - uśmiechnęła się. - To tylko sen - jeśli zasnę na zawsze, najwyżej nie będę już mądrzejsza.

Zdziwiłem się, że nie wzbraniała się od tego pomysłu. Ucieszyłem się jednak bardzo, bo wiedziałem, że to jedyne wyjście, jeśli chcemy jeszcze zatryumfować. Bez mojej pomocy umieściła się sama na ersajtowej płycie.

– Jestem gotowa, Vad Varo - powiedziała odważnie. - Ale najpierw musisz mi obiecać, że nie będziesz za bardzo ryzykował w tej szalonej wyprawie. Możesz nie przetrwać. Kiedy zamknę oczy, wiem, że mogę ich już nie otworzyć, jeśli moje wybudzenie zależy od powodzenia najbardziej szalonej wyprawy, jaką człowiek kiedykolwiek wymyślił. Z drugiej strony, jestem szczęśliwa, bo wiem, że wyprawa ta wynika z najwspanialszej przyjaźni, jakiej jakakolwiek śmiertelniczka może doświadczyć.

Kiedy mówiła to wszystko, ja przykładałem do niej tuby, stojąc obok i mając palec gotowy do naciśnięcia guzika.

– Żegnaj, Vad Varo - wyszeptała.

– Nie żegnaj, Valla Dio, ale dobrej nocy. To będzie słodka drzemka, która minie ci raz dwa. Wydawać ci się będzie, że dopiero co zamknęłaś oczy, a już je otwierasz. Tak jak widzisz mnie teraz, tak zobaczysz mnie za chwilę, tak jakbyśmy nigdy się nie rozstali. Jestem ostatnią rzeczą, którą teraz widzisz, i pierwszą, którą będziesz widziała, gdy otworzysz oczy. Z tą różnicą, że otworzysz je już nie jako Xaxa, a jako Valla Dia.

Uśmiechnęła się i pokręciła głową. Dwie łzy pociekły jej po policzkach. Ścisnąłem jej dłoń w mojej i nacisnąłem guzik.



## ROZDZIAŁ 7:

### PODEJRZENIA

Na tyle, na ile widziałem, wróciłem do swojego pokoju niezauważony. Schowawszy moją linę tak, by nikt jej nie znalazł, zacząłem szukać jedwabiu i skór do spania.

Następnego ranka, gdy opuściłem swoją kwaterę, ujrzałem w przelocie jakąś postać w korytarzu. Od tego momentu miałem kolejny dowód na to, że Ras Thavas mnie podejrzewał. Poszedłem zaraz do jego gabinetu, jak zresztą codziennie. Wydawał się niespokojny. Nie dał mi jednak w żaden sposób do zrozumienia, że myśli, iż to ja stoję za zniknięciem Valla Dii. Co więcej, jak się okazało, był w ogóle daleki od prawdy. Po prostu jego rozumowanie wynikało z tego, że byłem jedyną osobą, która mogłaby mieć jakiś interes w tym, by mieszać się w sprawy związane z tą pacjentką, i obserwował mnie, żeby sprawdzić, czy miał rację w swoim rozumowaniu czy nie.

– Często badałem reakcje innych, którzy przeszli przeszczep mózgu, i nie jestem wcale zdziwiony swoją. Nie tylko moja energia umysłowa jest większa, co powoduje u mnie więcej nerwowości, ale czuję także różnicę z nowymi tkankami i nową krwią. Wpływają na moją świadomość w sposób, którego nie ukazywał zbytnio mój eksperyment. Jednak widzę teraz, że aby w pełni to zrozumieć, trzeba to przeżyć samemu. Moje myśli, pragnienia, nawet moje ambicje się zmieniły albo przynajmniej dostały nieco życia. To trochę potrwa, zanim od nowa się przyzwyczaję.

Choć nie byłem tym szczególnie zainteresowany, słuchałem, dopóki nie skończył. Wtedy zmieniłem temat: - Czy namierzyłeś już naszą zaginioną? - zapytałem.

Pokręcił głową przecząco.

– Musisz zauważyć, Ras Thavasie - zacząłem - że w pełni zdaję sobie sprawę z tego, że wiedziałeś, iż usunięcie czy unicestwienie tej dziewczyny pokrzyżuje cały mój plan. Ty jesteś tu szefem. Nic z tego, co się dzieje, nie dzieje się bez twojej wiedzy.

– Chcesz mi powiedzieć, że to ja jestem odpowiedzialny za zniknięcie tej kobiety?

– Oczywiście. To jasne przecież. Żądam jej przywrócenia.

W tym momencie stracił panowanie nad sobą. - Kim ty jesteś, żeby czegoś żądać? - zawołał. - Nie jesteś nikim więcej niż moim sługą. Pohamuj swój tupet albo będę musiał cię usunąć. Usunąć tak, jakbyś w ogóle nigdy nie istniał.

Zaśmiałem mu się w twarz. - Złość jest najbardziej daremną cechą sentymentalistów - przypomniałem mu. - Nie usuniesz mnie, ponieważ ja jako jedyny jestem twoją drogą do nieśmiertelności.

– Mogę sobie wyszkolić nowego - odparł.

– Ale nie możesz mu zaufać - zaznaczyłem.

– Ale ty targowałeś się ze mną, kiedy miałeś moje życie w garści! - wykrzyknął.

– Twoje życie nie zostałoby narażone na żaden szwank, gdybyś tylko szybko się zgodził. Nie prosiłem o nic dla siebie. Cokolwiek by nie było, i tak znowu mi zaufasz. Zaufasz mi, bo po prostu nie będziesz miał innego wyjścia, jak tylko mi zaufać. Tak więc czemu nie chcesz zdobyć mojej wdzięczności, a przede wszystkim lojalności, i nie chcesz przywrócić mi tej dziewczyny? A przy okazji wywiązać się też z naszej umowy?

Odwrócił się i spojrzał na mnie stanowczo. - Vad Varo, słowo honoru barsoomiańskiego mędrca, że nie wiem nic o miejscu podziewania się 4296-

E-26<sub>31</sub>-H.

– Może Yamdor coś wie... - Nie odpuszczałem.

– Yamdor też nie. Z mojej wiedzy wynika, że żadna osoba w jakikolwiek sposób powiązana ze mną nie ma pojęcia, co się z nią stało.

Konwersacja ta nie była jednak tak bezwartościowa, jak mogła się wydawać, jako że myślę, iż prawie przekonałem Ras Thavasa, że tak samo jak on nie wiem, co się stało z Valla Dią. „Prawie”, ponieważ szpiegostwo trwało nadal. To skłoniło mnie do stosowania metod Rasa w celu obrony. Zorganizowałem sobie swoją własną grupę niewolników, zdobywając ich swoją dobrocią i wyrozumiałością - przynajmniej dopóki nie byłem pewien, że mam ich pełną lojalność. Nie było powodu, dla którego mieliby kochać Ras Thavasa, z drugiej strony, powodów, by go nienawidzić, było całe multum. I odwrotnie - nie mieli powodów, by mnie nienawidzić, więc starałem się, żeby mieli multum powodów, by mnie kochać.

Dzięki temu bez problemu mogłem przydzielić kilkorgu z nich zadanie szpiegowania szpiegów Ras Thavasa. I nie pomyliłem się. Bardzo szybko przekonałem się, że szpiegowano mnie niemal nieustannie. Każda moja minuta spędzona poza pokojem była śledzona. Szpiegowanie to jednak nie sięgało poza zewnętrzne ściany mojego pokoju. Dlatego też udało mi się dotrzeć spokojnie do piwnic, gdyż szpiedzy nie wzięli pod uwagę, że mogę wyjść z pokoju inaczej niż drzwiami.

Myślę, że to szpiegowanie trwało ze dwa miesiące, po czym moi ludzie donieśli mi, że ucichło. Przez ten czas denerwowałem się, bo opóźniało to moją wyprawę. Chciałem zacząć wcielać w życie plan, który był niemożliwy do zrealizowania, jeśli byłem cały czas obserwowany. W międzyczasie poznawałem geografię północno-wschodniej półkuli barsoomiańskiej, gdzie miałem przeprowadzić swoją misję. Czytałem także historie różnych przypadków i sprawdzałem rzeczy, o których była mowa, więc wraz z odwołaniem szpiegów Rasa, mogłem przejść do realizacji planu.

Ras Thavas przyznał mi na jakiś czas sporą autonomię na prowadzenie własnego śledztwa, jak i eksperymentów, co postanowiłem wykorzystać w każdy możliwy sposób, który przybliżyłby mnie do wskrzeszenia Valla Dii. Poznając historie różnych przypadków, wiedziałem że mogę odkryć rzeczy, które przydadzą mi się w mojej wyprawie. Szczególną uwagę poświęciłem przypadkom, które sam dobrze znałem. Między innymi: 378-J-493<sup>8</sup><sub>11</sub>P - czerwony wielkolud, przed którego atakami obroniłem Ras Thavasa czy drugi osobnik, który ma połowę mózgu przeszczepioną od małpy.

Pochodzący z Phundahlu 378-J-493<sup>8</sup><sub>11</sub>P, zanim tu trafił, był młodym wojownikiem na dworze Xaxy, Jeddary Phundahlu. Zabito go. Jego ciało następnie zostało kupione przez jednego z możnych Phundahlu, jak opowiadał Ras Thavas, w celu zdobycia serca pięknej młodej kobiety. Pomyślałem, że mógłbym go zwerbować, ale to zależało od jego lojalności do Xaxy, co mogłem sprawdzić, tylko ożywiając go i wypytyując.

Człowiek, który posiadał połowę mózgu od małpy, pochodził z Pharthu. Pharth leżał na południowy zachód od Phundalu i na północny zachód od oddalonego o tyle samo Duhoru. Uznałem, że mieszkaniec Pharthu, leżącego w trójkącie Pharth-Phundahl-Duhor, będzie znał te tereny bardzo dobrze. Ponadto siła i dzikość małpy mogą się przydać w przemierzaniu zamieszkanym przez bestie terenów.

Trzecim przypadkiem, o którym myślałem, był Gor Hajus - znany Toonoliański zabójca, którego zuchwałość, nieustraszenie i fechtunek były znane nawet poza granicami jego kraju.

Ras Thavas, który sam jest Toonolianinem, opowiedział mi kiedyś trochę o swoim kraju. Jest on również mężczyzną, którego na Barsoom przyjmuje się z honorami. Gor Hajus zasłynął u rodaków tym, że nigdy nie wyrządził krzywdy kobiecie czy pocziwemu człowiekowi i nigdy też nie ugodził nikogo od tyłu.

Jego morderstwa zawsze poprzedzone były sprawiedliwą walką, w której ofiara mogła się w pełni bronić i miała też okazję, by zabić oprawcę.

Był także znany ze swojej wielkiej lojalności wobec przyjaciół. Ta lojalność przyczyniła się do jego klęski, która sprowadziła go później na jedną z ersajtowych płyt Ras Thavasa. Sytuacja ta była dość skomplikowana. Wszystko jednak poszło o przyjaźń z pewnym mężczyzną, którego Vobis Kan - Jeddak Toonolu - chciał zabić. Poprosił więc Gor Hajusa o zajęcie się tą sprawą. Gdy ten odmówił ze względu na stosunki łączące go z ofiarą, Vobis Kan zaczął podejrzewać, że zabójca może zabić jego. Efekt nie mógł być inny. Gor Hajus został aresztowany i skazany na śmierć. Zaraz po wykonaniu wyroku agent Ras Thavasa kupił jego ciało.

Wybrałem tę trójkę jako swoich towarzyszy. Wprawdzie nie przedyskutowałem tego nawet z nimi, ale rozsądek podpowiadał mi, że nie będę miał problemu z ich zwerbowaniem, jeśli w podzięce za lojalną służbę zagwarantuję im wskrzeszenie na zawsze.

Moim pierwszym zadaniem było przywrócenie do życia organów 378-J-493<sup>8</sup><sub>11</sub>P i Gor Hajusa, uszkodzonych przez rany odniesione na polu walki, które położyły ostatecznie moich pacjentów. Pierwszy z nich potrzebował nowego płuca, a Gor Hajus nowego serca, jego zabójca przebił go bowiem na wylot krótkim mieczem. Zastanawiałem się, czy zapytać Ras Thavasa o zgodę na eksperymenty z tymi przypadkami. Bałem się, że mogę wzbudzić jego podejrzenia, a ten nie zawahałby się zniszczyć ciała definitywnie. Musiałem więc uciec się do podstępu i tajemnicy. W tym celu tygodniami siedziałem do późna w nocy w laboratorium, wykonując swoją normalną pracę. Często przy pomocy różnych asystentów. Musieli przyzwyczaić się do mnie pracującego o różnych dziwnych porach. Przy wyborze tych asystentów zdecydowałem się też na dwóch, których Ras wysłał do szpiegowania mnie. Wprawdzie nie musieli już zdawać raportów, ale miałem nadzieję, że gdzieś tam coś wspomną chirurgowi o mojej pracy. Uważałem też, żeby odpowiednio formułować swoje prośby, tak by raportowali w sposób korzystny dla mnie. Starłem się zwyczajnie sugerować im, że pracuję tak do późna, ponieważ po prostu kocham pracę,

a dodatkowo Ras Thavas zaszczepił we mnie ogromną fascynację nauką. Czasem pracowałem z asystentami, czasem bez nich. Zawsze jednak starałem się dopilnować, by następnego ranka ci w gabinecie wiedzieli, że znów pracowałem do późna.

Mając już starannie przygotowany grunt pod moją późniejszą pracę, nie martwiłem się zbyt o możliwe odkrycie moich planów związanych z wojownikiem Phundahlu i zabójcą z Toonolu. Postanowiłem najpierw zabrać się za Phundalczyka i jego płuco, które mocno ucierpiało, kiedy moje ostrze je przebiło. W jednym z laboratoriów, gdzie przechowywane były ciała pozbawione jakichś części, znalazłem idealne płuco. Zabrałem je więc i wstawiłem zamiast uszkodzonego przeze mnie. Praca zajęła mi pół nocy. Tak bardzo chciałem już wykonać swój plan, że postanowiłem od razu też wziąć na ersajt Gor Hajusa. Otworzyłem mu klatkę piersiową, wybrawszy wcześniej wspaniałe, mocne serce. Ciężko pracowałem, ale uwinąłem się ze wszystkim przed świtem. Wiedząc w obu przypadkach, jakie to są rany, spędziłem poprzednie tygodnie na doskonaleniu swoich umiejętności i przeprowadzaniu podobnych operacji. Nie napotkałem żadnych patologicznych sytuacji w żadnym z obu przypadków, więc wszystko poszło szybko i płynnie. Najtrudniejszą część miałem już za sobą. Usunąłem także prawie wszystkie ślady po operacji, za wyjątkiem tych wspaniałych leczniczych taśm. Następnie mogłem udać się do pokoju na zasłużonych kilka minut odpoczynku, modląc się, by Ras Thavas nie zechciał nagle sprawdzić tych pacjentów. Z drugiej strony, byłem przygotowany na tę ewentualność, uzupełniając dokładnie karty chorób pacjentów, tak by wszelkie podejrzenia o jakichś dalszych planach zwiść swoją grą otwartej szczerości.

Wstałem o swojej zwyczajnej porze i poszedłem szybko do gabinteru Ras Thavasa. Tam czekała na mnie bomba, która prawie zwała mnie z nóg. Przyglądał mi się uważnie przez minutę, po czym powiedział: - Vad Varo, wczorajszej nocy pracowałeś do późna.

– Często tak robię - odparłem lekko, choć serce miałem jak z kamienia.

– A co tak cię zajęło? - pytał dalej.

Czułem się jak mysz, która pogrywa sobie z kotem. - Operowałem trochę płuco, a później wziąłem się jeszcze za przeszczep serca - odpowiedziałem. - I tak byłem pochłonięty tymi zabiegami, że nawet nie zwróciłem uwagi na płynący czas.

– Dowiedziałem się, że ostatnio w ogóle dużo pracowałeś po nocach. Czy to mądre?

W tym momencie wiedziałem, że to głupie, przekonywałem go jednak, że jest inaczej.

– Byłem jakiś niespokojny - powiedział. - Nie mogłem spać, więc poszedłem do ciebie po północy, ale nie było cię w pokojach. Chciałem z kimś porozmawiać. Twoi słudzy wiedzieli tylko, że nie ma cię w apartamencie. Nie potrafili mi powiedzieć, gdzie mogłeś być. Postanowiłem więc, że cię poszukam. Obstawiałem, że będziesz w laboratoriach, ale byłem w kilku i nie znalazłem cię. - W tym momencie serce uniosło mi się wysoko niczym piórko. Po chwili kontynuował: - Od mojego własnego przeszczepu niepokój i bezsenność nie dają mi żyć. Do tego stopnia, że czasami chciałbym wrócić do mojego starego ciała. Młode i energiczne nie współgra za dobrze z moim starym umysłem. Jest pełne ukrytych potrzeb i pragnień, które nie pasują do zainteresowanego poważnymi rzeczami umysłu.

– Twoje ciało potrzebuje ruchu. Jest młode, silne, zdrowe. Zmęcz je w dzień i zobaczysz, że pozwoli ci spać w nocy - powiedziałem.

– Wiem, że masz rację - odpowiedział. - Sam też o tym pomyślałem. Zresztą, prawdę mówiąc, kiedy nie mogłem cię znaleźć, pochodziłem po ogrodzie ponad godzinę, co pozwoliło mi zasnąć. Muszę więc dużo chodzić lub, tak jak ty, pracować w laboratoriach, kiedy tylko nie mogę spać.

Ta wiadomość była najbardziej niepokojąca. Nigdy nie mogłem już być pewien, że Ras Thavas nie kręci się gdzieś po nocy. A miałem przecież

jeszcze bardzo ważną rzecz do wykonania - może dwie. Jedynym sposobem, żeby wiedzieć co robi, było po prostu być przy nim.

– Poślij po mnie, kiedy nie będziesz mógł spać - powiedziałem. - Nie powinieneś się tak włóczyć po nocy samemu.

– Świetnie - odpowiedział. - Od czasu do czasu mogę tak zrobić.

Miałem nadzieję, że będzie to robił zawsze, gdyż wtedy wiedziałbym, że jeśli nie posłał po mnie, to znaczy, że siedział spokojnie w swoich kwaterach. Wiedziałem jednak od tej pory, że muszę liczyć się z odkryciem moich planów. Wiedząc to, postanowiłem się śpieszyć i postawić wszystko na jedną kartę.

Tej nocy nie miałem żadnej szansy, by dokończyć swe dzieło, jako że Ras Thavas skorzystał z propozycji i posłał po mnie dość wcześnie, informując przy tym, że będziemy chodzić, dopóki się nie zmęczy. Biorąc pod uwagę, że potrzebowałem pełnej nocy na to, co miałem w planach, a Ras spacerował aż do północy, wiedziałem, że nic już nie zrobię tego wieczoru. Następnego ranka przekonałem go jednak, by przejść się wcześniej - pod pretekstem wyjścia poza obszar jego posesji i poznania trochę Barsoom. Do tej pory bowiem znałem tylko jego laboratoria i ogrody. Czuję, że przyjmie moją propozycję - i tak też się stało. Wiem jednak, że nigdy by tego nie zrobił, będąc w swoim starym wydaniu. Nowa krew jednak znacznie zmieniła Ras Thavasa.

Nigdy nie byłem za ogrodzeniem posesji należącej do Rasa. Nigdy także nie widziałem, co było za nim. W żadnym z budynków nie było bowiem okien w zewnętrznych ścianach, a drzewa rosnące w ogrodzie urosły tak duże, że przysłaniały cały widok za sobą. Przez jakiś czas spacerowaliśmy po innym ogrodzie, ciągle jednak na terenie Ras Thavasa. Spytałem go, czy mogę wyjść poza ten ogród.

– Nie - powiedział. - To by nie było bezpieczne.

– Dlaczego nie? - spytałem.



– Pokażę ci i zarazem zobrazuję zewnętrzny świat, lepiej niż gdybyś miał samemu przechodzić przez bramę. Chodź za mną! - Zaprowadził mnie do wysokiej wieży, która umieszczona była na rogu największego budynku w jego kompleksie. Szliśmy krętymi schodami. Schody te jednak wiły się nie tylko w górę, ale i w dół. Przechodziliśmy przez wejścia na każdym piętrze, aż w końcu znaleźliśmy się na samym szczycie budynku.

Wokół mnie rozciągał się barsoomiański krajobraz. Mniejsza z tym, jak duży był to obszar - był to pierwszy obraz Barsoom, jaki rozciągnął się przed moimi oczami od wielu miesięcy na Czerwonej Planecie. Byłem zamknięty w ponurych murach laboratoriów Rasa Thavasa, ale przecież jesteśmy niewolnikami własnych przyzwyczajęń, więc to dziwne życie tam zaczęło mi się wydawać normalne. Jednak z pierwszym rzutem oka na tę wolną przestrzeń dookoła nabrałem nagle potrzeby wolności, przestrzeni, zmiany swojego położenia i pójścia naprzód - o czym wiedziałem, że nadejdzie niebawem.

Dokładnie pod nami znajdował się nieregularny, kamienisty skrawek ziemi, wysoki na 12 stóp\* [\* około 3,6 m], wyróżniający się na tle krajobrazu. Zajmował na oko tak ze 100 akrów\* [\*około 404.600 m<sup>2</sup>]. Na nim znajdowały się różne budynki i ziemie ogrodzone wysokim murem. Wieża, na którą weszliśmy, była mniej więcej na środku tego całego terenu. Za wielkim murem rozciągał się kamienisty pas, porośnięty rzadko wielkimi drzewami przeplatanymi rosnącą dżunglą. Za nimi z kolei znajdowały się muliste bagna, przez które przepływały strumyki czy rzeczki łączące występujące gdzieś zbiorniki wodne - małe jeziora, z których największe miało ledwo 2 akry. Taki krajobraz rozciągał się, gdzie tylko mogłem sięgnąć wzrokiem. Od czasu do czasu przerywany był jakimiś wysepkami podobnymi do naszej i leżącą całkiem niedaleko panoramą miasta, którego wieże, domy i minarety odbijały się i błyszczały w słońcu, jakby platerowane jakimiś lśniącymi metalami czy wysadzone kamieniami szlachetnymi.

Wiedziałem, że to będzie Toonol, a wokół nas słynne bagna toonoliańskie, które miały długość 1800 mil na wschód i na zachód, a ich szerokość momentami sięgała 300 mil. Niewiele wiadomo o bagnach w innych częściach Barsoom, jako że są one często zamieszkane przez różne okrutne bestie, nie posiadają dogodnych warunków do lądowania dla statków, natomiast ich zachodni koniec należy do Phundahlu, a wschodni do Toonolu, spośród których obydwie są nieprzyjazne dla świata zewnętrznego. Nie są to gościnne królestwa, unikają jakiegokolwiek kontaktu z innymi i utrzymują swoją niepodległość poprzez niedostępność i złowrogi dystans do reszty.

Gdy spojrzałem z powrotem na wyspę leżącą u naszych stóp, widziałem, że coś dużego wyłania się z tych kawałków dżungli niedaleko naszych murów. Za tym dużym czymś wyszło po chwili kolejne, a za nim trzecie. Ras Thavas zauważył, że istoty te zwróciły moją uwagę.

– Tam - powiedział, wskazując na nie. - Tam masz właśnie trzy z wielu podobnych przyczyn, dla których kręcenie się poza murem nie byłoby bezpieczne.

To były wielkie białe małpy z Barsoom. Istoty tak okrutne, że nawet banth - straszliwy lew barsoomiański - zastanowiłby się dwa razy, zanim wszedłby im w drogę.

– Spełniają one tutaj dwa zadania. Po pierwsze, odstraszały tych, którzy mogliby zakraść się do mnie z Toonol, a mam tam niemało wrogów. Po drugie, zatrzymują sługi czy niewolników, którzy wpadliby na pomysł dezercji - wytłumaczył mi Ras.

– Ale jak w takim razie dostają się tu twoi klienci? Albo jak przyjmujesz dostawy?

– Ściszył głos i wskazał na najwyższy fragment nieregularnego dachu w budynku pod nami. Na nim została zbudowana konstrukcja przypominająca szopę. - Tam trzymam trzy małe statki. Jeden z nich pływa codziennie do Toonolu.

Nabrałem wielkiej ochoty, by dowiedzieć się czegoś więcej o tych statkach. Widziałem w nich bowiem sposób mojej ucieczki stąd. Nie ośmieliłem się jednak zapytać o nie Rasa, nie chcąc wzbudzić jego podejrzeń. Kiedy mieliśmy już schodzić korytarzami w dół, zainteresował mnie budynek, który sprawiał wrażenie dużego starszego niż te wokół niego.

– Ta wieża została wybudowana 23 tysiące lat temu przez jednego z moich przodków, który został wygnany z Toonolu przez rządzącego wówczas Jeddaka. Tu, jak i na pobliskich wyspach, zdobył sobie sporą liczbę zwolenników i bronił się udanie przez setki lat. Moja rodzina uzyskała później zgodę na powrót do Toonolu, jednak tu już był ich dom, do którego dobudowywali sobie kolejne budynki skupione wokół tej wieży. Każde ich piętro połączone jest z przyległym budynkiem, od strychu po piwnice.

Ta informacja także mnie zainteresowała, bo zorientowałem się, że może to istotnie wpłynąć na moją ucieczkę. Wracając, zachęciłem umiejętnie Ras Thavasa, by opowiedział więcej o wieży, jej konstrukcji i powiązaniu z innymi budynkami, a szczególnie o przejściu z podziemi. Pochodziliśmy jeszcze po ogrodzie na zewnątrz i wróciliśmy do kwater, gdyż na dworze zrobiło się już praktycznie ciemno, a mędrzec był wyraźnie zmęczony.

– Czuję, że dzisiaj będzie mi się spało dobrze - powiedział.

– Mam nadzieję, Ras Thavasio - odparłem.

## ROZDZIAŁ 8:

### UCIECZKA

Trzy godziny mijały zwykle od kolacji, która była podawana tuż po zmroku, zanim wszystko w kompleksie cichło na noc. Choć teoretycznie powinienem poczekać jeszcze z wdrażaniem mojego planu w życie, ryzykiem było dalsze czekanie, gdyż do świtu miałem jeszcze sporo pracy. Tak więc poczekałem na pierwsze sygnały, że ludzie z budynku, w którym miałem pracować, poszli spać, i udałem się z pokoju prosto do laboratorium. Tam na szczęście ciała Gor Hajusa i 378-J-493<sup>8</sup><sub>11</sub> dalej spoczywały, jak je zostawiłem. Położenie ich na przyległych stołach było kwestią kilku minut. Od razu też związałem obydwu, na wypadek gdyby nie zgodzili się na moją propozycję i zmusili mnie tym samym do uśpienia ich z powrotem. Nareszcie jednak ostatnie nacięcia zostały wykonane, tuby umocowane i silniczki włączone. 378-J-493<sup>8</sup><sub>11</sub>, którego powinienem od tej pory nazywać Dar Tarus, pierwszy otworzył oczy, lecz zanim odzyskał w pełni przytomność, Gor Hajus przejawiał pierwsze oznaki życia.

Poczekałem, aż obaj dobrze się wybudzą. Dar Tarus wpatrywał się we mnie. Coraz bardziej jadowita nienawiść malowała się na jego twarzy, co oznaczało, że rozpoznaje mnie. Gor Hajus był natomiast szczerze zdezorientowany. Ostatnią rzeczą, którą pamiętał, była scena w pomieszczeniu egzekucyjnym, kiedy to kat wbił mu miecz w serce. Postanowiłem pierwszy przełamać ciszę.

– Na początku - zacząłem - może powiem, gdzie się obecnie znajdujecie, jeśli jeszcze nie wiecie.

– Wiem wystarczająco dobrze, gdzie jestem - odpowiedział Dar Tarus.

– Aaa - wyjęczał Gor Hajus, którego oczy wędrowały badawczo po pokoju. - Mogę się domyślić, gdzie jestem! Kto z Toonolian nie słyszał o Ras Thavasie? Tak więc sprzedali moje ciało temu staremu rzeźnikowi? I co teraz? Dopiero tu przybyłem?

– Jesteś tu już sześć lat - powiedziałem mu - i możesz tu zostać nawet na wieczność, jeżeli w przeciągu pięciu minut nie dojdziemy do porozumienia. To samo tyczy się ciebie, Dar Tarusie.

– Sześć lat - szepnął Gor Hajus. - Dobra, mów. Czego chcesz? Jeżeli chodzi o zabicie Ras Thavasa - nie! Uratował mnie przed rozkładem. Ale daj mi jakieś inne nazwiska, najlepiej Vobis Kan, Jeddak Toonolu. Znajdź mi miecz, a zabiję stu, by tylko odzyskać życie.

– Nie chcę czyjegokolwiek życia, chyba że stanie mi na drodze w wykonaniu mojego wspaniałego planu. Posłuchajcie, Ras Thavas miał tu przepiękną dziewczynę z Duhoru. Sprzedał jej ciało Xaxie, Jeddarze Phundahlu, przeszczepiając mózg dziewczyny do szkaradnego, pomarszczonego ciała Xaxy. Moim zamiarem jest odzyskanie ciała, przywrócenie go prawowitej właścicielce i powrót dziewczyny do Duhoru.

Gor Hajus uśmiechnął się szeroko. - Masz wielkie zobowiązanie na swych barkach. Ale widzę, że płynie w nas ta sama krew i możesz na mnie liczyć. Twoja misja przyniesie mi wolność, ale i walki. Jedyna rzecz, o którą proszę w zamian, to możliwość jednego ugodzenia Vobis Kana.

– Obiecuję ci życie - odparłem. - Ale pod warunkiem, że będziesz służyć wiernie mnie i tylko mnie, nie podejmując przy tym żadnych swoich działań, dopóki moja misja nie zostanie zakończona sukcesem.

– To oznacza, że będę musiał służyć ci całe życie - odpowiedział. - Jako że możesz nigdy nie ukończyć rzeczy, którą sobie postanowiłeś. Jednak to i tak lepsze niż leżenie tu na tej chłodnej ersajtowej płycie i czekanie, aż Ras Thavas przyjdzie i wyrznie mi gardło. Jestem z tobą! Podnieś mnie tylko, bo chcę poczuć, że mam swoje dwie zdrowe nogi.

– A ty? - spytałem, odwracając się do Dar Tarusa, rozwiązawszy w międzyczasie Gor Hajusa. Po raz pierwszy zauważyłem wtedy, że ten okropny wyraz twarzy, którym mnie przywitał, ustąpił miejsca zapałowi do działania.

– Rozwiąż mnie! - krzyknął. - Pójdę za tobą na koniec Barsoom, choćby droga prowadziła nas daleko od spełnienia twoich planów. Ale nie poprowadzi. Poprowadzi nas do Phundahlu i komnaty tej wiedźmy Xaxy, gdzie przy łaskawości moich przodków mogę mieć okazję pomścić straszne zło, które mi wyrządziła. Nie mogłeś wybrać lepiej do tej misji. Ja, Dar Tarus - swego czasu żołnierz jej Jeddarskiej straży, którego zabiła, by dać ciało jakiemuś parszywemu możnemu, aby zalecał się do dziewczyny, którą sam kochałem.

Chwilę później obydwaj mężczyźni stali przy mnie w gotowości. Bez zbędnego czekania puściłem ich korytarzem, który biegł pod budynkiem. Gdy szliśmy, opisałem im osobnika, którego wybrałem jako czwartego do naszej paczki. Gor Hajus kwestionował mój wybór, twierdząc, że mała przykuje do nas za dużo uwagi. Dar Tarus jednakże wierzył, że może okazać się pomocna pod wieloma względami, gdyż możemy być zmuszeni spędzić trochę czasu na bagiennych wyspach koło Toonolu, zamieszkanych przez te stwory. Kiedy będziemy już w Phundahlu, mała może nam pomóc w realizacji naszych planów, nie wzbudzając przy tym większego zdziwienia, jako że wiele małp w tym mieście trzyma się w niewoli i czasami używa do utrzymywania porządku na ulicach.

Poszliśmy zaraz do piwnicy, gdzie leżała mała i gdzie ukryłem uśpioną Valla Dię. Obudziłem wielkiego małpoluda i z wielką ulgą odkryłem, że ludzka część jego mózgu jest nadal dominująca. Tak jak poprzednim dwóm szybko wyjaśniłem mu swój plan i zdobyłem jego serce obietnicą o przywróceniu jego mózgu na prawowite miejsce po wykonaniu całej operacji.

Najpierw trzeba było wydostać się z wyspy. Opowiedziałem więc po krótku dwa plany, jakie miałem w głowie. Planem A była kradzież jednego z trzech statków Ras Thavasa i wyruszenie nim prosto na Phundahl. Planem B, na wypadek gdyby A okazał się niewykonalny, było zakradnięcie się na jeden z tych statków, licząc, że uda nam się opanować załogę i przejąć kontrolę nad statkiem, gdy już opuścimy wyspę - bądź też pokonać całą trasę niezauważenie i uciec w Toonolu. Plan A spodobał się bardzo Dar Tarusowi. Małpa, bądź też Hovan Du, jak nazywał się przed zabiegiem, optował za pierwszą opcją Planu B. Gor Hajus wolał natomiast alternatywę Planu B.

Dar Tarus tłumaczył, że skoro naszym celem jest Phundahl, to im szybciej się tam dostaniemy, tym lepiej. Hovan Du spierał się, że jeśli zajmiemy statek po wylocie z wyspy, ewentualny pościg za nami nastąpiłby później, niż gdybyśmy tak po prostu sobie go wzięli, co zostanie szybko odkryte. Gor Hajus pomyślał natomiast, że lepiej dla nas będzie trafić potajemnie do Toonolu, a tam dzięki pomocy jednego z jego przyjaciół uzyskać broń i statek. Przekonywał, że nie zajdziemy zbyt daleko bez broni dla niego i Dar Tarusa. Ponadto nie możemy liczyć, że pościg Ras Thavasa dałby nam dotrzeć do Toonolu, jako że planując, musimy pamiętać, że Ras błyskawicznie odkryłby moją nieobecność, następnie - robiąc szybkie śledztwo - także nieobecność Dar Tarusa i Gor Hajusa. Ponadto nie traciłby czasu i od razu zawiadomił też Vobis Kana, Jeddaka Toonolu, że Gor Hajus jest na wolności i w pogoń za nami zostałyby wysłane najlepsze toonoliańskie statki.

Rozumowanie Gor Hajusa było logiczne. W dodatku przypomniało mi się, jak Ras mówił o tych trzech statkach, że są dość wolne. Przewidywałem zatem szybki koniec naszej wolności, jeśli mielibyśmy polegać na wehikułach staruszka.

Po przedyskutowaniu naszych planów przeszliśmy przez piwnice i znalazłem wyjście do wieży. Cicho przeszliśmy korytarzami w górę i

weszliśmy na dach. Oba księżycy przemierzały nisko niebiosa i horyzont był niemal tak jasny, jak w dzień. Było pewne, że jeśli ktoś tylko jest w pobliżu, odkryje nas. Pośpieszyliśmy w stronę hangaru i wkrótce się w nim znaleźliśmy. Tam mogłem w końcu odetchnąć na chwilę. Odetchnąć znacznie łatwiej niż jeszcze chwilę wcześniej na tym odkrytym dachu.

Statki powietrzne były dość osobliwie wyglądającymi wynalazkami - niskie i pękate z okrągłymi dziobami, dziobnicami i zabudowanymi pokładami. Każda ich linia świadczyła o tym, że są to statki towarowe budowane z myślą o wszystkim, tylko nie o szybkości. Jeden był znacznie mniejszy od pozostałych dwóch, inny z kolei ewidentnie przechodził właśnie jakieś naprawy. Wszedłem więc do trzeciego i sprawdziłem go dokładnie. Gor Hajus wszedł za mną i wskazał kilka miejsc, gdzie można by się schować z małym prawdopodobieństwem, że ktoś nas znajdzie - chyba że spodziewano by się nas na pokładzie, co było bardzo prawdopodobnym scenariuszem. Mając na uwadze, co twierdził Gor Hajus, że najmniejszy statek będzie najszybszy, zdecydowałem, że powinniśmy zaryzykować - bierzemy ten najmniejszy. Wtedy Dar Tarus wsunął głowę do środka i pokazał, żebym szybko wyszedł.

– Ktoś tu się kręci - powiedział.

– Gdzie? - spytałem.

– Chodź - powiedział i zaprowadził mnie na tył hangaru ustawiony równo ze ścianą budynku, na którym stał, po czym wskazał przez okno na wewnętrzny ogród. Tam ku mojemu wielkiemu zdziwieniu Ras Thavas przechadzający się powoli w tę i z powrotem. Przez moment załamałam się, gdyż wiedziałem, że żaden statek nie jest w stanie wylecieć niezauważony, kiedy ktoś jest akurat w ogrodzie na dole. Tym bardziej kiedy jest tam Ras Thavas - ostatnia osoba, którą chciałem teraz widzieć. Nagle jednak zapaliła mi się w głowie żaróweczka. Zawołałem całą trójkę i wytłumaczyłem im, co mi właśnie przyszło do głowy.



Momentalnie podchwycili mój plan i chwilę później spychaliśmy mały statek z dachu, kierując jego dziób na wschód, daleko od Toonolu. Następnie wszedł do niego na chwilę Gor Hajus, poustawiał wszystkie kontrolki tak, jak to ustaliliśmy, otworzył przepustnicę i wślizgnął się z powrotem na dach. Całą czwórką pośpieszyliśmy do hangaru, by przez tylne okno zobaczyć, jak nasz statek powoli i z gracją dryfuje przez ogród - nad głową Ras Thavasa. Po chwili musiał usłyszeć słaby warkot silnika, gdyż gdy dopadliśmy do okna, zastaliśmy go patrzącego w górę.

Oczywiście natychmiast zaczął krzyczeć w stronę statku. Ja nie pozostałem mu dłużny i odchodząc kawałek od okna odkrzyknąłem mu: - Do widzenia, Ras Thavasio! To ja, Vad Varo. Jadę w ten dziwny świat zobaczyć, jak tam jest. Powinienem wrócić, a do tego czasu niech duchy twych przodków mają cię w swej opiece. - To była fraza, którą podłapałem, czytając biblioteczkę Ras Thavasa, i byłem z tego całkiem dumny.

- Wracaj tu w tej chwili - krzyknął w odpowiedzi. - Inaczej, nim skończy się ten dzień, sam będziesz z duchami swych przodków.

Nic już na to nie odpowiedziałem. Statek znalazł się w takiej odległości, że bałem się, iż gdy będę coś mówił, wyjdzie na to, że mój głos nie dobiega z niego. Bez zbędnego czekania schowaliśmy się w jednym z dwóch pozostałych statków - na tym, na którym akurat nie prowadzono napraw - i tam zaczęło się chyba najdłuższe i najbardziej męczące wyczekiwanie, jakie pamiętam.

Kiedy porzuciłem już resztki nadziei, że statek w ogóle ruszy tego dnia, usłyszeliśmy nagle jakieś głosy w hangarze, a po chwili kroki na pokładzie. Wygłoszono kilka komend i momentalnie znaleźliśmy się na otwartej powierzchni.

W czwórkę tłoczyliśmy się w małej komorze, zbudowanej pomiędzy przednią a rufową komorą wypornościową na prawej burcie. Było tam bardzo ciemno i z trudem dochodziło powietrze. Zapewne wedle zamysłu projektanta była to spizarka, która powstała tam głównie po to, by zająć

pusztą przestrzeń. Nie śmieliśmy rozmawiać ze sobą ani też wykonywać jakichś zbędnych ruchów. Nie wiedzieliśmy bowiem przez cały czas, czy akurat ktoś z załogi nie przechodzi tuż obok.

Choć nie było nam tam razem zbyt wygodnie, to jednak dystans do Toonolu nie jest duży, tak więc mieliśmy nadzieję, że nasze położenie niebawem się zmieni. Oczywiście zakładając, że statek ten faktycznie poleci do Toonolu. Zdążyliśmy ulecieć kawałek, po czym usłyszeliśmy jakieś wołanie, a po chwili silniki stanęły.

– Co to za statek? - usłyszeliśmy stanowcze pytanie.

– Vosar, z wieży Thavasa do Toonolu - padła błyskawicznie odpowiedź od naszej załogi. Słysząc było, jak o nasz statek ociera się jakiś inny.

– Musimy wejść na pokład przeszukać wasz statek w imieniu Vobis Kana, Jeddaka Toonolu. Zrobić miejsce! - krzyknął ktoś z drugiej załogi. Nasza radość trwała krótko. Szuranie butów po pokładzie słysząc było co chwilę. Gor Hajus szepnął do mnie:

– Co teraz zrobimy?

Wsunąłem mu do ręki swój krótki miecz. - Będziemy walczyć! - odpowiedziałem.

– Dobrze, Vad Varo! - odpowiedział. Następnie dałem mu swój pistolet i kazałem przekazać dalej, do Dar Tarusa. Znowu usłyszeliśmy głosy, tym razem już bliżej.

– Hoho, nie wierzę! - krzyknął jeden. - Toż to Bal Zak we własnej osobie, mój stary przyjaciel Bal Zak!

– Ten sam - odpowiedział głębokim głosem jeden z członków załogi. - A spodziewałeś się, że kto będzie dowodził Vosarem, jak nie Bal Zak?

– Kto mógł wiedzieć, że to nie będzie ten Vad Varo czy Gor Hajus? A mamy rozkaz przeszukać każdy statek.

– Hah, chciałbym, żeby tu byli, jako że nagroda za nich podobno wysoka! - odpowiedział Bal Zak. - Ale jak mogliby się tu znaleźć, skoro

Ras Thavas widział ich na własne oczy lecących przed świtem Pinsaram, zanim zniknęli gdzieś na wschodzie.

– Masz rację, Bal Zaku - odparł ten drugi. - Stratą czasu byłoby sprawdzanie twojego statku. Chodźcie, panowie! Wracamy! - Czułem, jak z każdym odgłosem kroków oddalających się ludzi Vobis Kana mięśnie rozluźniają mi się z powrotem. Gdy opuścili ostatecznie statek, a my ruszyliśmy ponownie w drogę, wstąpił we mnie nowy duch. Gor Hajus przysunął wargi do moich uszu.

– Duchy naszych przodków uśmiechają się do nas - szepnął. - Jest noc, a ciemność pomoże nam ukrywać naszą ucieczkę na statku i przy lądowaniu.

– Po czym stwierdzasz, że jest noc? - spytałem.

– Statek Vobis Kana podleciał blisko, kiedy zawołali nas i spytali, kim jesteśmy. Gdyby było widno, widzieliby z daleka, kto leci.

Miał rację. Schowaliśmy się w tej dusznej komorze jeszcze przed świtem i choć wydawało mi się, że upłynęło już stosunkowo dużo czasu, to zdałem sobie sprawę że ciemność, bezsenność czy napięcie, jakie nam towarzyszyły, tworzyły to złudne wrażenie. Tak więc nie zdziwiłbym się, gdybyśmy dotarli do Toonolu o brzasku poranku.

Niewielki dystans dzieli wieżę Rasa od Toonolu, a więc wkrótce po przygodzie ze statkiem Vobis Kana przeszliśmy do lądowania u celu naszej podróży. Przez długi czas czekaliśmy, wsłuchując się w odgłosy, jakie dobiegały nas z pokładu, i zastanawialiśmy się (przynajmniej ja), jakie zamiary może mieć kapitan. Całkiem prawdopodobnym było, że Bal Zak wróci jeszcze tej samej nocy do Ras Thavasa, szczególnie jeśli przyjechał zdobyć dla niego jakiegoś bogatego albo silnego pacjenta. Jeśli jednak przyjechał tylko po jakieś dostawy, możemy tu spokojnie leżeć do jutra. Tyle nauczyłem się od Gor Hajusa, gdyż moja wiedza o funkcjonowaniu statków Ras Thavasa była znikoma. Choć byłem jego zastępcą, o istnieniu tej małej floty powietrznej dowiedziałem się wczoraj. Leżało to w gestii Rasa, żeby mówić tylko to, co potrzebne do realizacji jego planów.

Odpowiadał na pytania, które zadawałem, jeśli nie przeanalizował szybko, że odpowiedź nie zaszkodzi jego własnemu interesowi. Nie było jednak rzeczy, na której szczególnie mu zależało, żebym o niej nie wiedział. Fakt, że w zewnętrznych ścianach budynku skierowanego w stronę Toonolu nie było okien, że do wczoraj nie byłem jeszcze nigdy na dachu, że nie widziałem statku lecącego przez dziedziniec - wszystko to tłumaczyło moją niewiedzę, jeśli chodzi o flotę i jej zwyczaje.

Czekaliśmy spokojnie, aż na statku zrobiło się cicho, co oznaczało albo że załoga poszła spać, albo że wszyscy wyszli do miasta. Wówczas, po krótkiej szeptanej naradzie z Gor Hajusem, zdecydowaliśmy się spróbować wyjść ze statku. Naszym celem było znalezienie jakiejś kryjówki w wieży przy pomoście do lądowania, z której to moglibyśmy przeanalizować możliwe drogi ucieczki do miasta - od razu bądź też o poranku, mieszając się w tłumie, który z pewnością pojawi się kilka godzin po wschodzie słońca.

Ostrożnie otworzyłem drzwi komory i spojrzałam do głównej kabiny za nami. Było w niej ciemno. Zatem po cichu się wymknęliśmy. Dookoła panowała cisza jak w grobie, jedynie daleko w dole słychać było stłumiony szum miasta. Jak dotąd wszystko szło dobrze. Wtem niespodziewanie, bez jakiegokolwiek ostrzeżenia, kabina rozbłysnęła bystrym światłem. Czuję, jak moje palce samoistnie ścisnęły rękojeść miecza, i rozejrzałem się szybko wokół.

Dokładnie naprzeciwko nas, u wejścia do małej kabiny, stał jakiś wysoki mężczyzna. Jego okazała uprząż zdradzała, że nie mamy do czynienia z pospolitym wojownikiem. W obu rękach trzymał ciężkie barsoomiańskie pistolety, w lufy których skierowane były nasze spojrzenia.

## ROZDZIAŁ 9:

### RĘCE DO GÓRY

Spokojnym tonem wypowiedział słowa będące barsoomiańskim odpowiednikiem ziemskiego „Ręce do góry!”. Cień ponurego uśmiechu dotknął jego ust, po czym przemówił ponownie, gdy spostrzegł, że zwlekamy z wykonaniem jego poleceń.

– Róbcie, co każę, a wszystko będzie dobrze. Zachowajcie absolutną ciszę. Podniesiony głos może oznaczać waszą zgubę - strzał z pistoletu ją zapewni.

Gor Hajus uniósł ręce nad głowę, a my podążyliśmy za jego przykładem.

– Jestem Bal Zak - oświadczył nieznajomy. Moje serce zamarło.

– Więc lepiej rozpocznij już ostrzał - powiedział Gor Hajus - ponieważ nie weźmiesz nas żywcem, gdyż stoimy tu czterech na jednego.

– Nie tak szybko, Gorze Hajusie - upomniał kapitan Vosara. - Najpierw wysłuchaj, co mam do powiedzenia.

– To już wiemy, gdyż usłyszeliśmy, jak mówisz o wielkiej nagrodzie, jaka czeka na tego, kto schwyta Vada Varo i mnie - warknął zabójca z Toonol.

– Gdybym tak mocno pragnął tej nagrody, to mógłbym oddać was w ręce dwara ze statku Vobis Kana, gdy dokonał abordażu - odpowiedział Bal Zak.

– Nie wiedziałeś, że jesteśmy na pokładzie Vosara - przypomniałem mu.

– Och, ale ja to wiedziałem.

– Gor Hajus prychnął, podkreślając swoją niewiarę.

– Czemu zatem - Bal Zak przypomniał nam - byłem przygotowany na wasze przyjęcie dokładnie w tym miejscu, gdy tylko wyszłicie ze swojej kryjówki? Tak, wiedziałem, że znajdujecie się na statku.

– Ale jak? - zażądał wyjaśnień Dar Tarus.

– To bez znaczenia - odpowiedział kapitan. - Ale by zaspokoić waszą ciekawość, powiem, iż posiadam leże w małym pokoju znajdującym się w Wieży Thavas, a moje okna wychodzą na dach oraz hangar. Długie życie spędzone na pokładach statków powietrznych sprawiło, że stałem się niezwykle wyczulony na odgłosy napędzających je silników. Zmiana szybkości statku obudziłaby mnie w środku nocy, podobnie jak start lub lądowanie. Zostałem rozbudzony przez podrywającego się do lotu Pinsara. Następnie dostrzegłem na dachu troje z was, a czwarta osoba zeskoczyła z pokładu maszyny, gdy ta wzbijała się w powietrze. Moje przeczucie podpowiadało, iż statek ten został wysłany bezzałogowo, jednak nie znałem celu tego manewru. Było już za późno, abym mógł zapobiec temu postępkowi, więc wyczekiwałem w milczeniu rozwoju całej sytuacji. Widziałem, jak pędzicie do hangaru, usłyszałem okrzyk Rasa Thavasa oraz waszą odpowiedź, po czym ujrzałem, jak wchodzić na pokład Vosara. Natychmiast udałem się na dach i bezgłośnie pobiegłem do hangaru, obawiając się, iż macie zamiar zbiec ze statkiem. Nie zastałem jednak nikogo przy sterach, a przez malutką szczelinę w pokoju kontrolnym, która umożliwia obserwowanie głównej kajuty, zobaczyłem, jak ukrywacie się w szafie. Byłem przekonany, że waszym jedynym celem była podróż na gapę z dala od Toonol, w skutek czego - poza obserwowaniem waszej kryjówki - wróciłem do swoich rutynowych zajęć.

– I nie powiadomiłeś o tym Rasa Thavasa? - zapytałem.

– Nie powiadomiłem nikogo - odpowiedział. - Wiele lat temu nauczyłem się pilnować swoich własnych interesów - widzieć wszystko, słyszeć wszystko i nic nie mówić, chyba, że na tym zyskam.

– Ale mówiłeś, że nagroda za pojmanie nas jest ogromna - przypomniał mu Gor Hajus. - Czyż nie opłacałoby się jej odebrać?

– Istnieją w piersiach honorowych mężczyzn siły - odrzekł Bal Zak - które wznoszą się ponad żądzę złota, a pomimo tego, iż Toonolianie są podobno osobnikami wolnymi od wyniszczającego wpływu sentymentów, ja sam nie jestem całkowicie pozbawiony zapotrzebowania na wdzięczność. Gorze Hajusie, sześć lat temu odmówiłeś zabicia mego ojca, stwierdzając, iż jest dobrym, zasługującym na życie człowiekiem. Jedynym, któremu chociaż w małym stopniu pozwoliłeś stać się swoim przyjacielem. Po dziś dzień przez jego syna możesz korzystać ze swojej nagrody i w pewnym stopniu spłacana jest kara, która została ci wyznaczona przez Vobis Kana, z powodu zaniechania zabójstwa mego rodziciela. Odesłałem moją załogę, aby nikt oprócz mnie nie mógł posiadać wiedzy o twojej obecności na pokładzie. Wyjaw mi swe plany i powiedz, w jaki sposób mogę dalej ci służyć.

– Chcemy niepostrzeżenie dostać się na ulice - odpowiedział Gor Hajus. - Udziel nam pomocy w tej sprawie, abyśmy nie musieli składać na twe barki dalszej odpowiedzialności związanej z naszą ucieczką. Masz naszą wdzięczność, a nie muszę ci przypominać, że w Toonol wdzięczność Gora Hajusa jest zdobyczą, której pragnie nawet Jeddak.

– Twój problem jest skomplikowany - odrzekł Bal Zak po chwili namysłu. - Z powodu składu twojej grupy. Małpa natychmiast przyciągnie uwagę i wzbudzi podejrzenie. Obserwując ją z wami dzisiejszego ranka oraz znając eksperymenty Rasa Thavasa, od razu zorientowałem się, że posiada mózg człowieka - jednak ta okoliczność przyciągnie do niego i ciebie większą uwagę mas.

– Nie muszę zapoznawać ich z tym faktem - warknął Hovan Du. - Dla nich mam być jedynie zniewoloną małpą. Czy one są aż tak nieznane w Toonol?

– Nie do końca, chociaż są rzadkością - odpowiedział Bal Zak. - Ale jest też biała skóra Vada Varo! Wydaje się, iż Ras Thavas nie wie nic o towarzyszącym wam małpiszonie, jednak jest świadom obecności Vada Varo. Twój opis został rozprzestrzeniony za pomocą wszelkich dostępnych mu środków. Zostaniesz z miejsca rozpoznany przez pierwszego człowieka, który na ciebie spojrzy. Mamy również Gora Hajusa. Był niczym martwy przez sześć lat, ale ośmielę się stwierdzić, iż rzadkością jest natrafić na Toonolianina wyklutego przed przynajmniej dziesięcioma laty, który nie zna twarzy Gora Hajusa tak dobrze jak lica własnej matki. Sam Jeddak nie był bardziej znany wśród Toonoliańczyków niż Gor Hajus. Z tych powodów tylko jeden z was ma szansę uciec przed podejrzeniami i wykryciem na ulicach miasta.

– Gdybyśmy zdobyli broń dla pozostałych - zasugerowałem - możemy jeszcze dotrzeć do domu przyjaciela Gora Hajusa.

– Wywalczyście sobie przejście przez Toonol? - zażądał odpowiedzi Bal Zak.

– Powinniśmy, jeśli nie ma innego sposobu - odrzekłem.

– Podziwiam wasz zapał - skomentował dowódca Vosara. - Ale obawiam się, że ciało nie jest dostatecznie wytrzymałe. Czekać! Jest pewien sposób - być może. Pod znajdującym się niedaleko pomostem jest publiczny depozyt, gdzie przechowywane oraz wypożyczane są equilibriumotory. Jeśli uda nam się zdobyć cztery takie, wtedy macie chociaż małą szansę na uniknięcie patroli powietrznych i dotarcie do domu przyjaciela Gora Hajusa. Myślę, że wiem też, jak zrealizować ten pomysł. Wieża lądownicza jest zamykana na noc, lecz kilku strażników trzyma wartę na różnych jej poziomach. Jeden z nich znajduje się w składnicy equilibriumotorów i z tego co wiem, jest wielbicielem jetana. Wolałby poświęcić się grze, niż wypełniać swoje obowiązki. Często pozostaję w nocy na pokładzie Vosara, gdzie czasami pozwalamy sobie z nim na partyjkę. Zaproszę go po zmroku, a gdy będzie zajęty, możecie iść do



magazynu położyć swoje ręce na maszynach i modlić się do swoich przodków, aby żaden patrol was nie zauważył, gdy będziecie poruszać się przez miasto w kierunku miejsca przeznaczenia. Co myślisz o tym planie, Gorze Hajusie?

– Jest wspaniały - odpowiedział zabójca. - A ty co sądzisz, Vadzie Varo?

– Jeśli wiedziałbym, czym jest equilibrimotor, to byłbym w lepszej pozycji do osądzania zalet przedstawionego planu - skomentowałem. - Jednakże z satysfakcją respektuję wyrok Gora Hajusa. Mogę cię zapewnić, Bal Zaku, o naszej wielkiej wdzięczności i jako że mój towarzysz przypieczętował plan swoją zgodą, mogę jedynie zachęcić cię do jak najszybszego wprowadzenia go w życie.

– Świetnie! - zawołał Bal Zak. - Chodźcie ze mną, ukryję was do czasu, aż nie zwabię stróża na partię jetana w mojej kabinie. Potem wszystko już zależy od was.

– Zeszliśmy z nim ze statku na lądowisko, gdzie ukryliśmy się za Vosarem, po stronie przeciwległej do tej, z której miał nadejść strażnik. Bal Zak opuścił nas, życząc nam szczęścia.

Ze szczytu wieży lądowniczej po raz pierwszy zobaczyłem marsjańskie miasto.

Kilkaset metrów poniżej mnie były położone szerokie, dobrze oświetlone aleje Toonol, z których wiele było zapełnionych ludźmi. Tu i tam w tej głównej dzielnicy, wysoko ponad swoje cylindryczne metalowe wały wspomagające, wznosiły się budynki, podczas gdy dalej - w miejscu, gdzie przeważały rezydencje - miasto przyjmowało wygląd kolosalnego i groteskowego lasu. Wśród większych pałaców tylko okazjonalne apartamenty górowały wysoko nad poziomem innych - były to sypialnie właścicieli, ich służących lub gości. Jednak mniejsze domy zostały podniesione w całości, co było koniecznym środkiem ostrożności z powodu ciągłej aktywności wyznawców starożytnej profesji Gorana Hajusa, przez którą każdy z mieszkańców żył w nieustannym strachu przed zamachem.

Niebo nad całą główną dzielnicą było poprzebijane przez wysokie wieże kilku innych lądowisk. Jednak, jak miałem się później dowiedzieć, było ich naprawdę niewiele. Toonol zdecydowanie nie jest latającym państwem. Brakuje mu tak ogromnych flot statków handlowych i wojennych, jakie posiadają na przykład bliźniacze miasta Helium lub wielka stolica Ptarth.

Szczególną cechą ulicznego oświetlenia Toonol - w rzeczywistości ten sam warunek ma zastosowanie w innych barsoomiańskich miastach, które odwiedziłem, a po raz pierwszy zauważyłem go właśnie tej nocy, gdy czekałem na powrót Bal Zaka ze strażnikiem - jest to, że jasność poniżej mnie wydawała się bezpośrednio ograniczona do iluminacji wybranego obszaru. Światło nie rozpraszало się w innych kierunkach poza wyznaczone granice. Dowiedziałem się, iż było to możliwe dzięki temu, że lampy zostały skonstruowane zgodnie z zasadami wynikającymi z wielu wieków badań nad właściwościami fal świetlnych i praw, jakimi się rządzą - co pozwoliło naukowcom z Barsoom ujarzmić i kontrolować światło tak, jak my ujarzmiamy i kontrolujemy materię. Fale świetlne opuszczają lampę, poruszają się po wyznaczonej trasie, a następnie do niej wracają. Nie pozostawia to żadnych odpadów ani - co wydawało mi się niezwykle dziwaczne - gęstych cieni, jeśli lampy są odpowiednio zainstalowane oraz wykalibrowane. Fale przechodzą wtedy wokół przedmiotów w drodze powrotnej do źródła, dzięki czemu są one oświetlone ze wszystkich stron. Rezultat tej iluminacji oglądany z dużej wysokości wieży robił niezwykle wrażenie.

Noc przywiodła gęste ciemności, nie dało się w tym czasie zobaczyć żadnego księżyca, a efekt tego był taki, jaki uzyskuje się, siedząc na zaciemnionej widowni przy wspaniale oświetlonej scenie. Wciąż byłem pochłonięty oglądaniem życia i kolorów znajdujących się poniżej mnie, gdy usłyszałem powracającego Bal Zaka. To, iż jego misja zakończyła się sukcesem, było oczywiste, gdyż z kimś właśnie konwersował.

Pięć minut później wyszliśmy po cichu z naszej kryjówki i udaliśmy się próg niżej, gdzie znajdował się depozyt equilibrimotorów. Ponieważ kradzież jest praktycznie nieznanym występkiem na Barsoom - z wyjątkiem powodów całkowicie pozbawionych pragnienia uzyskania chęci majątkowej - nie stosowano żadnych środków ostrożności przeciw przestępstwom tego typu. W związku z tym okazało się, że drzwi magazynu są otwarte, a Gor Hajus oraz Dar Tarus szybko wybrali cztery equilibrimotory i dopasowali je do nas. Składały się one z szerokiego pasa, przypominającego nieco koła ratunkowe używane na pokładach transoceanicznych ziemskich statków. Pasy te były wypełnione ósmym barsoomiańskim promieniem - lub promieniem napędowym - w stopniu wystarczającym do wyrównania siły grawitacji, a tym samym utrzymania osoby w równowadze pomiędzy tą siłą a oddziaływaniem przeciwnym, wywieranym przez ósmy promień. Na stałe do tylnej części pasa przymocowany jest mały silnik radowy, a jego elementy sterujące znajdują się na klamrze.

Sztywno przymocowane do pasa i wystające z każdej strony jego górnej krawędzi jest silne, lekkie skrzydło z małą ręczną dźwignią wykorzystywaną do szybkiego zmieniania pozycji.

Gor Hajus prędko wytłumaczył metodę kontroli urządzenia, jednak spodziewałem się, że może na mnie czekać kompromitacja - i kłopoty, nim opanuję sztukę latania na equilibrimotorze. Towarzysz pokazał mi, jak wychylać skrzydła w dół podczas chodu, aby nie wzbijał się w powietrze przy każdym kroku, a następnie doprowadził mnie na skraj lądowiska.

– Wzniesiemy się tutaj - powiedział. - Będziemy utrzymywać się w cieniu górnych poziomów, starając się dotrzeć do domu mojego przyjaciela bez wywoływania alarmu. Musimy się rozdzielić, jeśli będziemy ścigani przez patrole lotnicze. Następnie ci, którym uda się uciec, mogą zgromadzić się na zachód od murów miasta, gdzie znajdziecie małe jezioro z opuszczoną wieżą na jego północnym brzegu - ten budynek będzie naszym

punktem zbiorczym w razie problemów. Podążajcie za mną! - Odpalił swój silnik, po czym wzbił się z wdziękiem w powietrze.

Hovan Du ruszył za nim, a następnie przyszła moja kolej. Wzniosłem się pięknie na około dwadzieścia metrów, lewitując nad miastem, które leżało setki metrów poniżej, gdy niespodziewanie obróciłem się do góry nogami. Zrobiłem coś źle - nie miałem co do tego wątpliwości. To było niezwykle zaskakujące uczucie - mogę Pana zapewnić - gdy tak unosiłem się zupełnie bezradnie głową w dół. Poda mną znajdowały się ulice wspaniałego miasta, które nie były wcale miększe niż te znane z Los Angeles lub Paryża. Mój silnik wciąż działał, a gdy manipulowałem przyrządami sterującymi odpowiadającymi za zachowanie skrzydeł, zacząłem wykonywać różne rodzaje dziwnych pętli, spirali i obrotów. Wtedy z pomocą przyszedł Dar Tarus. Najpierw kazał mi leżeć spokojnie, a następnie nadzorował kontrolę każdego skrzydła, dopóki nie uzyskałem pozycji pionowej. Potem szło mi już całkiem nieźle i wkrótce dotrzymywałem kroku Gorowi Hajusowi oraz Hovanowi Du.

Nie muszę szczegółowo opisywać godzinnego lotu - lub raczej szybowania - następującego później. Gor Hajus poprowadził nas na znaczną wysokość i tam, poprzez ciemność spowijającą miasto, powolne silniki zawiozły nas w kierunku dzielnicy wspaniałych domów otoczonych rozległymi połaciami ziemi. Na miejscu, unosząc się nad wielkim pałacem, zostaliśmy nagle zaskoczeni ostrym wezwaniem.

– Kto lata w nocy? - zażądał odpowiedzi jakiś głos.

– Przyjaciele Mu Tela, Księcia z Domu Kana - odrzekł szybko Gor Hajus.

– Pokaż mi swoje zezwolenie na nocne loty oraz licencję pilota - rozkazał osobnik znajdujący się powyżej, w tym samym czasie szybko zniżający się do naszego poziomu i pozwalający mi po raz pierwszy ujrzeć oblicze marsjańskiego stróża prawa. Był wyposażony w znacznie szybszy i poręczniejszy equilibrimotor. Myślę, że był to pierwszy fakt, który wielce

nam zaimponował oraz potwierdził bezcelowość dalszego lotu. Mógłby dać nam dziesięć minut przewagi? Ruszyłyby za nami i wyprzedziłyby każdego z osobna w ciągu kolejnych dziesięciu, nawet pomimo tego, że zaplanowaliśmy ucieczkę w innych kierunkach. Ten typ był bardziej wojownikiem niż policjantem, mimo to wykonywał takie same obowiązki jak ziemscy oficerowie - miasto jest patrolowane w dzień i noc przez żołnierzy należących do armii Vobis Kana.

Zbliżył się do zabójcy z Toonol, po raz kolejny domagając się pokazania zezwolenia oraz licencji, równocześnie święcąc latarką w twarz mojego towarzysza.

- Na miecz Jeddaka! - wykrzyknął. - Fortuna mi sprzyja. Kto by pomyślał godzinę temu, że to właśnie ja będę tym, który odbierze nagrodę za schwytanie Gora Hajusa?

- Każdy inny głupiec by o tym pomyślał - skontrował sam zainteresowany. - Jednak myliłby się tak jak ty... - Gdy wypowiadał te słowa, równocześnie zaatakował krótkim mieczem, który mu pożyczyłem.

Cios został zablokowany przez skrzydło wrogiego equilibrimatora, który został doszczętnie zniszczony, a na ramieniu przeciwnika pojawiła się rozległa rana. Chciał się wycofać, ale uszkodzenie elementów maszyny doprowadziło do tego, że rzucało nim chaotycznie w powietrzu. Wtedy wyciągnął rękę w stronę swojego gwizdka, próbując dać nim potężny sygnał, jednak akcja ta została przerwana przez kolejny cios miecza Gora Hajusa, który rozciął głowę przeciwnika na pół aż do podstawy nosa.

- Szybko! - zawołał zabójca. - Musimy dotrzeć do ogrodów Mu Tel, gdyż ten sygnał sprowadzi na nas rój patroli powietrznych.

Inni ruszyli szybko w stronę stałego gruntu, jednak ja po raz kolejny miałem problemy.

Zwalniając skrzydła, przenosiłem się nieznacznie w dół, a kontynuowanie tego manewru doprowadziłoby do tego, iż wylądowałbym w znacznej odległości od ogrodów Mu Tela. Zbliżałem się do jednej z

wysokich części pałacu, która wydawała się małym apartamentem wzniesionym ponad lśniącym metalowym wałem daleko nad ziemią. Ze wszystkich stron dochodził mnie donośny dźwięk patroli powietrznych, odpowiadających na ostatnie wezwanie swego kompana, którego zwłoki lewitowały tuż nade mną - nawet po śmierci prowadząc swoich towarzyszy ku naszej pozycji. Było pewne, że go odkryją, a wtedy znajdę się na widoku i mój los będzie przesądzony.

Być może uda mi się znaleźć wejście do mieszkania wylaniającego się z pobliskiego mroku! Tam mógłbym przeczekać nadciągające niebezpieczeństwo - pod warunkiem, że uda mi się zakraść niezauważenie. Obrąłem kurs na strukturę. Otwarte okno przybrało wyraźną formę w ciemności i wtedy zderzyłem się z cienką drucianą siatką - wpadłem na kurtynę bezpieczeństwa ochraniającą te odległe apartamenty sypialne przed atakami zabójców nadchodzącymi z powietrza. Przeczynałem swoją zgubę. Gdybym mógł dosięgnąć ziemi, może miałbym szansę ukryć się wśród drzew i krzewów, które dostrzegałem niewyraźnie pode mną w ogrodach tego barsoomiańskiego księcia. Nie mogłem jednak opadać pod odpowiednim kątem, aby spaść na grunt będący częścią ogrodu - kiedy próbowałem przechylić się w dół, natychmiast przekręcało mnie w drugą stronę, po czym wracałem do pozycji wyjściowej. Przez myśl przeszło mi rozerwanie pasa i pozwolenie, aby ósmy promień z niego uciekł. Jednak moja nieznanomość tej niezwyklej mocy sprawiała, iż bałem się, że takie zachowanie może sprowadzić mnie na ziemię ze zbyt wielką siłą - choć byłem zdecydowany odwołać się do tego pomysłu w roli ostatniej deski ratunku, jeśli żadne mniej drastyczne rozwiązanie nie przejdzie mi przez myśl.

Podczas ostatniej próby lądowania byłem blisko nagłej, zaskakującej kolizji z nieznanym obiektem znajdującym się nade mną. Gdy gorączkowo się wyprostowałem, wyczekując natychmiastowego pochwycenia przez

członka patrolu, znalazłem się twarzą w twarz z truchłem wojownika, którego zabił Gor Hajus.

Gwizd podniebnych stróżów prawa zbliżał się coraz bardziej - odkrycie mojej osoby było już tylko kwestią sekund - a sytuacja, w jakiej się znalazłem, była bardzo poważna, wraz ze śmiercią wpatrującą mi się w twarz, gdy nagle na mojej drodze pojawiła się możliwość ucieczki przed problemami.

Chwytnąjąc mocno lewą ręką uprząż martwego Toonolianina, wyciągnąłem sztylet, po czym kilkanaście razy naciąłem jego pas lewitacyjny. Gdy promienie zaczęły uciekać, jego ciało natychmiast pociągnęło mnie w dół. Nasze zejście było szybkie, lecz nie gwałtowne - i po kilku sekundach wylądowaliśmy delikatnie na szkarłatnej darni, obok kępy gęstych zarośli, w ogrodzie Mu Tela - Księcia Domu Kana. W górze słychać było gwizdy krążących patroli, gdy przeciągałem zwłoki wojownika w głąb listowia. Nie miałem nadwyżki czasu podczas próby ukrycia się, ponieważ niemal natychmiast oślepiające promienie reflektorów wystrzeliły z pokładu małego statku patrolowego, oświetlając otwarte przestrzenie ogrodu wokół mnie. Pośpieszne spojrzenie przez gałęzie i liście mojego sanktuarium nie natrafiło na żaden ślad moich towarzyszy, dzięki czemu mogłem odetchnąć z ulgą na myśl o tym, że oni również znaleźli kryjówkę.

Światło zatańczyło przez krótką chwilę na ogrodach, a następnie zniknęło tak jak dźwięk gwizdków patrolowych, gdy poszukiwania przeniosły się w inne miejsce. Dało mi to pewność, iż miejsce naszego ukrycia nie wzbudziło żadnych podejrzeń.

Pozostając w ciemności, przywłaszczyłem sobie broń martwego wojownika. Po zdjęciu mojego equilibrimatora - który w pierwszym odruchu chciałem zniszczyć - zdecydowałem się przymocować go do jednego z większych krzewów, na wypadek gdybym znów musiał go użyć.

Po tym, upewniając się iż niebezpieczeństwo całkowicie minęło, opuściłem kryjówkę i ruszyłem na poszukiwania moich kompanów.

Trzymając się cieni drzew i krzaków, poruszałem się w stronę głównego budynku, który wynurzał się z ciemności, będąc już w zasięgu ręki. Wierzyłem, że w tym kierunku Gor Hajus poprowadziłby innych, ponieważ miałem świadomość tego, że pałac Mu Tela był naszym celem. Gdy zakradałem się wolno i jak najciszej, nagle nad horyzontem wystrzeliła Thuria - najbliższy księżyc - oświetlając noc swoimi oślepiającymi promieniami. Byłem w tym momencie blisko bogato rzeźbionych ścian budynku, a obok mnie znajdowała się wąska nisza, której wnętrze było skąpane w najgłębszym cieniu wytworzonym przez wspaniałe światło Thurii. Po mojej lewej stronie znajdował się otwarty kawałek trawnika, na którym - jawiąc się w każdym najdrobniejszym szczególe swojej przerażającej aparycji - stała najstraszliwsza kreatura, jaką kiedykolwiek widziały moje ziemskie oczy. Było to zwierzę wielkości kuca szetlandzkiego, z dziesięcioma krótkimi nogami i potworną głową, która w nieznacznym sposób przypominała żabi czerep - z wyjątkiem tego, że jej szczęki były wyposażone w trzy rzędy długich, ostrych kłów.

Ta rzecz miała nos wzniesiony w powietrze i wyraźnie coś węszyła. Jej wielkie wyłupiaste oczy poruszały się szybko tu i tam, zapewniając mnie, że bez cienia wątpliwości kogoś poszukuje. Nie jestem skłonny do bycia egoistą, jednak nie potrafiłem pozbyć się przekonania, iż chodzi jej właśnie o mnie. To było moje pierwsze spotkanie z marsjańskim psem stróżującym, a gdy szukałem schronienia pośród mroków niszy znajdującej się za mną, wzrok bestii padł na moją osobę i usłyszałem jej ryk oraz spostrzegłem, jak rusza prosto w moją stronę - miałem przecucie, że może być to również moja ostatnia konfrontacja z tym zwierzęciem.

Wyciągnąłem długi miecz, wycofując się równocześnie do niszy - mając poczucie zupełnej niewystarczalności oręża, do którego nie jestem przyzwyczajony w obliczu 140 lub 180 kilogramów wcielonego



okrucieństwa. Powoli odsuwałem się w cień, gdy istota ta zbliżała się do mnie - a kiedy wkroczyła do wnęki, moje plecy zderzyły się z masywną przeszkodą, która położyła kres dalszej ucieczce.

## ROZDZIAŁ 10:

### PAŁAC MU TELA

Gdy calot wkroczył do niszy, przejawiałem - tak mniemam - wszystkie zachowania, jakie cechują osaczonego szczura - i jestem przekonany, iż byłem przygotowany do walki w taki właśnie sposób. Bestia już prawie mnie dopadła, a ja metaforycznie biłem się po twarzy z powodu tego, że nie pozostałem na otwartym terenie, gdzie znajdowało się wiele wysokich drzew. Nagle jednak blokada za moimi plecami dała za wygraną, a z ciemności wyskoczyła ręka, która chwyciła moją uprząż, i zostałem prędko wciągnięty w objęcia atramentowej czerni. Trzasnęły drzwi, a sylwetka calota na tle oświetlonego przez księżyc wejścia do niszy zniknęła.

Szorstki głos odezwał się przy mym uchu. - Chodź ze mną! - usłyszałem. Obca ręka chwyciła moją, po czym zostałem pociągnięty przez ciemność czegoś, co szybko okazało się wąskim korytarzem, gdyż nieustannie wpadałem na ściany z lewej i prawej strony.

Wznosząc się stopniowo, korytarz skręcił nagle gwałtownie pod kątem prostym i zobaczyłem przed moim przewodnikiem narastającą jasność, do czasu aż kolejna zmiana kierunku zaprowadziła nas na próg znakomicie oświetlonej komnaty. Wspaniały apartament, prześliczne meble oraz dekoracje przewyższały skromne uprawnienia opisowe mojego ojczystego języka. Chłód, kość słoniowa, kamienie szlachetne, wspaniałe drewno, olśniewające tkaniny, niezwykle futra i zadziwiająca architektura łączyły się ze sobą, aby wpoić mojemu ziemskiemu wzrokowi obraz, o którym

nigdy nie marzyłem śnić, a na środku pokoju - w otoczeniu grupki Marsjan - stała trójka moich towarzyszy.

Przewodnik zaprowadził mnie do grupy, której członkowie zwrócili się w naszą stronę, gdy wstąpiliśmy do komnaty, i zatrzymali się przed wysokim Barsoomianinem, przyozdobionym w błyszczącą klejnotami uprząż.

– Książę - powiedział przewodnik. - Przybyłem na miejsce w ostatniej chwili. Co więcej, gdy tylko otworzyłem drzwi do ogrodu, aby rozpocząć poszukiwania - tak jak mi rozkazałeś - on znajdował się po przeciwległej stronie, a jeden z calotów był bliski zakończenia jego żywota.

– Wspaniale! - zawołał ten, który został określony mianem księcia, a następnie zwrócił się do Gora Hajusa: - To ten, mój przyjacielu, o którym mi opowiadałeś?

– To Vad Varo, który twierdzi, że pochodzi z planety Jasoom - odpowiedział Gor Hajus, - A to, Vadzie Varo, jest Mu Tel, Książę z Domu Kan.

Ukloniłem się, a książę podszedł i położył prawą rękę na moim lewym ramieniu w prawdziwie barsoomiańskim geście zapoznania. Gdy zrobiłem podobnie, ceremonia została zakończona. Nie było żadnego naiwnego „miło cię poznać”, „jak się masz?” lub „to przyjemność, że cię poznałem, zapewniam”.

Na prośbę Mu Tela opowiedziałem pokrótce, co mnie spotkało w czasie pomiędzy odłączeniem się od kompanów a momentem, gdy jeden z jego oficerów wyrwał mnie z paszczy nadchodzącej katastrofy. Książę wydał polecenie, aby wszelkie ślady po zamordowanym mężczyźnie zostały usunięte przed świtem, ponieważ ich odkrycie wzbudziłoby nowe podejrzenia jego wuja, Vobis Kana, Jeddaka Toonol - który wydaje się już od dawna zazdrosny o wzrastającą popularność swojego bratanka, a także obawia się, że dąży on do przejęcia tronu.

Działo się to późnym wieczorem, w trakcie jednej z tych wymyślnych kolacji, z których słusznie słyną książęta z Barsoom, gdy Mu Tel - ułagodzony nieco przez rzadkie roczniki, którymi raczył swoich gości - rozprawiał z mniejszą powściągliwością na temat swojego wuja.

– Szlachta już od dawna jest zmęczona Vobis Kanem - powiedział. - Tak samo jak ludzie. To tyran bez sumienia. Jest jednak naszym dziedzicznym władcą, dlatego też obawiają się zmiany. Jesteśmy praktycznymi ludźmi, trochę pod wpływem sentymentów. Jednak wystarczy ich, aby masy nadal były wierne swojemu Jeddakowi, nawet jeśli przestał on już dawno zasługiwać na ich lojalność - a strach przed gniewem ludności sprawia, że szlachta pozostaje bierna. Istnieje również naturalne podejrzenie, iż następny Jeddak w kolejce do sukcesji byłby nie mniej despotyczny niż Vobis Kan. Dodatkowo, jeśli byłby młody, taki osobnik mógłby aktywniej oddawać się okrutnym i nikczemnym praktykom.

– Ja sam bez wahania zniszczyłbym mego wuja i przejął jego tron, gdybym był pewien wsparcia armii. Z wojownikami Vobis Kana za moimi plecami mógłbym przywrócić ład w Toonol. To z tego powodu już dawno temu zaoferowałem swoją przyjaźń Gorowi Hajusowi. Nie dlatego, iż mógłby on zamordować mego wuja, ale przez to, że jeśli ja wygrałbym z nim w uczciwej walce, to Gor Hajus mógłby mi pomóc zdobyć lojalność wojowników Jeddaka - ponieważ wielka jest popularność Gora Hajusa wśród żołnierzy, którzy zawsze patrzyli na tego wielkiego wojownika z szacunkiem oraz oddaniem. Oferowałem mu wysoką pozycję w administracji Toonol, jeśli przystałby do mnie - jednak on stwierdził, że najpierw musi wypełnić swoje zobowiązania względem ciebie, Vadzie Varo. Wspierając waszą przygodę, poprosił mnie, abym udzielił ci każdej możliwej pomocy. Oferuję ją chętnie, z czysto praktycznych pobudek, ponieważ twój wczesny sukces przyspieszy mój. Dlatego proponuję oddanie w twe ręce niezawodnego statku powietrznego, który zabierze ciebie i twoich kompanów do Phundahl.

Ofertę tę naturalnie zaakceptowałem, po czym poczęliśmy omawiać plany związane z wylotem, który ostatecznie przewidzieliśmy na początek kolejnej nocy - na czas, gdy niebo będzie wolne od księżyców. Po krótkiej dyskusji związanej z ekwipunkiem otrzymaliśmy - na moja prośbę - możliwość odpoczynku, ponieważ nie spałem już ponad trzydzieści sześć godzin, a moi kompani od dwudziestu czterech.

Niewolnicy zaprowadzili nas do apartamentów sypialnych, które były luksusowo urządzone, i przygotowali wspaniałe jedwabne pościele i futra dla naszej wygody.

Gdy odeszli, Gor Hajus dotknął przycisku, a pokój szybko wzniósł się po metalowych trzonach na wysokość dwunastu lub piętnastu metrów. Następnie automatycznie rozpostarła się nad nami siatka, dzięki czemu mieliśmy zapewnioną bezpieczną noc.

Następnego ranka, po tym, jak nasz apartament został obniżony na swój dzienny poziom i zanim pozwolono mi go opuścić, został do mnie wysłany niewolnik, który z polecenia Mu Tela zabarwił całe moje ciało na piękny miedziany kolor, przypominający ten u moich barsoomiańskich przyjaciół - wyposażając mnie tym samym w kamuflaż, który był niezmiernie istotny dla powodzenia całego przedsięwzięcia, gdyż moja biała skóra zwracałaby antypatyczną uwagę w każdym z miast na planecie. Kolejny niewolnik przyniósł uprząż oraz uzbrojenie dla Gora Hajusa, Dara Tarusa i mnie, a także obrozę z łańcuchem dla antropoida Hovana Du. Nasze pasy, mimo iż misternie wykonane z ciężkiego materiału, były dosyć proste, wolne od wszelkich insygniów związanych z rangą wojskową czy piastowanym urzędem - uprząże takie zwyczajowo noszone były przez barsoomiańskich pantanów lub najemników w czasie, gdy jednostka nie służy żadnemu krajowi lub osobie fizycznej. Tacy pantani są praktycznie ludźmi bez kraju - wędrującymi najemnikami, gotowymi sprzedać swoje miecze temu, kto zaoferuje najwyższą cenę. Mimo iż nie są w żaden sposób zorganizowani, to posługują się twardym kodeksem etycznym, a gdy są wynajęci przez

pana, praktycznie bez wyjątków odznaczają się całkowitą lojalnością. Są na ogół ludźmi, którzy uciekli przed gniewem swoich Jeddaków lub sprawiedliwością sądów, jednak znajduje się wśród nich kilku żądnych przygody śmiałków, którzy zajęli się tą profesją z powodu oferowanych emocji i podniecenia. Mimo dobrych zarobków wśród najemników znajdują się hazardziści oraz notoryczni hulacy, w związku z czym są prawie zawsze bez środków do życia i często podejmują się dziwacznych prac, aby związać koniec z końcem pomiędzy większymi zleceniami. Fakt ten zwiększył naszą wiarygodność związaną z posiadaniem trenowanej małpy, która na Marsie nie robi większego wrażenia niż ziemski odpowiednik tego zwierzęcia lub zwykła papuga przywieziona przez starego marynarza wracającego właśnie do portu po długim rejsie.

Tego dnia, pozostając w pałacu Mu Tela, spędziłem dużo czasu w towarzystwie księcia, któremu wiele przyjemności sprawiało wypytywanie mnie o ziemskie zwyczaje, politykę, cywilizację oraz geografię - z czego, co bardzo mnie zaskoczyło, znaczna część wiadomości była mu już znana. Fakt ten wiązał się z niesamowitym rozwojem barsoomiańskich przyrządów astronomicznych, bezprzewodowej fotografii oraz komunikacji - tę ostatnią doprowadzono do takiej doskonałości, że wielu uczonym z Barsoom udało się nauczyć kilku ziemskich języków, zwłaszcza urdu, angielskiego, rosyjskiego, chińskiego i paru innych. Były to bez wątpienia pierwsze języki, które przyciągnęły ich uwagę, ze względu na fakt, iż są one używane przez wielką liczbę ludzi na rozległych obszarach świata.

Mu Tel zaprowadził mnie do małego audytorium w swoim pałacu, które przypominało mi trochę prywatne pokoje projekcyjne na Ziemi. Mogło pomieścić około dwustu osób, a jego konstrukcja przywodziła na myśl wielką camerę obscurę - publiczność siedziała w maszynie, za plecami miała obiektyw, a z przodu znajdowało się duże szlifowane szkło, na którym generowany był obraz.

Mu Tel zasiadł przy stole, na którym była mapa nieba. Tuż powyżej wykresu znajdowało się ruchome ramię wyposażone we wskaźnik. Książę przesuwał go do czasu, aż natrafił na Ziemię, wtedy wyłączył światła w pokoju i od razu na kryształowej tafli pojawił się widok, jaki można było uzyskać, lecąc samolotem na wysokości tysiąca metrów.

Czułem coś dziwnie znajomego w scenerii przede mną. Był to pustynny, zmarniały kraj. Dostrzegłem połamane kikuty, których uporządkowanie głosiło, iż był tutaj kiedyś kwitnący oraz urodzajny sad. Zobaczyłem wielkie brzydkie dziury w ziemi, a wzdłuż i wszerz rozciągała się plątanina drutu kolczastego. Zapytałem Mu Tela, jak można zmienić obserwowaną lokację. Zapalił małą żarówkę radiową znajdująca się pomiędzy nami i zobaczyłem kulę ziemską - globus z przytwierdzonym wskaźnikiem.

– Część globu, którą teraz widzisz, reprezentuję oblicze Ziemi zwrócone w naszą stronę - wyjaśnił książę. - Zauważysz, że kula powoli się obraca. Umieść wskaźnik, gdzie chcesz na jej obszarze, a ta część Jasoom zostanie ci zaprezentowana.

Poruszyłem wskaźnikiem bardzo powoli i obraz się zmienił. Ujrzałem zrujnowaną wieś i jakichś ludzi poruszających się między gruzami. Nie byli żołnierzami. Trochę dalej natrafiłem na okopy oraz ziemianki - tutaj również nie było wojskowych. Przenosiłem urządzenie szybko z północy na południe wzdłuż szerokiej linii okopów. Tu i tam w wioskach trafiałem na żołnierzy - byli to jednak sami francuscy oficerowie, którzy zawsze znajdowali się poza transzejami. Po Niemcach i walkach nie było śladu. Wojna musiała się więc skończyć! Przesunąłem wskaźnik do Renu, a następnie na jego drugi brzeg. W Niemczech byli żołnierze - francuscy, angielscy, amerykańscy. Wygraliśmy! Byłem zadowolony, chociaż cała sytuacja wydawała się bardzo daleko i sprawiała wrażenie dosyć nierealnej - jak gdyby taki świat nigdy nie istniał, a ludzie nie walczyli. To było jak przypominanie sobie książki, czytanej dawno temu, za pomocą ilustracji.

– Wyglądasz na bardzo zainteresowanego tym rozdartym wojną krajem - zauważył mój rozmówca.

– Tak - powiedziałem. - Walczyłem na tej wojnie. Być może zostałem zabity. Nie wiem.

– I wygrałeś? - zapytał.

– Tak, moi ludzie wygrali - odrzekłem. - Walczyliśmy o ważne prawa, a także dla pokoju i szczęścia na świecie. Mam nadzieję, iż nie poświęciliśmy się na próżno.

– Jeśli masz nadzieję, że twoje prawo zatriumfuje tylko z powodu tego iż walczyłeś i wygrałeś, lub liczysz na nadejście pokoju, to twe nadzieje są daremne. Wojna nigdy nie przyniosła pokoju - przynosi tylko coraz większe konflikty zbrojne. Wojna jest naturalnym stanem natury - szaleństwem jest jej zwalczanie. Zawieszenie broni należy traktować jedynie jako czas na przygotowanie się do podstawowych działalności ludzkiej egzystencji. Gdyby nie stała walka jednych form życia z drugimi - a nawet z samymi sobą - planety przepełnione życiem po prostu by się udusiły. Odkryliśmy na Barsoom, iż długie okresy pokoju przynoszą plagi oraz straszne choroby, które zabiły więcej osób niż wojny - w dużo bardziej bolesny i ohydny sposób. Nie ma przyjemności, emocji ani żadnej nagrody za śmierć w łóżku z powodu strasznej choroby. Wszyscy musimy odejść - lepiej zrobić to podczas wspaniałej i ekscytującej gry, robiąc miejsce milionom które nadejdą. Próbowaliśmy tego na Barsoom i nie potrafiliśmy wytrzymać bez wojny.

Mu Tel powiedział mi tego dnia wiele o specyficznej filozofii Toonolian. Uważają, iż nigdy nie sprawiono dobrego uczynku, z wyłączeniem samolubnych motywów. Nie mają boga i religii. Zakładają, tak jak wszyscy wykształceni Barsoomianie, że człowiek narodził się z Drzewa Życia - jednak w przeciwieństwie do większości swoich pobratymców nie wierzą, iż zostało ono stworzone przez wszechmocną istotę. Jedynym grzechem jest dla nich porażka - sukces, jakkolwiek osiągnięty, jest zasłużony. Mimo tego



nie ważne, jak bardzo paradoksalnie to brzmi, nigdy nie łamią danego słowa. Mu Tel wyjaśnił, że wygrali oni ze zgubnymi rezultatami tej degradującej słabości - sentymentalnego nonsensu - dzięki rzadkiemu, jeśli w ogóle mającemu miejsce, wiązaniu się poprzez lojalność z innymi jednostkami. I tylko na dokładnie określony czas.

Gdy lepiej ich poznawałem, zwłaszcza Gora Hajusa, zacząłem zdawać sobie sprawę z tego, jak bardzo zwodnicza była ich wielka pogarda względem delikatnych uczuć. Prawdą jest, iż poprzez kolejne pokolenia tłumiące te cechy serca i duszy - które mają tak ogromne znaczenie wśród najszlachetniejszych ziemskich osobników - zanikły one w jakimś stopniu. Więzy przyjaźni zostały poluźnione, a pokrewieństwo krwi nie rozbudzało poczucia odpowiedzialności oraz miłości nawet między rodzicami i dziećmi. Jednak Gor Hajus był w zasadzie człowiekiem sentymentalnym, chociaż niewątpliwie zmroziłby serce każdego, kto posądziłby go o coś takiego - tym samym potwierdzając prawdziwość zarzutów takiej osoby. Jego duma z własnej reputacji osobnika uczciwego oraz lojalnego udowadnia, iż jest on człowiekiem wielkiego serca, tak samo jak zazdrość o status nieczulej jednostki podkreśla jego uwarunkowania człowieka sentymentalnego. Mimo tego bagażu był jednak typowym mieszkańcem Toonol. Nie wierzyli w bóstwa oraz jednym tchem czcili fetysze nauki, które doprowadzały ich do obsesji, nie mniej niebezpiecznej od tej kojarzonej z religijnymi fanatykami i ich bezrefleksyjną akceptacją zasad wyimaginowanych bożków. I tak, mimo chełpienia się swoją wiedzą, byli ograniczeni z powodu swojego niezrównoważenia.

Jako że dzień zbliżał się ku końcowi, stałem się bardziej niespokojny, myśląc o opuszczeniu tego miejsca. Daleko na zachodzie, naprzeciw niegościnnych bagien, leży Phundhal, a w mieście tym znajduje się piękne ciało mojej ukochanej kobiety, które obiecałem zwrócić prawowitej właścicielce.

Zakończył się wieczorny posiłek, a Mu Tel we własnej osobie zaprowadził nas do sekretnego hangaru ulokowanego w jednej z wież jego pałacu. Tutaj właśnie rzemieślnicy przygotowali dla nas statek powietrzny, usuwając za dnia wszystkie oznaczenia prawowitego właściciela, żeby w przypadku naszego schwytania nie można było w żaden sposób połączyć Mu Tela z tym wydarzeniem. Prowiant został schowany, wliczając w to sporą ilość surowego mięsa dla Hovana Du, a gdy tylko bardziej oddalony księżyc opadł poniżej linii horyzontu i wokół zapanowała ciemność, panel ścienny na wieży przed kadłubem pojazdu odsunął się na bok. Księżę życzył nam powodzenia, po czym statek cichutko zatopił się w nocne niebo. Pojazd, jak wiele mu podobnych, nie posiadał kabiny ani kokpitu. Niska metalowa poręcz wieńczyła górną krawędź nadburcia. Na pokładzie zamontowano ciężkie pierścienie, których załoga musiała się trzymać lub przymocować do nich haki, w które wyposażone były osobiste uprząże. Niska tarcza przeciwwiatrowa, wygięta pod fikuśnym kątem, zapewniała ograniczoną ochronę przed żywiołem. Silnik i sterowanie były odkryte, ponieważ całe miejsce pod pokładem zostało zajęte przez zbiorniki wypornościowe. W tym modelu wszystko poświęcane jest dla szybkości - nie zazna się tu żadnego komfortu. Poruszając się z dużą prędkością, każdy członek załogi leży na całej długości pokładu - w wyznaczonym miejscu, aby zapewnić odpowiednie wyważenie - starając się przeżyć. Te toonolpoliańskie maszyny nie są jednak zbyt szybkie. Znacznie wyprzedzają je wehikuły takich państw jak Helium oraz Ptarth, które to poświęciły kilka wieków na doskonalenie swoich flot powietrznych. Ten, którym się poruszaliśmy, był jednak dostatecznie prędko dla naszych celów - których osiągnięcie wymaga przeciwstawienia się co najwyżej równorzędnym statkom. Według mnie był wystarczająco sprawny. W porównaniu z powolnym Vosarem wydawał się przebijać powietrze niczym strzała.

Nie traciliśmy czasu na planowanie lub skradanie, ale gdy tylko byliśmy bezpieczni, rozpostarliśmy szeroko skrzydła, po czym skierowaliśmy statek na zachód w kierunku Phundahl. Ledwie minęliśmy ogrody Mu Tela, już spotkała nas pierwsza przygoda.

Przelecieliśmy obok samotnej postaci unoszącej się w powietrzu i prawie natychmiast usłyszeliśmy odgłos gwizdków ostrzegawczych powietrznych patroli. Nad nami rozległ się niegroźny wystrzał i po chwili już nas tam nie było. Jednak w ciągu kilku sekund dostrzegłem promienie reflektorów przesuwane się badawczo w powietrzu tam i z powrotem.

– Statek patrolowy! - krzyknął mi nad uchem Gor Hajus. Hovarn Du warknął wściekle i potrząsnął łańcuchem przytwierdzonym do swojej obroży. Zaczęliśmy uciekać, pokładając nadzieję w większych oraz mniejszych bogach, a także wszystkich naszych przodkach, iż bezlitosne jaśniejące oko nas nie wypatrzy. Stało się jednak inaczej. W ciągu kilku sekund światło rozpromieniło cały pokład, a maszyna patrolująca ruszyła gwałtownie w naszą stronę, utrzymując cały czas wielką szybkość. Następnie, ku zdziwieniu całej załogi, pojazd wystrzelił w naszym kierunku eksplodujące pociski. Amunicja ta zawierała w sobie materiały wybuchowe detonowane przez wiązkę światła, gdy ich skorupa ulega zniszczeniu przy zderzeniu z celem. Z tego powodu trafienie nie musi być wcale bezpośrednie, aby okazało się skuteczne. Jeśli pocisk uderzy w ziemię, pokład lub jakikolwiek solidny materiał, ma szansę wyrządzić znacznie więcej szkód, ponieważ po wybuchu zabije lub okaleczy kilka celów. Gdy jednak kula spenetruje ciało jednostki, promienie światła nie będą mogły jej dosięgnąć, przez co osiągnie się nią nie więcej niż normalnym nabojem. Blask księżyca jest zbyt słaby, aby wywołać eksplozję, dlatego też kule wystrzelone nocą - bez wspomaganie potężnych reflektorów - aktywują się dopiero o wschodzie słońca, zamieniając pole walki w najbezpieczniejsze miejsce o tej porze dnia, mimo że zwalczających się sił już tam nie ma. W podobny sposób operacja wyjęcia niewybuchu z ciała rannej osoby staje się

niebawale delikatna, gdyż może doprowadzić do natychmiastowego zgonu chirurga oraz pacjenta.

Stojący za sterem, Dar Tarus skierował dziób naszego statku bezpośrednio w stronę łodzi patrolowej i jednocześnie krzyczał do nas, abyśmy skoncentrowali nasz ogień na jej śmigłach. Nie widziałem prawie nic poza oślepiającym okiem reflektora i właśnie w jego stronę skierowałem dziwną broń, z którą zapoznałem się zaledwie kilka godzin wcześniej, gdy zaprezentował mi ją Mu Tel. Dla mnie to wszytkowidzące oko reprezentowało największe zagrożenie, jakie stanęło na naszej drodze, i jeśli udałoby się nam je oślepić, to patrol nie miałby nad nami tak wielkiej przewagi. Skierowałem więc celownik w jego stronę - palec spoczywał na przycisku kontrolującym ogień, a ja modliłem się o trafienie.

Gor Hajus przyklęknął obok mnie, a jego broń wypluwała pociski w stronę przeciwników. Ręce Dar Tarusa były zajęte sterowaniem, a Hovan Du przysiadł na dziobie i warczał.

Nagle Dar Tarus ogłosił alarm. - Panel sterowania został zniszczony! - wrzasnął. - Nie możemy zmienić kursu - statek jest bezużyteczny. - Prawie natychmiastowo reflektor został wyłączony - jedna z moich kul widocznie go dosięgła. Byliśmy już bardzo blisko wrogów i słyszeliśmy ich wściekłe okrzyki.

Nasz własny statek, znajdujący się poza kontrolą, zmierzał szybko w stronę innego. Wydawało się, że jeśli unikniemy kolizji, będziemy przelatywać bezpośrednio pod kilem patrolu. Zapytałem Dara Tarusa, czy nasz statek da się jeszcze uratować.

- Moglibyśmy go naprawić, gdybyśmy mieli czas - odpowiedział. - Ale zajęłoby nam to godziny, a wtedy cała podniebna straż z Toonol ruszyłaby w naszą stronę.

- Musimy więc zdobyć inny statek - skomentowałem. Dar Tarus roześmiał się. - Masz rację, Vadzie Varo - odpowiedział. - Lecz gdzie go znajdziemy?

Wskazałem na łódź patrolową. - Nie musimy daleko szukać.

Mój rozmówca wzruszył ramionami. - Dlaczego nie! - zawołał. - To byłaby wspaniała walka i godne zakończenie żywota.

Gor Hajus klepnął mnie w ramię. - Do śmierci, mój kapitanie! - zawołał.

Hovan Du potrząsnął swoim łańcuchem i ryknął.

Oba statki szybko zbliżały się do siebie. Zaprzestaliśmy ostrzału, bojąc się, że możemy uszkodzić wehikuł, który mieliśmy nadzieję wykorzystać do ucieczki. Z jakiegoś powodu załoga statku patrolowego przestała też strzelać do nas - nigdy nie dowiedziałem się dlaczego. Poruszaliśmy się w linii prostej, która prowadziła nas bezpośrednio do wrogiej jednostki. Byłem zdeterminowany, by przejąć ją za wszelką cenę. Widziałem jej kil przygotowany do opuszczenia na nasz pokład, gdzie haki pochwyciłyby swoją zdobycz. Bez wątplenia byli w gotowości do zrealizowania tego ostatniego etapu i gdy znajdowaliśmy się już pod statkiem, stalowe macki sięgnęły w dół, a nasz pokład zaroił się od wrogów.

Zawołałem Hovana Du, który zakradł się do mojego boku, gdzie wyszeptałem mu do ucha instrukcje. Kiedy skończyłem, skinął głową z cichym pomrukiem. Odpiąłem hak utrzymujący mnie na pokładzie, po czym razem z małpą ruszyliśmy na naszą pozycję po tym, jak przekazałem szybko polecenia Gorowi Hajusowi i Darowi Tarusowi. Byliśmy teraz prawie dokładnie pod wrogim statkiem, gdzie dostrzegłem haki gotowe do opuszczenia. Nasz dziób znajdował się pod rufą przeciwników i nadszedł moment, na który czekałem. W tej chwili ludzie na statku patrolowym nie mogli zauważyć mnie oraz Hovana Du. Abordażowy takielunek zawisł piętnaście metrów nad naszymi głowami. Wyszeptałem polecenie małpisonowi i jednocześnie przykucnęliśmy, szykując się do skoku. Wyglądało to na czyste szaleństwo - błąd oznaczał pewną śmierć. Czuję jednak, że gdy naszej dwójce uda się dostać się na pokład wrogiej maszyny, w czasie gdy jej załoga będzie zajęta sprzętem cumującym, to ryzyko się opłaci.

Gor Hajus zapewnił mnie, że nie będzie więcej niż sześciu mężczyzn na drugim statku - jeden przy sterach, a pozostali zmagający się z hakami. Miał to być najbardziej sprzyjający moment, żeby postawić nogę na pokładzie wroga.

Razem z towarzyszem wykonaliśmy skok i fortuna się do nas uśmiechnęła, chociaż wielka mała ledwo dosięgła rufy jedną wyciągniętą ręką, w czasie gdy moje ziemskie mięśnie bezproblemowo poprowadziły mnie do celu. Wspólnie ruszyliśmy szybko w kierunku dziobu statku patrolowego i bez wahania, tak jak wcześniej ustaliliśmy, mój kompan wdrapał się na sterburtę, a ja na bakburtę. Jeśli byłem bardziej zwinny skoczkiem, to Hovan Du znacznie przewyższał mnie we wspinaczce, w rezultacie czego dotarł on do nadburcia, podczas gdy ja miałem jeszcze wzrok pod poziomem pokładu. Okazało się to szczęśliwym zbiegiem okoliczności, ponieważ przez przypadek miałem wejść na statek dokładnie w miejscu, gdzie jeden z marynarzy zmagał się właśnie z hakiem. Gdyby jego wzrok nie popędził w inne miejsce z powodu okrzyku jednego z kolegów, który jako pierwszy zobaczył dziką twarz Hovana Du wyłaniającą się z górnej krawędzi nadburcia, mógłby posłać mnie w dół jednym ciosem, zanim moja noga stanęłaby na pokładzie. Mała pojawiła się również bezpośrednio przed toonoliańskim wojownikiem, który wydał okrzyk zaskoczenia i spróbował dobyć swego miecza. Człekokształtny jednak, pomimo swojej masywnej budowy, był dla niego za szybki. Ze szczytu nadburcia zobaczyłem, jak potężny antropoid chwytając nieszczęśnika za uprząż, przyciąga na skraj statku i zrzuca ku czekającej w dole ostateczności. Natychmiastowo obaj znaleźliśmy się na nadburciu, podczas gdy pozostali członkowie załogi wehikułu - porzucając swoje pozycje - ruszyli prosto na nas. Myślę, że widok gargantuicznej dzikiej bestii musiał mieć na nich demotywuujący wpływ, ponieważ wszyscy się zatrzymali, oddając pierwszeństwo szarzy kompanom. W końcu jednak powoli zaatakowali. Byłem zachwycony ich zawahaniem, ponieważ idealnie

pasowało to do mego planu, który mógł wspomóc starania Gora Hajusa i Dara Tarusa związane z przedostaniem się na pokład statku patrolowego, w czasie gdy nasza maszyna wzniosła się wystarczająco blisko wrogiej jednostki, aby pozwolić im dosięgnąć abordażowego takielunku - który chcieliśmy wykorzystać w odwrotny sposób niż nasi przeciwnicy.

Gor Hajus przestrzegł mnie, abym zneutralizował pilota tak szybko, jak się da, ponieważ jego pierwszą reakcją miało być uszkodzenie jednostki, gdyby tylko pojawiła się jakakolwiek szansa, że uda nam się przejąć kontrolę nad statkiem. Pobiegłem więc do niego jak najszybciej i zanim zdążył cokolwiek zrobić, udało mi się go ogłuszyć. Przeciwno nam pozostała już tylko czwórka oficerów. Czekaliśmy na ich ruch, aby zdobyć więcej czasu dla naszych kompanów próbujących dostać się na pokład.

Przeciwnicy powoli kierowali się w naszą stronę i byli już na wyciągnięcie ręki, kiedy zobaczyłem głowę Gora Hajusa wyłaniającą się ponad koszem rufowym, za którą szybko podążyło lico Dara Tarusa.

- Patrzcie! - wykrzyknąłem w stronę wroga. - I od razu się poddajcie! - Po czym wskazałem na rufę.

Jeden z nich odwrócił się, a to, co zobaczył, sprawiło, że wydał z siebie okrzyk zaskoczenia. - To Gor Hajus - zawołał, a następnie zwrócił się do mnie: - Co z nami zrobisz, jeśli się poddamy?

- Nie mamy z wami żadnych waśni - odrzekłem. - Chcemy jedynie opuścić Toonol i pójść swoją drogą w pokoju - nie mamy zamiaru was skrzywdzić.

Zwrócił się do swoich towarzyszy, podczas gdy na mój znak trójka bliskich mi kompanów zatrzymała się w oczekiwaniu. Przez kilka minut czterech wojowników rozmawiało po cichu, po czym ten, który pierwszy się odezwał, zwrócił się do mnie.

- Jest kilku Toonoliańczyków - powiedział - którzy nie byliby zadowoleni, służąc Gorowi Hajusowi, będącemu dla nas martwym od dawna. Jednak oddanie naszego statku w twe ręce oznaczałoby dla nas

pewną śmierć, gdybyśmy złożyli raport o naszej porażce. Z drugiej strony, jeśli nadal byśmy się bronili, to większość osób znajdujących się w tej chwili na pokładzie, zostałyby zabite. Jeśli możesz nas zapewnić, iż twoje plany nie naruszają bezpieczeństwa Toonol, mogę zasugerować wyjście z tej sytuacji, które będzie dobre dla wszystkich zebranych.

– Chcemy jedynie opuścić Toonol - odpowiedziałem. - Nic złego nie może stać się miastu ze względu na cel mojej podróży.

– Dobrze! Dokąd chcesz się udać?

– Tego powiedzieć ci nie mogę.

– Możecie nam zaufać, jeśli przyjmiecie moją propozycję - zapewnił mnie. - Odwieziemy was do miejsca docelowego, po czym wrócimy do Toonol. Tam zgłosimy, że namierzyliśmy was, a po długiej walce - w której dwójka z naszych kompanów została zabita - zniknęliście w ciemnościach i uciekliście.

– Czy możemy ufać tym ludziom? - zwróciłem się do Gora Hajusa, który zapewnił mnie, że możemy. Dzięki temu doszliśmy do porozumienia, po czym ruszyliśmy szybko w stronę Phundahl na pokładzie jednego ze statków powietrznych Vobis Kana.



## ROZDZIAŁ 11:

### PHUNDAHL

Następnej nocy toonoliańska załoga wysadziła nas tuż za wewnętrznym murem Phundhal, podążając za wytycznymi pochodzącego z tego miasta Dara Tarusa - byłego wojownika gwardii Jeddary i dowódcy niewielkiej phundhalskiej floty wojennej. Dzięki temu znał on każdy szczegół systemów obrony miasta i jego patroli, o czym świadczy fakt, że wylądowaliśmy bez wzbudzania alarmu, a nasz środek transportu wzbił się w powietrze i zniknął niezauważony.

Naszym lądowiskiem był dach niewysokiego budynku wbudowanego w ścianę miasta. Z niego Dar Tarus poprowadził nas w dół pochyloną trasą na ulicę, która w tym czasie była dosyć pusta. Wąska i ciemna, została obwarowana z jednej strony niskimi budynkami komponującymi się z murem, a z drugiej wyższymi obiektami - niektóre z nich nie miały okien oraz nie dało się w nich zauważyć żadnego oświetlenia. Dar Tarus wyjaśnił, że obrał ten punkt za wejściowy, ponieważ była to dzielnica magazynów - za dnia główna gałąź przemysłu, nocą zawsze jednak świecąca pustkami. Nawet stróż nie był wymagany ze względu na prawie całkowity brak złodziejstwa na Barsoom.

Poprzez zawile i okrężne ścieżki doprowadził nas w końcu do sekcji ze sklepami drugiej kategorii, jadłodajniami oraz hotelami - takimi, jakie zazwyczaj odwiedzają zwykli żołnierze, rzemieślnicy i niewolnicy, gdzie jedyną uwagę przyciągaliśmy przez ciekawość innych względem Hovana Du. Jako że nie jedliśmy od czasu pobytu w pałacu Mu Tela, naszym

pierwszym celem było zdobycie pożywienia. Księżę zaopatrzył Gora Hajusa w pieniądze, dzięki czemu mieliśmy środki na zaspokojenie naszych potrzeb. Przystankiem grupy był mały sklep, gdzie zabójca nabył około dwóch kilogramów thoatowego mięsa dla Hovana Du. Następnie zebraliśmy się w jadłodajni, o której wiedział nasz przewodnik. Początkowo właściciel nie chciał wpuścić do środka małpy, ale w końcu, po wielu argumentach, pozwolił nam zamknąć wielkiego antropoida w wewnętrznym pomieszczeniu, gdzie nasz przyjaciel został zmuszony do pozostania ze swoim thoacim mięsem, podczas gdy my zasiedliśmy przy stole w pokoju zewnętrznym.

Przyznam, iż Hovan Du zagrał swoją rolę dobrze. Ani przez chwilę właściciel, któryś z jego klientów lub gapiów zebranych, aby wysłuchać toczącej się kłótni, nie zorientował się, że ciało dzikiej bestii było sterowane przez ludzki mózg. Tak naprawdę jedynie podczas karmienia lub walki małpia strona umysłu mego towarzysza miała na jego zachowanie jakikolwiek widoczny wpływ. Jednak pojawiały się pewne wątpliwości, iż jego myśli i działania zawsze były w jakiś sposób podkoloryzowane, co stanowiło o jego małomówności oraz szybkości, z jaką wpadał w gniew, a także przez fakt, że nigdy się nie uśmiechnął ani nie doceniał w jakimkolwiek stopniu humoru sytuacyjnego. Zapewnił mnie jednak o tym, iż ludzka część jego mózgu nie tylko mile widziała, ale była też bardzo zadowolona z jaśniejszych epizodów oraz incydentów naszej przygody, a także dowcipnych opowieści i anegdot powiązanych z Gorem Hajusem - jednak jego małpia anatomia nie rozwinęła żadnych mięśni, dzięki którym mógłby w fizyczny sposób wyrazić swoje psychiczne reakcje.

Zjedliśmy z apetytem, pomimo nedorobionej i prostej strawy. Byliśmy jednak zadowoleni z tego, iż uciekliśmy przed nachalną ciekawością gadatliwego i plotkarskiego właściciela, który zarzucił nas tyłoma pytaniami związanymi z naszymi ostatnimi przygodami oraz planami na przyszłość, że Dar Tarus - będący naszym rzecznikiem - miał kłopoty z

szybkim fabrykowaniem konsekwentnych odpowiedzi. Jednakże w końcu udało nam się zbiec z tego miejsca prosto na ulicę, a przewodnik zaprowadził nas do publicznego domu kwaterunkowego. Gdy tam zmierzaliśmy, natrafiliśmy na wielki budynek cudownej urody, przez który nieustannie przelewały się strumienie ludzi. Dar Tarus poprosił, abyśmy na niego poczekali, gdyż musi tam wejść. Gdy zapytałem go dlaczego, odpowiedział, że jest to świątynia Tura, boga wielbionego przez mieszkańców Phundahl.

– Byłem daleko stąd przez długi czas - powiedział. - Nie miałem okazji, żeby wychwalać mojego boga, Nie każę wam długo czekać. Gorze Hajusie, czy pożyczysz mi kilka sztuk złota?

Toonolianin sięgnął do kieszeni po kilka kawałków waluty i wręczył je Darowi Tarusowi, ale widziałem, że robił to z trudem ukrywając wyraz pogardy, ponieważ jego rodacy są ateistami.

Zapytałem mojego kompana, czy mogę towarzyszyć mu w świątyni, co wydawało się bardzo go cieszyć - i tak ruszyliśmy z tłumem zbliżającym się do szerokiego wejścia. Dar Tarus dał mi dwie sztuki złota i kazał podążać za sobą oraz naśladować swoje zachowanie.

Bezpośrednio w głównym wejściu znajdowała się kolejka kapłanów, rozłożona w odstępach, które zapewniały miejsce dla wiernych, aby ci mogli przechodzić pomiędzy nimi. Ich całe ciała, razem z głowami oraz twarzami, były ukryte za płaszczami z białego materiału. Przed każdym z nich znajdował się solidny stojak, na którym leżała kasetka na datki. Gdy mijaliśmy jednego z nich, daliśmy mu kawałek złota, który natychmiast rozmiął na wiele fragmentów o mniejszej wartości, z których jeden wrzuciliśmy do jego skrzynki. Nagle wykonał on parę przejść z rękami nad naszymi głowami, zanurzył jeden z palców w misie z brudną wodą, którą wtarł w końcówki naszych nosów, po czym wymamrotał kilka niezrozumiałych słów i obrócił się do następnego człowieka w kolejce, gdy my już weszliśmy do wnętrza świątyni. Nigdy jeszcze moje oczy nie

widziały tak wspaniałego pokazu bogactwa oraz obfitej ornamentyki. Była to pierwsza ze świątyń Tura, którą miałem szczęście ujrzeć.

Ogromna podłoga była nienaruszona przez filary. W regularnych odstępach umieszczono na niej płaskorzeźby spoczywające na wspaniałych piedestałach. Niektóre z tych dzieł sztuki przedstawiały mężczyzn, inne kobiety i wiele z nich było przepięknych. Jeszcze inne przedstawiały bestie oraz dziwne, groteskowe kreatury - spora część rzeczywiście wyglądała ohydnie. Pierwszym dziełem, do którego podeszliśmy, była figura pięknej kobiety. Pod jej piedestałem, na podłodze, twarzą w dół, leżała pewna liczba ludzi, którzy uderzali głową siedem razy, po czym wstawali i wrzucali złoto do pojemnika na to przeznaczonego - przechodząc następnie do kolejnej rzeźby. Następną rzeźbą, którą odwiedziłem razem z Darem Tarusem, była ta przedstawiająca człowieka z ciałem siliana, którego cokół składał się z serii horyzontalnych drewnianych belek ułożonych w koncentryczne kręgi. Belki znajdowały się ponad półtora metra nad ziemią i zwisali z nich na zgiętych nogach ludzie powtarzający monotonicznie w kółko coś, co brzmiało dla mnie jak „bibble-babble-blup”.

Razem z Darem Tarusem zakołysaliśmy się na belkach, tak jak reszta zebranych, mamrocząc bezsensowną frazę przez minutę lub dwie. Następnie zeskoczyliśmy na ziemię, wrzuciliśmy monetę do pojemnika, po czym ruszyliśmy dalej. Zapytałem kompana, jakie to słowa musieliśmy powtarzać i co one oznaczały, jednak on stwierdził, że sam nie ma pojęcia. Chciałem wiedzieć, czy ktokolwiek je rozumie, jednak mój rozmówca wyraźnie się wzburzył, po czym oznajmił, iż takie pytanie jest świętokradztwem i wskazuje na wyraźny brak wiary. Przy kolejnej figurze zobaczyliśmy ludzi poruszających się szaleńczo w kółko na rękach oraz kolanach. Siedem razy okrążali tak cokół, a następnie wrzucali złoto do naczynia i odchodzili. W dalszej sali zebrani powtarzali w kółko „Tur jest Turem, Tur jest Turem, Tur jest Turem”, na zakończenie wrzucając pieniądze do złotej misy.

– Co to był za bóg? - szepnąłem do Dara Tarusa, gdy opuściliśmy ostatni posąg, który nie miał głowy, a jego oczy, nos i usta znajdowały się na brzuchu.

– Jest tylko jeden bóg - odpowiedział uroczyście. - I jest Turem!

– Czy to był Tur? - zapytałem.

– Uciszyć się, człowieku - powiedział cicho wojownik. - Rozerwaliby cię na strzępy, gdyby usłyszeli takie herezje.

– Bardzo przepraszam - odparłem. - Nie chciałem nikogo obrazić. Teraz widzę, że jest to tylko jeden z twoich bożków.

Dark Tarus przyłożył mi rękę do ust. - Ciiiiii! - ostrzegł mnie. - Nie czcimy bożków - istnieje tylko jeden bóg i jest Turem!

– Więc kim są oni? - zapytałem, wskazując ręką na kilka płaskorzeźb, wokół których gromadziły się tysiące wiernych.

– Nie możemy zadawać pytań - zapewnił mnie. - Wystarczy, że wierzymy w to, iż wszystko, co robi Tur, jest prawe i sprawiedliwe. Chodź! Wkrótce będzie po wszystkim i dołączymy do naszych kompanów.

Zaprowadził mnie następnie do monstrualnej figury, której usta biegle dookoła głowy. Miała długi ogon oraz kobiece piersi. Przy tym dziele sztuki znajdowało się bardzo wielu ludzi stojących na głowach. Oni również powtarzali w kółko słowa „Tur jest Turem, Tur jest Turem, Tur jest Turem”. Po krótkim wykonywaniu tej czynności, podczas której trudno było mi utrzymać równowagę, wstaliśmy i wrzuciliśmy monetę do szkatułki przy piedestale, po czym ruszyliśmy dalej.

– Możemy już iść - powiedział Dar Tarus. - Spisałem się dobrze w oczach Tura.

– Zauważyłem - zwróciłem się do kompana - że ludzie powtarzali tę samą frazę co wcześniej: „Tur jest Turem”.

– Och, nie - wykrzyknął Dar Tarus. - Wręcz przeciwnie, wypowiadali dokładną odwrotność tych słów. Przy wcześniejszej figurze mówili „Tur jest Turem”, gdy przy ostatniej całkowicie odwrócili wypowiedź,

deklamując „Tur jest Turem”. Nie widzisz tego? Zmienili ułożenie słów, co stanowi wielką różnicę.

– Dla mnie brzmiało to tak samo - upierałem się.

– To dlatego, że brakuje ci wiary - powiedział ze smutkiem, po czym wyszliśmy ze świątyni, wcześniej jeszcze wrzucając resztę naszych pieniędzy do wielkiej szkatuły, obok której stały również inne, prawie w całości wypełnione monetami.

Znaleźliśmy Gora Hajusa oraz Hovana Du, którzy wyczekiwali nas z niecierpliwością pośrodku wielkiego i interesującego tłumu, gdzie znajdowało się wielu wojowników w zbrojach Xaxy, Jeddary Phundhal. Chcieli zobaczyć, jak antropoid wykonuje sztuczki, ale Gor Hajus wytłumaczył im, że zmęczony zwierzak jest w podłym nastroju.

– Jutro - powiedział. - Gdy wypocznie, zabiorę go na ulicę, by was zabawiał.

Z trudem udało nam się uciec i przejść w spokojniejszą alejkę, by okrężną drogą udać się do naszego miejsca zakwaterowania. Tam Hovan Du został zamknięty w małym pokoju, a Goran Hajus, Dar Tarus oraz ja zostaliśmy zaprowadzeni przez niewolników do wielkiego apartamentu sypialnego na niskiej platformie, gdzie przygotowano dla nas jedwabne kołdry i futra, które wypełniały przestrzeń wokół - z jednym wolnym miejscem na wejście do pomieszczenia. W miejscu tym spała już spora liczba ludzi, podczas gdy dwóch uzbrojonych niewolników patrolowało boczną nawę, aby chronić gości przed zabójcami.

Było jeszcze wcześniej, a niektórzy z pozostałych lokatorów rozmawiali szeptem, więc spróbowałem wciągnąć Dara Tarusa w konwersację na temat jego religii, która bardzo mnie ciekawiła.

– Tajemnice religii od zawsze mnie fascynują, Darze Tarusie - powiedziałem.

– Och, ale to jest właśnie pięknem religii Tura - zawołał. - Nie ma żadnych tajemnic. Jest prosta, naturalna, naukowa, a każde słowo i

zachowanie z nią związane jest możliwe do udowodnienia poprzez strony Turganu - wielkiej księgi autorstwa samego Tura.

– Dom Tura jest na Słońcu. Tam właśnie sto tysięcy lat temu stworzył Barsoom i rzucił je w przestrzeń. Potem bawił się, tworząc ludzi w różnych formach oraz dwóch płciach. Następnie wykreował zwierzęta, aby były pokarmem dla człowieka i siebie samych, a także roślinność oraz wodę, żeby wszystkie istoty mogły żyć. Nie widzisz, jak proste i naukowe jest to wszystko?

Ale to Gor Hajus powiedział mi najwięcej o religii Tura, gdy pewnego dnia w pobliżu nie było Dara Tarusa. Poinformował mnie, że Phundahlianie nadal utrzymywali, iż ich bożek stworzył wszystkie żywe istoty własnymi rękami. Żywiłowo zaprzeczali ludzkiej mocy reprodukcji swojego gatunku oraz nauczali potomków, iż wiara w to jest niegodziwością. Zawsze ukrywali wszystkie dowody związane z naturalną prokreacją, utrzymując aż do śmierci, że nawet rzeczy, które widzieli na własne oczy i doświadczali za pomocą swoich ciał, nigdy nie miały miejsca.

Turgan nauczyła ich, że Barsoom jest płaska i zamknęli swoje umysły na wszelkie dowody podważające tą tezę. Nie oddalają się daleko od Phundahl, obawiając się upadku z krawędzi świata. Nie pozwalają też na rozwój lotnictwa, ponieważ jeśli jakiś ich statek okrążyłby Barsoom, byłoby to odebrane jako okropne świętokradztwo w oczach Tura - który uczynił planetę płaską.

Nie godzą się też na zastosowanie teleskopów - gdyż Tur nauczył ich, że nie ma innych światów poza Barsoom, a spojrzenie na kolejny byłoby herezją - oraz nie zezwalają w szkołach na naukę historii, która antydatuje kreację planety przez Tura, chociaż Barsoom ma solidnie potwierdzoną historię pisemną, sięgającą wstecz dalej niż sto tysięcy lat. Geografia również na tym ucierpiała, ponieważ jedyną obowiązującą jest ta przedstawiona na stronach Turganu. Zakazane są też wszelkie badania naukowe według kryteriów biologicznych. Wielka księga jest ich jedynym

tekstem pisany - jeśli czegoś nie ma w Turganie, to jest po prostu beczelnym kłamstwem.

Wiele informacji o tym zagadnieniu zebrałem z różnych źródeł podczas krótkiego pobytu w Phundahl, którego mieszkańcy są - moim zdaniem - najslabiej rozwiniętą cywilizacją ze wszystkich czerwonych nacji żyjących na Barsoom. Poświęcając całe siebie sprawom religijnym, stali się fanatyzującymi, ograniczonymi ignorantami, którzy popadli w skrajność przeciwną do Toonoliańczyków.

Jednakże nie udałem się do tego miasta, aby badać jego kulturę, lecz z zamysłem porwania ich królowej - i ta myśl przysłała mi wszystkie inne, gdy przywitałem nowy dzień - mój pierwszy w Phundahl. Po śniadaniu wyruszyliśmy w kierunku pałacu na zwiady. Dar Tarus poprowadził nas do punktu, z którego łatwo mógł nam wskazać dalszą drogę, gdyż nie śmiał nam towarzyszyć blisko ziem królewskich, bojąc się rozpoznania - ciało, które obecnie posiadał, dawniej należało do znanego szlachcica.

Ustalono, że Gor Hajus powinien zostać naszym rzecznikiem, a ja opiekunem małpy. Następnie pożegnaliśmy się z Darem Tarusem i nasza trójka ruszyła wzdłuż szerokiej, pięknej alei, która prowadziła prosto do bram pałacu. Planowaliśmy oraz powtarzaliśmy role, które mieliśmy odgrywać, mając nadzieję na tak wielki sukces, że natychmiast otworzą dla nas wrota, a następnie zaprowadzą przed oblicze Jeddary.

Gdy spacerowaliśmy z pozorną obojętnością wzdłuż drogi, miałem wiele okazji, aby podziwiać osobliwe i piękne widoki bogatego bulwaru pałacowego. Słońce świeciło prosto na malownicze szkarłatne trawniki, wspaniałe kwiaty pimali oraz wiele innych niezwykle rzadkich barsoomiańskich krzewów i drzew. Sama aleja znajdowała się w cieniu prawie perfekcyjnych okazów imponujących sorapusów. Wszystkie apartamenty sypialne zostały na dzień opuszczone w dół, a na setkach balkonów wietrzyły się bajeczne jedwabie i futra. Niewolnicy energicznie wypełniali swoje obowiązki w terenie, w czasie gdy na balkonach kobiety



oraz dzieci spożywali poranny posiłek. Wśród najmłodszych wzbudzaliśmy spory entuzjazm, a przynajmniej robił to Hovan Du, który zwracał na siebie również uwagę dorosłych. Niektórzy z nich zatrzymywali nas, by lepiej się przyjrzeć, ale poruszaliśmy się stałym tempem w kierunku pałacu - nie było dla nas ważniejszego obiektu lub miejsca wewnątrz murów miasta.

Wokół wrót budynku znajdował się zwyczajowy tłum krążących podejrzanie poszukiwaczy niezwykłości - bo przecież natura ludzka jest wszędzie taka sama, nie ważne, czy mamy do czynienia ze skórą czarną, białą, czerwoną, żółtą czy brązową. Na Ziemi czy na Marsie. Zbiorowisko przed bramą Xaxy w dużej mierze tworzyli goście z wysp należących do tej części Wielkiej Niziny Toonolian, która przysięgła wierność królowej Phundahl i tak jak wszyscy prowincjusze łaknęli widoku monarchy. Niemniej jednak interesowały ich wybryki małpy, dzięki czemu mieliśmy publiczność gotową na nasze przybycie. Ich naturalny strach przed wielką bestią spowodował, iż wycofali się nieznacznie, dzięki czemu mieliśmy ułatwione przejście pod samą bramę. Tam właśnie się zatrzymaliśmy, gdy tłum zamknął drogę za naszymi plecami, tworząc wokół półkole. Gor Hajus zwrócił się do nich mocnym głosem, który mogli usłyszeć wojownicy i oficerowie za wrotami, bo to ich tak naprawdę mieliśmy zamiar zabawić - w przeciwieństwie do tłumów, które nie wzbudzały naszego najmniejszego zainteresowania.

– Mężczyźni i kobiety z Phundahl - zawołał Gor Hajus. - Oto dwójka biednych panthanów, którzy z narażeniem życia schwytali i wyszkolili jedno z najdzikszych oraz najbardziej okrutnych, a jednocześnie najinteligentniejszych okazów barsoomiańskiej wielkiej białej małpy, jaki kiedykolwiek widziałem w niewoli. Z wielkim trudem przetransportowali go do waszego miasta, aby zapewnić wam rozrywkę oraz oświecenie. Moi przyjaciele, to wspaniałe zwierzę jest obdarzone ludzkim umysłem - rozumie każde słowo. Z państwa uwagą, moi drodzy, postaram się wykazać niezwykły intelekt tej okrutnej, ludożernej kreatury - żywość umysłu, która

zabawiała koronowane głowy na Barsoom i zadziwiała umysły największych uczonych.

Uważałem, że Gor Hajus poradził sobie całkiem dobrze w roli hałaśliwego konferansjera. Musiałem się uśmiechnąć, słuchając tu, na Marsie, znajomych wypowiedzi, których nauczyłem go, korzystając z mojego ziemskiego doświadczenia zdobytego dzięki przebywaniu na festynach i w parkach rozrywki. Brzmiały bardzo śmiesznie, padając z ust toonoliańskiego zabójcy, ale ewidentnie zainteresowały jego słuchaczy, którzy byli pod wrażeniem. Wyciągali szyje do przodu, stojąc z wytrzeszczonymi oczami w oczekiwaniu na występ Hovana Du. Co więcej, kilku członków gwardii Jeddary nadstawiło uszu i wolnym krokiem pomaszzerowało w stronę wejścia, a wśród nich był jeden z oficerów.

Gor Hajus zmusił naszego antropoida do położenia się na komendę, powstania, stania na jednej nodze i wskazania liczby palców, które pokazywał, poprzez warknięcie na widok każdego z nich, tym samym upewniając widownię, że bestia potrafi liczyć. Jednak te proste sztuczki były tylko wstępem do bardziej zadziwiających rzeczy, którymi mieliśmy nadzieję skraść audytorium przed spotkaniem z Jeddarą. Gor Hajus pożyczył pakiet uprząży oraz broń od mężczyzny w tłumie, po czym kazał je założyć Hovanowi Du i powalczyć z nim. Wtedy rzeczywiście usłyszeliśmy okrzyki zdumienia.

Wojownicy i oficer Xaxy zbliżyli się do bramy, gdzie zamienili się w zainteresowanych widzów, co było dokładnie naszym celem. Teraz Gor Hajus był gotów na finałowe objawienie zdumiewającej inteligencji naszego towarzysza.

– Rzeczy, których byliście świadkami, są niczym - zawołał. - Ta wspaniała bestia potrafi nawet czytać oraz pisać. Została schwytana w opuszczonym mieście niedaleko Ptarth i potrafi porozumiewać się w języku tego kraju. Czy jest wśród was ktoś, kto przypadkiem pochodzi z tego dalekiego kraju?

Jakiś niewolnik przemówił: - Jestem z Ptarth.

– Wspaniale! - powiedział Gor Hajus. - Zapisz kilka prostych instrukcji, a potem podaj je małpisonowi. Ja się odwrócę, abyś miał pewność, że nie mogę mu pomóc w żaden sposób.

Niewolnik wyciągnął notatnik z kieszeni i napisał coś szybko. Kartkę przekazał Hovanowi Du. Małpa odczytała wiadomość, po czym bez wahania ruszyła w stronę pałacu, przekazując papier oficerowi stojącemu po drugiej stronie wrót - były one wykonane z kutego metalu, ułożonego w fantazyjne wzory, które nie utrudniały widoku oraz pozwalały na podawanie mniejszych przedmiotów. Oficer wziął wiadomość i dokładnie ją obejrzał.

– Co to znaczy? - zażądał wyjaśnień od niewolnika, który odpowiadał za treść tej informacji.

– Jest tam napisane: „Weź tę wiadomość do oficera, który stoi właśnie w obrębie bramy” - odpowiedział niewolnik.

Całym tłumem wstrząsały okrzyki zaskoczenia i antropoid musiał powtórzyć swój występ kilka razy, wykonując różne polecenia. Oficer cały czas wykazywał wielkie zainteresowanie tym występem.

– To cudowne! - powiedział w końcu. - Jeddara byłaby rozbawiona, obserwując poczynania tej kreatury. Poczekaj tutaj, a ja w tym czasie poślę do niej wiadomość o tym, że może, jeśli tylko tego zapragnie, nakazać wam stawienie się przed swym obliczem.

Nic lepszego nie mogło nas spotkać, więc czekaliśmy cierpliwie na powrót posłańca, a gdy tak siedzieliśmy, Hovan Du kontynuował zadziwianie widowni nowymi dowodami swojej wielkiej inteligencji.

## ROZDZIAŁ 12:

### XAXA

Oficer powrócił, bramy zostały otwarte, a nam rozkazano wejść na dziedziniec pałacu Xaxy, Jeddary Phundahl. Zaraz po tym cała sytuacja zaczęła zmieniać się jak w kalejdoskopie - wydarzenia stały się zaskakujące i zupełnie nieoczekiwane. Prowadzono nas przez zawiły labirynt korytarzy oraz komnat, po czym zacząłem podejrzewać, iż jesteśmy umyślnie myleni - nie ważne jednak, czy była to celowa zagrywka. Faktem natomiast jest, że nie mogłem już odtworzyć swoich kroków prowadzących do zewnętrznego dziedzińca.

Zaplanowaliśmy, iż w przypadku uzyskania dostępu do pałacu będziemy dokładnie pamiętać, co może być niezbędne do szybkiej ucieczki. Lecz kiedy szeptem zapytałem Gora Hajusa, czy mógłby znaleźć drogę powrotną, zapewnił, że jest tak samo zdezorientowany jak ja.

Pałac nie był w żaden sposób niezwykły ani szczególnie interesujący. Dokonania phundahliańskich artystów były ciężkie i uciskające, bez żadnych oznak dużej wyobraźni czy geniuszu. Przedstawione sceny miały w większości charakter religijny, prezentując fragmenty z Turganu - phundahliańskiej Biblii - i w większości stanowiły serie monotonicznych powtórzeń. Była tu jedna, pojawiająca się raz po raz sekwencja - obrazująca Tura tworzącego kolisty, płaski Mars i rzucającego go w kosmos, która zawsze kojarzyła mi się z mistrzem kuchni podrzucającym naleśnik.

Znajdowało się tutaj również wiele obrazów, ukazujących prawdopodobnie sceny dworskie, prezentujących członków

phundahliańskiej rodziny królewskiej podczas różnych zajęć. Dało się zauważyć, że na tych nowszych, gdzie pojawiała się Xaxa, główna postać została przemalowana. Z tego powodu co jakiś czas natrafiałem na portrety, zawsze nieudolnie zrobione, z piękną twarzą oraz figurą Valli Dii w królewskich szatach Jeddary. Efekt, jaki na mnie wywarły, nie jest łatwy do opisanego. Przypomniały mi o tym, że coraz bardziej zbliżam się do spotkania twarzą w twarz z kobietą, której poświęciłem swoją miłość oraz życie, a jednocześnie w tej samej osobie napotkam personę, której nienawidziłem i którą pragnąłem zniszczyć.

W końcu zatrzymaliśmy się przed wielkimi drzwiami, a widok ogromnej liczby wojowników oraz szlachty zebranej w tym miejscu upewnił nas, iż wkrótce staniemy przed obliczem Jeddary. Gdy tak czekaliśmy, wydawało się nam, że zgromadzeni patrzyli na nas bardziej z wrogością niż ciekawością, a gdy otworzyły się drzwi, tłum - z wyjątkiem kilku wojowników - wszedł z nami do następnej komnaty. Była ona średniej wielkości, a w drugim jej końcu za masywnym stołem siedziała Xaxa. Obok niej znajdował się szereg uzbrojonych dostojników. Wlepiając wzrok w zebranych, zastanawiałem się, czy znajdę wśród nich mężczyznę, dla którego skradziono ciało Dara Tarusa, gdyż obiecaliśmy naszemu kompanowi, że jeśli warunki będą korzystne, to spróbujemy je odzyskać.

Xaxa przyglądała nam się chłodno, gdy zostaliśmy przed nią zatrzymani. - Niech bestia rozpocznie pokaz - zarządziła, po czym nagle zawołała: - Czemuż to pozwoliliście obcym nosić broń w mojej obecności? Sagu Orze, dopilnuj aby zostali jej pozbawieni! - tymi słowami zwróciła się do przystojnego młodego wojownika stojącego obok niej.

Sag Or! Tak brzmiało to imię. Przedemną stał szlachcic, dla którego Dar Tarus utracił swoją wolność, ciało oraz miłość. Gor Hajus i Hovan Du również rozpoznali jego personalia - mogę to bezsprzecznie stwierdzić po sposobie, w jaki na niego spoglądali. Tymczasem ten szorstko poinstruował

nas, abyśmy oddali oręż dwóm wojownikom, którzy do nas podeszli. Gor Hajus się zawahał. Przyznam, że sam nie wiedziałem, jak się zachować.

Każdy wydawał się wrogo nastawiony, a jednak mogło to być spowodowane - i zapewne było - jedynie odzwierciedleniem ich stosunku do wszystkich obcych. Gdybyśmy odmówili złożenia broni, musielibyśmy w trójkę stanąć naprzeciw całej komnaty, jeśli zdecydowaliby się użyć siły. Lub mogli nas wyrzucić z pałacu, a wtedy zostalibyśmy pozbawieni tej danej od Boga szansy dostania się do pałacu i stawienia przed obliczem Xaxy, gdzie musieliśmy zdobyć jej zaufanie przed przeprowadzeniem ataku. Czy taka okazja zostałaby nam jeszcze kiedykolwiek zaoferowana? Wątpiłem w to i czułem, że lepiej teraz zdecydować się na nadejście niesprecyzowanego zagrożenia niż, poprzez sprzeciw, na pewno potwierdzić ich podejrzenia. Dlatego też spokojnie złożyłem swój oręż, przekazując go oczekującym wojownikom. Gor Hajus podążył za moim przykładem, chociaż mogę sobie wyobrazić, w jakim był humorze.

Xaxa po raz kolejny zaznaczyła, że chce zobaczyć występ antropoida. Podczas gdy Gor Hajus prezentował umiejętności Hovana Du, kobieta przyglądała się temu z obojętnością. Nic z tego, co robił małpiszon, nie wzbudziło najmniejszego zainteresowania wśród grupy zebranej wokół Jeddary. Ponieważ całość się przeciągała, miałem obawy, że wszystko idzie źle. Myślałem, iż jesteśmy przetrzymywani w jakimś niesprecyzowanym celu, a przeciwnicy chcą zyskać na czasie. Nie mogłem zrozumieć na przykład, dlaczego Xaxa wymagała od nas prezentowania kilkakrotnie najmniej interesujących sztuczek Hovana Du. I przez cały ten czas, usadowiona na tronie Jeddara, bawiła się długim, cienkim sztyletem. Zauważyłem, że obserwowała mnie niemniej bacznie niż przedstawienie, w czasie gdy ja nie potrafiłem odwrócić wzroku od tej perfekcyjnej twarzy, chociaż wiedziałem, iż była to tylko skradziona maska, za którą czai się okrutny umysł morderczej tyranki.

Nagle nadeszła przerwa. Otworzyły się drzwi, w których pojawił się szlachcic, zmierzając prosto w stronę Jeddary. Przemówił on do niej krótko ściszym głosem. Widziałem, że zadała mu kilka pytań i wydawała się rozdrażniona jego odpowiedziami. Następnie gestem rozkazała mu odejść, po czym zwróciła się do nas.

– Dość tego! - zawołała. Jej wzrok natychmiast odnalazł miejsce, w którym stałem. Wskazała na mnie swoim smukłym sztyletem. - Gdzie jest brakująca osoba? - zażądała odpowiedzi.

– Jaka osoba? - zapytałem.

– Było was trzech, oprócz małpy. Nie wiem nic o tej bestii ani sposobie, w jaki ją zdobyliście, jednak o tobie, Vadzie Varo, wiem wszystko, tak samo jak i o Gorze Hajusie, zabójcy z Toonol oraz Darze Tarusie. Gdzie jest ten ostatni? - Jej głos był niski, muzykalny i w całości przepiękny - głos Valli Dii - miałem jednak świadomość, iż stała za nim okrutna osobowość Xaxy. Wiedziałem również, jak trudno byłoby ja oszukać, ponieważ informacje, które otrzymała, musiały pochodzić bezpośrednio od Rasa Thavasa. Głupotą z mojej strony było to, że nie przewidziałem działań naukowca, który musiał natychmiastowo odgadnąć cel mojej misji i ostrzegł Xaxę. Błyskawicznie zrozumiałem, jaką niepotrzebną głupotą byłoby zaprzeczanie naszej tożsamości. Musiałem wytłumaczyć naszą obecność - gdybym tylko wiedział jak.

– Gdzie jest Dar Tarus? - powtórzyła.

– Skąd mam wiedzieć? - skontrolowałem. - Mój kompan ma powody, aby sądzić, że nie byłby bezpieczny w Phundahl, i myślę, iż nie życzyłby sobie, aby każdy znał miejsce jego pobytu - ze mną włącznie. Pomógł mi zbiec z wyspy Thavasa, a wolność była dla niego nagrodą. Nie zdecydował się towarzyszyć mi w dalszej wędrówce.

Xaxa wyglądała na chwilowo nieprzygotowaną, gdy nie negowałem mojej tożsamości. Widocznie zakładała, że właśnie tak zrobię.

– Przyznajesz więc - powiedziała - że jesteś Vadem Varo, asystentem Rasa Thavasa?

– Czy kiedykolwiek starałem się temu zaprzeczać?

– Przebrałeś się za czerwonego człowieka z Barsoom.

– Jak inaczej mógłbym podróżować po planecie, na której każdy człowiek chce krzywdzić nieznanego?

– A dlaczego podróżujesz po Barsoom? - Jej oczy zwęziły się, gdy czekała na moją odpowiedź.

– Tak jak niewątpliwie powiadomił cię Ras Thavas, jestem z innego świata i chciałbym lepiej poznać ten, na którym obecnie się znajduję - odrzekłem. - Czy to takie dziwne?

– I przybyłeś do Phundahl razem z osławionym toonoliańskim zabójcą, gdzie starałeś się trafić przed moje oblicze - po to, aby zobaczyć więcej Barsoom?

– Gor Hajus nie może wrócić do rodzinnego królestwa - wyjaśniłem. - Z tego powodu musi wynajmować swoje usługi na innym dworze niż tym należącym do Vobis Kana - być może również w Phundahl. A jeśli nie tutaj, to ruszy w inne miejsce. Mam jednak nadzieję, iż nadal będzie mi towarzyszył, gdyż jestem tutaj obcym, nieprzywykłym do obyczajów i sposobu życia mieszkańców. Skończyłbym źle bez przewodnika i mentora.

– Skończysz źle - zawołała. - Zobaczyłeś już wszystko na planecie, co było przeznaczone dla twoich oczu - dotarłeś do kresu swojej wędrówki. Myślisz, że możesz mnie oszukać? Może o tym nie wiesz, ale wiem o twoim uczuciu do Valli Dii i jestem w pełni świadoma celu waszej wizyty w Phundahl. - Jej oczy przeniosły się ze mnie w stronę szlachty oraz wojowników. - Wrzucić ich do lochów! - zagrzmiała. - Później wybierzemy sposób, w jaki spotkają się ze śmiercią.

Natychmiast zostaliśmy otoczeni przez las nagich ostrzy. Nie było szans na ucieczkę moją lub Gora Hajusa, ale zobaczyłem szansę na ratunek dla Hovana Du. Przeczynałem od pierwszej chwili, że coś takiego może mieć



miejsce, przez co zawsze rozglądałem się za drogą ucieczki dla jednego z nas. Z tego powodu otwarte okna po prawej stronie Jeddary nie mogły umknąć mojej uwadze, tak samo jak wielkie drzewa rosnące na dziedzińcu poniżej. Hovan Du znajdował się blisko mnie w tym momencie, gdy Xaxa podniosła głos.

– Biegnij! - wyszeptałem. - Okna są otwarte. Idź i powiedz Darowi Tarusowi, co nas spotkało. - Następnie od niego odskoczyłem i pociągnąłem za sobą Gora Hajusa, aby wyglądało to tak, że staramy się oprzeć aresztowaniu. Gdy w ten sposób rozproszyliśmy ich uwagę, małpison ruszył w stronę otwartego okna. Zrobił jedynie kilka kroków, gdy drogę zastąpił mu wojownik. W tym momencie okrutny mózg antropoida wydawał się przejmować władzę nad wielką kreaturą. Z okropnym rykiem, zwinny niczym kot, skoczył na pechowego Phundahlianina, podniósł go wysoko za pomocą ogromnej ręki i używając jego ciała niczym cepa, począł rozrzucać jego towarzyszy na prawo i lewo, torując sobie drogę do wolności.

Natychmiastowo w pomieszczeniu zapanowało istne pandemonium. Uwaga wszystkich skupiła się na wielkiej małpie i nawet ci zajęci walką z nami przenieśli atak na Hovana Du. W samym środku zamieszania zobaczyłem Xaxę, kierującą swoje kroki w stronę ciężkich zasłon znajdujących się bezpośrednio za jej biurkiem, które następnie odsłoniła i momentalnie za nimi zniknęła.

– Chodź! - wyszeptałem do mojego kompana. Mogąc jedynie przyglądać się starciu żołnierzy z małpą, ruszyłem powoli w stronę biurka, za którym zniknęła królowa. Hovan Du świetnie sobie radził. Wyrzucił pierwszą ofiarę i dopadał kolejnych napastników, którzy tylko trafiali w zasięg jego potężnych ramion i silnych rąk - czasami nawet czterech naraz, gdyż mocno opierał się na przypominających dłonie stopach i atakował czterema pozostałymi kończynami. Jego gęsta czupryna była teraz najeżona sterczącymi włosami, a dzikie oczy płonęły z wściekłości, gdy górując nad

antagonistami, walczył o życie - najbardziej przerażające z dzikich stworzeń, jakie znało Barsoom. Być może jego największym atutem był ich wrodzony strach przed nim, będący częścią każdego człowieka znajdującego się w tym miejscu. Wspomogło to mój szybko obmyślony plan, ponieważ wszystkie oczy były teraz skierowane na Hovana Du, dzięki czemu razem z Gorem Hajusem mogliśmy wypracować sobie drogę na tyły biurka. Myślę, że małpa wyczuła moje zamiary, bo zrobiła coś, co w najefektywniejszy sposób zwróciło uwagę wszystkich zebranych w komnacie i pokazało, że ludzka połowa jego umysłu wciąż jest czujna, a także dba o naszą pomyślność.

Dotychczas Phundahlianie patrzyli na niego jedynie jak na niezwykle okaz wielkiej, wspaniale wyszkolonej małpy, ale teraz nagle sparaliżował ich podziw dla jego ryku i warczenia, które przekształciły się w słowa wypowiedane ludzkim językiem. Był już przy oknie. Kilku szlachciców ruszyło dzielnie przed siebie. Wśród nich znalazł się też Sag Or. Hovan Du wyciągnął łapy i pochwycił go, wyrywając mu broń z ręki. - Idę - zawołał - ale jeśli coś złego spotka moich przyjaciół, to wrócę i wyrwę serce Xaxy. Powiedz jej, że tak oznajmiła Wielka Małpa z Ptarth.

Przez chwilę możni i wojownicy stali sparaliżowani z podziwu. Wszystkie oczy były skierowane na antropoida, gdy stał tam z szamoczącą się sylwetką Saga Ora w swojej potężnej łapie. Gor Hajus i ja zostaliśmy zapomniani. Hovan Du odwrócił się i skoczył na parapet okna, a tam chwycił się gałęzi najbliższego drzewa - znikając razem z Sagiem Orem, ulubieńcem Jeddary. W tej samej chwili wciągnąłem Gora Hajusa za zasłony w tyle biurka Xaxy, a gdy zasunęły się one za nami, znaleźliśmy się w wąskim ujściu ciemnego korytarza.

Bez znajomości kierunku, w którym podąża droga, mogliśmy jedynie iść nią na ślepo, ponaglani przez konieczność odszukania kryjówki lub ucieczki z pałacu, zanim dogoni nas pościg, który musiał zostać natychmiastowo wszczęty. Gdy nasze oczy przyzwyczyły się do mroku,

częściowo rozpraszanego przez słaby blask, ruszyliśmy szybciej, dochodząc do wąskich, spiralnych schodów, które zstępowały w czarną jamę poniżej poziomu korytarza oraz wznosiły się w podobny mrok ponad nami.

– Którędy teraz? - zapytałem Gora Hajusa.

– Będą oczekiwać naszego zejścia w dół - odpowiedział - gdyż w tym kierunku prowadzi najbliższa droga ucieczki.

– Więc pójdziemy w górę.

– Świetnie! - zawołał. - Jedyne, czego teraz poszukujemy, to kryjówka, która pozwoli nam doczekać zapadnięcia zmroku, ponieważ za dnia nie mamy szans zbiec.

Ledwie zaczęliśmy się wznosić, gdy nagle usłyszeliśmy pierwsze dźwięki pogoni - brzęk ekwipunku w korytarzu znajdującym się pod nami. Jednak nawet z pościgiem na głowie byliśmy zmuszeni do poruszania się z dużą ostrożnością, gdyż nie mieliśmy pojęcia, co znajduje się przed nami. Na następnym poziomie było przejście z zablokowanymi drzwiami, lecz nie było korytarza ani miejsca do ukrycia, dlatego parliśmy dalej w górę. Drugi poziom był identyczny z wcześniejszym, ale na trzecim dostrzegliśmy pojedyncze przejście prowadzące prosto w ciemność, a po naszej prawej stronie znaleźliśmy uchylone drzwi. Odgłosy pościgu były już coraz bliżej, więc konieczność ukrycia się wzrastała proporcjonalnie do nadchodzącego zagrożenia i wszystkie nasze przemyślenia zostały tym przytłoczone. Nie jest to takie dziwne, gdy zrozumie się cel mojej podróży, a to odkrycie zapewne oznacza teraz porażkę i zniszczenie ostatniego promyka nadziei, jaki miałem na przywrócenie Valli Dii jej własnego ciała.

Mieliśmy tylko chwilę na dokonanie wyboru. Korytarz przed nami był spowity w ciemności - prawdopodobnie ślepy zaułek. Drzwi były blisko, uchylone.

Popchnąłem je delikatnie w przód. Ciężki zapach kadzidła przywitał nasze nozdrza i przez mały otwór zobaczyliśmy część wielkiej, barwnie urządzonej komnaty. Bezpośrednio przed nami, niemal całkowicie blokując

widok na salę, stał kolosalny posąg klęczącej człekopodobnej istoty. Z tyłu usłyszeliśmy głosy - nasi prześladowcy wspinali się już po spiralnych schodach i za kilka sekund trafią w to miejsce. Zbadałem drzwi, odkrywając, że są zamykane na zamek sprężynowy. Spojrzałem ponownie do komnaty i nie zauważyłem nikogo w zasięgu wzroku, więc skinąłem na Gora Hajusa, aby podążył za mną i zamknął przejście. Spaliliśmy za sobą mosty. Gdy drzwi się zamknęły, zabezpieczenie wydało ostre, metaliczne kliknięcie.

– Co to było? - usłyszeliśmy głos dochodzący prawdopodobnie z drugiego końca pokoju.

Gor Hajus spojrzał na mnie i wzruszył ramionami z rezygnacją (musiał pomyśleć to samo co ja - że z dwóch możliwości wybraliśmy niewłaściwą). Uśmiechnął się tylko, a w jego oczach nie było widać żadnego wyrzutu.

– Dźwięk ten dobiegał ze strony Wielkiego Tura - odpowiedział drugi głos.

– Być może ktoś jest przy drzwiach - zasugerował pierwszy.

Razem z Gorem Hajusem przylegliśmy do tyłów pomnika, aby jak najbardziej oddalić nasze wykrycie, gdyby rozmówcy zdecydowali się odnaleźć źródło dźwięku, który wzbudził ich podejrzenia. Docisnąłem się do wypolerowanego kamienia, rozpościerając nad nim ręce. Pod moimi palcami znajdowały się rzeźbione części zdobionej uprzęży pomnika - wystające wypukłości były kosztownymi klejnotami wstawionymi w kamień. Znajdowały się tam też wspaniałe złote ornamenty. Nie miałem teraz jednak głowy do takich rzeczy. Słyszeliśmy konwersację dwóch zbliżających się istot. Może byłem zdenerwowany - nie wiem. Jestem pewien, iż nigdy nie bałem się spotkania, gdy służba lub cel wzywały. W tym wypadku jednak musieliśmy uniknąć konfliktu i pozostać niewykrytymi. Niemniej jednak moje palce musiały nerwowo poruszać się przy drogocennej uprzęży, gdyż nagle zorientowałem się - może podświadomie - iż jeden z kamieni szlachetnych poruszył się luźno. Nie

przypominam sobie, aby sprawiło to większe wrażenie na moim świadomym umyśle, lecz przykuwało uwagę moich wędrujących palców, które musiały sobie zrobić przerwę na zabawę tym drogocennym klejnotem.

Głosy wydawały się być już bardzo blisko - konfrontacja z ich właścicielami była kwestią sekund. Moje mięśnie stały się napięte w oczekiwaniu na to spotkanie i nieświadomie nacisnąłem mocno poluzowany kamień. Doprowadziło to do bezgłośnego otwarcia tylnej części figury, ukazując jej słabo oświetlone wnętrze. Nie potrzebowaliśmy kolejnego zaproszenia - jednocześnie przekroczyliśmy próg i niemal w tym samym momencie zamknąłem delikatnie panel za nami. Myślę, iż cały ten manewr nie doprowadził do pojawienia się jakiegokolwiek dźwięku. W środku pozostawaliśmy w całkowitej ciszy, bez żadnego ruchu - oddychając oszczędnie. Nasze oczy szybko przyzwyczyły się do ciemnego wnętrza, oświetlanego przez liczne małe otwory w powłoce posągu, który był zupełnie pusty, a przez te same szczeliny każdy zewnętrzny dźwięk wyraźnie dochodził do naszych uszu.

Ledwie zamknęliśmy otwór, gdy nagle usłyszeliśmy głosy bezpośrednio obok niego i jednocześnie rozległo się stukanie w drzwi, przez które weszliśmy do apartamentu z korytarza. - Kto szuka wejścia do świątyni Xaxy? - zażądał odpowiedzi jeden z głosów w pokoju.

- To ja, dwar z gwardii Jeddary - zagrzmiął głos z zewnątrz. - Poszukujemy dwóch mężczyzn, którzy przybyli zamordować Xaxę.

- Szli tą drogą?

- Zastanów się, kapłanie, czy szukałbym ich tutaj, gdyby było inaczej!

- Jak dawno?

- Około dwudziestu tali temu - odpowiedział dwar.

- Więc nie ma ich w tym miejscu - zapewnił go kapłan. - Jesteśmy tu już pełną zode\* [\* Około 2,5 godziny] i nikt inny nie wszedł do świątyni w tym czasie. Zajrzyj szybko do apartamentów Xaxy powyżej, a także na dach

oraz do hangaru, bo jeśli podążałeś za nimi po spirali, to nie ma innego miejsca, w które mogli uciec.

– Obserwuj więc świątynię dokładnie do mojego powrotu - krzyknął wojownik i usłyszeliśmy, jak razem ze swoimi ludźmi ruszył w górę.

W tym momencie dotarła do nas wymiana zdań kapłanów, przechodzących wolno obok statuy.

– Co mogło spowodować hałas, który wcześniej przyciągnął naszą uwagę? - zapytał pierwszy.

– Być może uciekinierzy próbowali wejść drzwiami - zasugerował drugi.

– To musiało być to, ale nie dostali się do środka. Widzielibyśmy, jak wyłaniają się zza Wielkiego Tura, ponieważ w tym czasie znajdowaliśmy się naprzeciw niego i ani na moment nie spuściliśmy wzroku z tej części świątyni.

– Więc nie ma ich na terenie świątyni.

– A każde inne miejsce, gdzie teraz są, nie jest naszym problemem.

– Ani to, czy dotarli do apartamentu Xaxy, jeśli nie przechodzili przez świątynię.

– Może udało im się tam wejść.

– I to byli zabójcy!

– Gorsze rzeczy mogą przytrafić się Phundahl.

– Ciszej! Bogowie mają uszy.

– Z kamienia.

– Ale uszy Xaxy nie są z niego zrobione i mogą usłyszeć wiele rzeczy nieprzeznaczonych dla nich.

– Stara bancica!

– Jest Jeddarą i arcykapłanką.

– Tak, ale... - głos znalazł się poza zasięgiem naszych uszu, niknąc w drugim końcu świątyni. Mimo to zdobyłem dzięki tej konwersacji wiele informacji. Nienawidzono oraz obawiano się Xaxy ze względu na jej kapłaństwo, a sami duchowni nie mieli zbyt wiele szacunku dla swego

bóstwa, o czym świadczyła uwaga jednego z nich, przywołująca temat kamiennych uszu. Powiedzieli również o innych, ważnych rzeczach w czasie konwersacji z dworem Jeddary.

Wspólnie z Gorem Hajusem zorientowaliśmy się, że odkryliśmy przypadkowo idealną kryjówkę, gdyż sami strażnicy świątyni przysięgli, iż w żadnym wypadku nie mogliśmy znajdować się w tym miejscu. Zdjęli prześladowców z naszych pleców.

Teraz dopiero mieliśmy okazję, aby dokładnie zbadać nasze schronienie. Wnętrze statuy było wydrążone oraz rozciągało się na około czterdzieści metrów w górę. Mogliśmy zobaczyć zewnętrzne światło przebijające przez usta, uszy i nozdrza, poniżej których dostrzegalna była owalna platforma biegnąca wokół wnętrza szyi. Do tego miejsca prowadziła drabina z płaskimi szczeblami. Gęsty kurz pokrywał podłogę, a skrajność miejsca, w którym staliśmy, sugerowała, aby dokładnie zbadać nagromadzony pył. Byłem pod wrażeniem rezultatów tej akcji. Okazało się, że byliśmy pierwszymi istotami, jakie od długiego czasu - prawdopodobnie od wielu lat - postawiły swoją stopę we wnętrzu figury, gdyż brud okrywający podłogę znajdował się w stanie nienaruszonym. Gdy rozglądałem się w celu potwierdzenia swojego przecucia, mój wzrok padł na coś, co leżało skulone u podstawy drabiny. Gdy podszedłem bliżej, zobaczyłem ludzki szkielet, a dokładniejsze badanie wykazało, że jego czaszka została zmiażdżona, a rękę oraz kilka żeber połamano. Obok niego, pokryty kurzem, leżał jeden z najpiękniejszych strojów szlacheckich, jaki w życiu widziałem. Położenie ciała u podstaw drabiny, a także widoczne obrażenia, stanowiły dosyć przekonujące dowody na to, w jaki sposób zguba dosięgła tego nieszczęśnika - spadł on głową w dół z owalnej platformy znajdującej się czterdzieści metrów wyżej, zabierając ze sobą na zawsze sekret wejścia do wnętrza Wielkiego Tura.

Zasugerowałem to rozwiązanie Gorowi Hajusowi, który zainteresował się szatami nieboszczyka i zgodził się ze mną co do przyczyn ostatecznego

losu mężczyzny.

– Był arcykapłanem Tura - wyszeptał mój kompan. - I prawdopodobnie członkiem królewskiego rodu - może Jeddakiem. Od dawna pozostaje w tym stanie.

– Idę w górę - odrzekłem. - Sprawdzę drabinę. Jeśli będzie bezpieczna, to dołącz do mnie. Myślę, że będziemy mogli zobaczyć wewnątrz świątyni przez usta Tura.

– Idź ostrożnie - upomniał mnie Gor Hajus. - Drabina jest bardzo stara.

Ruszyłem ostrożnie, sprawdzając każdy szczebel, nim zdecydowałem się postawić na nim nogę. Okazało się jednak, iż stare sorapusowe drewno użyte do jej konstrukcji było twarde niczym stal. Śmierć kapłana na zawsze już pozostanie tajemnicą, gdyż drabina, po której się wspinałem, utrzymałaby ciężar stu czerwonych ludzi.

Z platformy mogłem obserwować komnatę przez usta bożka. Pode mną znajdowała się duża sala, na której bokach były rozmieszczone inne, choć mniejsze posągi. Wyglądały jeszcze bardziej groteskowo niż te, które miałem okazję oglądać w miejskiej świątyni, a ich dekoracje wykraczały poza możliwości opisowe ludzkiego, a dokładniej ziemskiego umysłu, gdyż barsoomiańskie klejnoty iskrzyły się nieznanymi nam promieniami, tak wspaniałymi i olśniewającymi, iż konwencjonalne deskrypcje nie mogą określić ich piękna. Bezpośrednio przed Wielkim Turem znajdował się ołtarz z palthonu - wspaniałego, lecz rzadkiego, krwistoczerwonego kamienia, który poprzecinany jest przez śnieżnobiałe smugi, tworzące na jego powierzchni wymyśle wzory, upiękkszzone dodatkowo przez niezwykle wypolerowanie jego powierzchni, będące dziełem rąk rzemieślnika.

Dołączył do mnie Gor Hajus i wspólnie zbadaliśmy wewnątrz świątyni. Wysokie okna pokrywały dwie ściany, wpuszczając do środka powódź światła. Na samym końcu, naprzeciw figury Thura, znajdowały się ogromne drzwi zamykające główne wejście do komnaty i właśnie tam znajdowała się dwójka kapłanów, których rozmowę słyszeliśmy. Oprócz



tego świątynia była całkowicie opuszczona. Na ołtarzach mniejszych bożków paliły się kadzidełka. Nie mogliśmy jednak dostrzec, czy jakieś znajdują się przed obliczem Wielkiego Tura.

Po zaspokojeniu naszej ciekawości związanej ze świątynią, powróciliśmy do dalszego badania wnętrza ogromnej głowy posągu. Nasze starania zostały wynagrodzone. Odkryliśmy kolejną drabinę prowadzącą do mniejszej platformy ponad nami, która ewidentnie przykuła nasz wzrok. Szybko sprawdziłem nowe miejsce, odnajdując niezwykle wygodny fotel, ustawiony przed panelem kontrolnym służącym do sterowania oczami. Za pomocą odpowiedniej manipulacji można było obracać nimi w różne strony. Znajdowała się tutaj również tuba prowadząca do ust. To znalezisko również wymagało wnikliwszych badań, dlatego wróciłem na dolną platformę i na miejscu odkryłem pewne urządzenie pod językiem bóstwa. Był to rodzaj wzmacniacza, połączony ze wspomnianą wcześniej tubą. Nie mogłem powstrzymać śmiechu, zdając sobie sprawę, iż stoję przed niemymi świadkami ludzkiej perfidii. Pomyślałem o połamanej rzeczy leżącej u stóp drabiny. Mógłbym przysiąc, że Tur milczy już od wielu długich lat.

Wraz z Gorem Hajusem wróciłem na wyższą platformę, gdzie dokonałem kolejnego odkrycia - oczy bożka były prawdziwymi peryskopami. Obracając je, mogliśmy obserwować każdą część świątyni, a to, co przez nie ujrzeliśmy, zostało powiększone.

Nic nie może uciec przed wzrokiem Tura, a teraz, gdy kapłani rozpoczęli konwersację, odkryliśmy, że nic nie umknie też jego uszom. Nawet najmniejszy dźwięk wyraźnie do nas docierał. Jakże cennym dodatkiem do arcykapłaństwa musiał być ten Wielki Tur w czasach, gdy pogruchotany szkielet leżący poniżej był rzeczą wypełnioną krwią i życiem!

## ROZDZIAŁ 13:

### WIELKI TUR

Dzień przeciągał się nużąco dla naszej dwójki. Widzieliśmy różnych kapłanów, którzy parami, w konkretnych odstępach czasu, zmieniali się na warcie. Słuchaliśmy także ich bajdurzenia, które dotyczyło głównie dworskich plotek. Czasami wspominali o nas, dzięki czemu dowiedzieliśmy się o ucieczce Hovana Du, który po porwaniu Saga Ora do chwili obecnej nie został złapany, podobnie jak Dar Tarus. Całe królestwo było oszołomione naszą pozornie niemożliwą ucieczką. Trzy tysiące ludzi, więźniów oraz osób związanych ze szlachtą, cały czas nas poszukiwało. Każda część pałacu i parku była stale przeszukiwana. Wszelkie lochy zostały zbadane dokładniej niż kiedykolwiek wcześniej, co doprowadziło do odkrycia rzeczy, o których nie śniła nawet Xaxa. Kapłani szeptali, że przynajmniej jeden wielki i potężny dom upadnie z powodu znalezisk, do których dotarł dwar gwardii Jeddary.

Gdy słońce schowało się za horyzontem i zapadła ciemność, wewnątrz świątyni oświetlone zostało delikatnym białym światłem. Przyszło więcej kapłanów prowadzących ze sobą mnóstwo młodych dziewczynek - swoich żeńskich odpowiedników. Występowali przed obliczem bożków, odśpiewując bezsensowny bełkot.

Stopniowo komora wypełniała się wyznawcami. Dostojnicy z dworu Jeddary razem ze swoimi kobietami oraz służącymi uformowali dwie linie po obu stronach świątyni, przed obliczami pomniejszych bóstw, pozostawiając szerokie przejście od wielkiego wejścia do stóp Wielkiego

Tura i w tym kierunku wszyscy skierowali swój wzrok. Na co tak wyczekiwali? Ich oczy wlepione były prosto w stronę zamkniętych wrót i razem z Gorem Hajusem poculiśmy, że sami tam spoglądamy - zafascynowani obietnicą niezwykłego spektaklu kryjącego się za nimi.

Nagle drzwi zaczęły się powoli rozsuwać i wszystkim, co za nim zobaczyliśmy, był potężny zrolowany dywan, leżący w poprzek wejścia. Dwudziestu niewolników przyodzianych jedynie w skórzane uprząże stanęło za ogromnym rulonem materiału. Gdy tylko otwarto wrota na oścież, mężczyźni rozwinęli go aż pod ołtarz Wielkiego Tura, obejmując całe przejście złoto-biało-niebieskim dywanem. Była to najpiękniejsza rzecz w świątyni, gdzie wszystko inne było krzykliwe, rażące, głośnie, ohydne lub groteskowe. Następnie znów zamknięto wejście i rozpoczęło się oczekiwanie. Trwało to jednak tylko chwilę. Z zewnątrz dobiegł nas dźwięk rogu, który wzrastał wraz ze zbliżaniem się do sali. Drzwi znów się rozwarły. Po drugiej ich stronie stała podwójna kolumna marszowa wspaniale przyodzianych szlachciców. Powoli wkroczyli do świątyni, a za nimi wjechał piękny rydwan ciągnięty przez dwie banty - okrutne barsoomiańskie lwy trzymane na smyczy przez niewolników. Na rydwanie znajdowała się lektyka, w której leżała Xaxa. Gdy wkroczyła do świątyni, ludzie zaczęli śpiewać monotonne pieśni pochwalne. Do rydwanu przykuty był czerwonoskóry wojownik, który podążał na nogach, a za nim ruszył korowód złożony z pięćdziesięciu młodych mężczyzn i takiej samej liczby młodych dziewczyn.

Gor Hajus dotknął mojego ramienia. - Więzień - wyszeptał. - Poznajesz go?

- Dar Tarus! - zawołałem.

Tak, to był nasz towarzysz - odkryto jego kryjówkę i aresztowano go. Lecz co stało się z Hovanem Du? Czy jego też pojмали? Jeśli tak, to musieli to zrobić dopiero po jego zgładzeniu, gdyż nigdy nie udałoby się im pochwycić żywcem agresywnej bestii, a on sam nie wytrzymałby w

niewoli. Szukałem Saga Ora, ale nie było po nim śladu na terenie świętego miejsca. Ten fakt dał mi nadzieję, że antropoid jest wciąż na wolności.

Rydwan zatrzymał się przed ołtarzem, po czym wysiadła z niego Xaxa. Blokada trzymająca łańcuch Dara Tarusa przy pojeździe została zdjęta, a banty zostały odprowadzone przez swoich opiekunów na bok świątyni, za figury pomniejszych bóstw. Następnie mój towarzysz został brutalnie przyciągnięty pod ołtarz i rzucony na ziemię, a Xaxa wspinając się po stopniach u podstawy ołtarza, zbliżyła się do niego i rozpościerając ręce nad więźniem, spojrzała na górującego nad nią Wielkiego Tura. Jaka ona była piękna! Jak bogato wystrojona! Och, Vallo Dio! Dlaczegoż twoja słodka forma musiała zostać tak poniżona i wykorzystana do niecznych celów szalonego umysłu, który teraz cię ożywia!

Wzrok Jeddary spoczął na twarzy potężnego bożka. - O Turze, ojciec Barsoom - zawołała - oto ofiara, którą ci składamy, o Wszechwidzący, Wszechwiedzący, Wszechmocny. Proszę, nie bądź na nas zły i przerwij milczenie. Przez setki lat nie odezwałeś się głośno do swoich wiernych niewolników - od czasu, gdy arcykapłan Hora San został przez ciebie zabrany nocą, którą do dziś spowija tajemnica. Przemów Wielki Turze! Daj nam jakiś znak, zanim zatopimy ten sztylet w sercu naszej ofiary, abyśmy wiedzieli, iż nasza praca jest miła twoim oczom. Powiedz nam, dokąd udali się ci, którzy chcieli dziś zamordować twoją arcykapłankę. Wyjaw nam losy Saga Ora. Mów, Wielki Turze, zanim uderzę - i podniosła swoje długie ostrze ponad sercem mego kompana, spoglądając prosto w oczy bóstwa.

Wtedy, niczym grom z jasnego nieba, uderzył we mnie wspaniały pomysł. Moja ręka poczęła szukać dźwigni kontrolującej oczy Tura i zacząłem nimi kręcić do czasu, aż natrafiły na wzrok kapłanki. Efekt był magiczny. Nigdy wcześniej nie widziałem, aby cała sala ludzi była tak absolutnie oszołomiona oraz przejęta jak ci zebrani w świątyni. Gdy znów spojrzałem na Xaxę, wyglądała niczym zamieniona w kamień, a jej miedziana skóra przyjęła odcień wybladłej purpury. Sztylet nadal sztywno

wisiał nad sercem Dara Tarusa. Od setek lat nie widzieli poruszających się oczu Tura. Przyłożyłem wówczas do ust tubę, a głos bożka zagrzmiął w całym pomieszczeniu. Przez zatłoczoną świątynię przetoczył się grupowy jęk, niczym dobywający się z jednego wielkiego gardła, a ludzie padali na kolana oraz chowali twarze w dłoniach.

– Ja wydaję wyroki! - krzyknąłem. - Zaniechajcie ciosu, chyba że sami chcecie zostać powaleni! Ofiara jest dla Tura! - Zamilkłem, po czym spróbowałem jak najlepiej wykorzystać tę okazję. Bojaźliwie, jedna po drugiej, pochylone głowy podniosły się w górę i wystraszony wzrok tłumu skierował się w stronę Tura. Zapewniłem im kolejny dreszcz pozwalając, by boskie oczy wędrowały powoli po skierowanych w górę twarzach. W chwili, gdy to robiłem, naszała mnie kolejna myśl, którą przekazałem szeptem Gorowi Hajusowi. Usłyszałem jego chichot, gdy zaczął schodzić na dół, aby wcielić mój nowy plan w życie. Ponownie wykorzystałem tubę.

– Ofiara należy do Tura - zagrzmiąłem. - Tur uderzy własną ręką. Zgaście światło i niech nikt się nie rusza pod groźbą natychmiastowego zgonu do czasu, aż Tur nie rozkaże inaczej. Połóżcie się twarzami ku ziemi i zakryjcie oczy dłońmi, gdyż każdy, kto spojrzy, natychmiast oślepie, gdy duch Tura będzie kroczył wśród swoich ludzi.

Wierni ponownie zwrócili się w stronę podłogi, a jeden z kapłanów pośpiesznie zgasił światła, pozostawiając świątynię w całkowitej ciemności. Gdy Gor Hajus był zajęty wykonywaniem swojej części przedstawienia, spróbowałem ukryć jakikolwiek przypadkowy hałas poprzez kontynuację płomiennego niebiańskiego objawienia.

– Arcykapłanka Xaxa zapytała, co stało się z tymi, którzy podobno przybyli ją zamordować. Ja zabrałem ich do siebie. Zemsta jest Turem! Wziąłem również Saga Ora. Przybyłem pod postacią wielkiej małpy, po czym porwałem tego wojownika i nikt mnie nie rozpoznał. Jednak nawet głupiec był w stanie to odgadnąć - bo kto kiedykolwiek słyszał o wielkiej

małpie przemawiającej ludzkim językiem, jeśli nie była ona pod kontrolą ducha Tura?

Myślę, iż to ich przekonało, gdyż była to logika pasująca do tutejszej religii. Lub mogłoby ich przekonać, gdyby już wcześniej nie byli tego pewni. Zastanawiałem się, co może teraz dziać się w głowie wąpiącego kapłana, który stwierdził, że bóstwa mają uszy z kamienia.

Nagle usłyszałem hałas na drabinie pode mną, a po chwili ktoś wspiął się na owalny podest.

– Wszystko w porządku - wyszeptał Gor Hajus. - Dar Tarus jest ze mną.

– Oświecić świątynię! - rozkazałem przez tubę. - Wstańcie i spójrzcie na swój ołtarz.

Światła rozbłysły, a ludzie podnieśli się na drżących nogach. Każde oko skierowane było w stronę ołtarza, a to, co zobaczyli, zdawało się napawać ich serca grozą. Niektóre z kobiet krzyczały i mdlały. To wszystko zrobiło na mnie wielkie wrażenie, gdyż byłem przekonany, że żaden z nich nie brał tego boga zbyt poważnie, a teraz, gdy zostali skonfrontowani z absolutnym dowodem jego niezwykłych mocy, zostali całkowicie zwaleni z nóg. Tam, gdzie kilka chwil wcześniej znajdowała się żywa ofiara czekająca na śmierć z rąk arcykapłanki, teraz ujrzeli tylko kurz pokrywający ludzką czaszkę. Zapewniam, że bez wyjaśnienia mogło to wyglądać na cud dla wszystkich. Tak szybko Gor Hajus pobiegł od podstawy pomnika trzymając w rękach czaszkę martwego arcykapłana i wrócił z Darem Tarusem. Byłem nieco zaniepokojony tym, jak zachowa się w tej sytuacji mój kompan, który nie był świadom szczegółów tej mistyfikacji w takim samym stopniu jak zebrani Phundahlianie, ale Gor Hajus wyszeptał do jego ucha słowa: „Dla Valli Dii”. Wojownik szybko wszystko zrozumiał i ruszył za zabójcą.

– Wielki Tur - ogłosiłem - jest wściekły na swoich ludzi. Przez długi czas nie mieli dla niego miejsca w swoich sercach, nawet jeśli otwarcie go wychwalali. Wielki Tur jest wściekły na Xaxę. Tylko dzięki niej mieszkańcy Phundahl mogą zostać uratowani przed destrukcją, gdyż Tur

jest zły. Idźcie więc z dala od świątyni i pałacu, pozostawiając w tym miejscu jedynie arcykapłankę Tura. Pozostawcie ją w samotności obok ołtarza. Tur porozmawia z nią w cztery oczy. Zobaczyłem, jak kobieta drży ze strachu.

– Czy Jeddara Xaxa, Arcykapłanka Wielkiego Boga Tura, boi się spotkać swojego pana? - zażądałem odpowiedzi. Szczeka kobiety zadrżała tak, że nie mogła wydusić z siebie słowa.

– Bądźcie posłuszni! Albo Xaxa i wszyscy jej ludzie natychmiast zginą! - dosyć ostro krzyknąłem w ich stronę.

Jak bydlę odwrócili się i uciekli w stronę wyjścia, a Xaxa - jej nogi trzęsły się tak mocno, że z ledwością mogła stać prosto - chwiejnym krokiem ruszyła za nimi. Jeden ze szlachciców dostrzegł, co zrobiła, po czym popchnął ją brutalnie z powrotem, ale ona tylko wrzasnęła i pobiegła za nim, gdy się oddalił. Wtedy inni zaciągnęli ją do stóp ołtarza i rzucili na ziemię, a ktoś zagroził jej mieczem. Wtedy jednak głośno oznajmiłem, iż z głowy Jeddary nie może spaść żaden włos, jeśli zgromadzeni nie chcą zmierzyć się z gniewem Tura. Zostawili ją, tak bardzo sparaliżowaną strachem, że nie mogła ruszyć się z miejsca, a chwilę później świątynia opustoszała. Krzyknąłem jeszcze za nimi, aby w ciągu kwadransa zody wyczyścili cały pałac z ludzi, gdyż mój plan wymagał wolnego, niezakłóconego oraz nieobserwowanego obszaru działania.

Ostatni ludzie zniknęli z zasięgu wzroku, nim nasza trójka wyszła z głowy Tura i postawiła stopy na podłodze za figurą. Szybko pobiegłem w stronę ołtarza - w miejsce, gdzie Xaxa upadła na podłogę w omdleniu. Nadal tam leżała. Wziąłem ją na ręce i szybko ruszyłem z powrotem do drzwi w ścianie za posagiem - tam, gdzie wcześniej tego dnia razem z Gorem Hajusem weszliśmy do świątyni.

Idąc pomiędzy moimi kompanami, wszedłem na schody prowadzące na dach, gdzie - według słów dwóch kapłanów - znajdowały się królewskie hangary. Gdyby tylko Hovan Du i Sag Or byli razem z nami, to mój puchar

szczęścia byłby pełny, ponieważ w ciągu połowy dnia udało nam się zamienić całkowitą porażkę w niemal pewny sukces. Na lądowisku, gdzie znajdowały się apartamenty Xaxy, zatrzymaliśmy się i dokładnie przeszukaliśmy pomieszczenia. Uważałem, że podczas długiej nocnej podróży ciało Valii Dii musi być ogrzewane przez odpowiednie szaty - nawet gdy zamieszkiwał je duch Xaxy. Nie widząc nikogo, weszliśmy do środka i szybko znaleźliśmy potrzebne rzeczy. Gdy przymierałem ciężki płaszcz ze skóry orluka, znajdująca się obok Jeddara odzyskała przytomność. Natychmiastowo rozpoznała mnie oraz Gora Hajusa, a po chwili również Dara Tarusa. Automatycznie sięgnęła po swój sztylet, który został jej zabrany, i gdy zobaczyła mój uśmiech, pobladła ze złości. Początkowo musiała zrozumieć, że stała się ofiarą mistyfikacji, ale teraz wydawało się, że ma wątpliwości. Musiała przypominać sobie niektóre rzeczy, jakie miały miejsce w świątyni Wielkiego Tura, a tych ani ona, ani żaden inny śmiertelnik nie może wyjaśnić.

– Kim jesteś? - spytała.

– Jestem Turem - odpowiedziałem bezczelnie.

– Do czego jestem ci potrzebna?

– Mam zamiar zabrać cię z Phundahl - odrzekłem.

– Ale ja nie chcę donikąd iść. Nie jesteś Turem. Nazywasz się Vad Varo. Zawołałam po pomoc, a moi strażnicy przybędą i cię zgładzą.

– Nie ma nikogo w pałacu - przypomniałem jej. - Czy to nie ja, Tur, ich odesłałem?

– Nie pójdę z tobą - oznajmiła stanowczo. - Wolałabym raczej umrzeć.

– Pójdiesz ze mną, Xaxo - odpowiedziałem. Mimo tego, że szarpała się i walczyła, wynieśliśmy ją z apartamentu, a następnie po spiralnych schodach przetransportowaliśmy na dach, gdzie - modliłem się o to - powinniśmy znaleźć hangary oraz królewskie statki powietrzne. Gdy wyszliśmy prosto w objęcia rześkiego nocnego powietrza Marsa, zobaczyliśmy przed sobą zabudowania. I coś jeszcze. Grupa



phundahliańskich wojowników z gwardii Jeddary najwyraźniej nie usłyszała rozkazów Tura. Na ich widok Xaxa krzyknęła głośno z ulgą.

– Do mnie! Do Jeddary! - zawołała. - Zaatakujcie tych zabójców i uratujcie mnie!

Było ich trzech. Nas również. Ale to oni byli uzbrojeni, a my mieliśmy tylko smukły sztylet Xaxy, który był w rękach Gora Hajusa. Zwycięstwo wydawało zamieniać się w porażkę, gdy przeciwnicy ruszyli w naszą stronę. Jednak to Gor Hajus dał im do myślenia. Chwycił kobietę i przystawił jej ostrze do serca.

– Stać! - zawołał. - Inaczej go wbiję.

Wojownicy się zawahali. Xaxa milczała, sparaliżowana strachem. Tak więc staliśmy w impasie, gdy tuż za plecami trójki phundahliańskich wojowników zobaczyłem ruch na krawędzi dachu. Co to było? W przyćmionym świetle zobaczyłem coś, co wyglądało jak ludzka głowa - a mimo to w jakiś sposób nieludzka - która wyłaniała się wolno powyżej linii szczytu budynku. Nagle, po cichu, wielka sylwetka zbliżyła się i rozpoznałem ją natychmiast - Hovan Du, wielka biała małpa.

– Powiedz im - zwróciłem się do Xaxy donośnym głosem, żeby Hovan Du mógł to usłyszeć - że jestem Turem, gdyż sama zaraz zobaczysz, jak powracam w formie wielkiej białej małpy! - Po czym wskazałem na antropoida. - Nie chciałbym niszczyć tych biednych wojowników. Niech złożą broń i odejdą w pokoju.

Mężczyźni odwrócili się i widząc wielkiego małpoluda stojącego za nimi - który wydawał wyłaniać się prosto z powietrza - byli wstrząśnięci.

– Kim on jest, Jeddaro? - zapytał jeden z mężczyzn.

– To Tur - odpowiedziała Xaxa słabym głosem. - Ale uratujcie mnie przed nim! Pomóżcie!

– Porzućcie swoją broń oraz uprząże i uciekajcie! - nakazałem. - Inaczej Tur odbierze wam życie! Nie słyszeliście ludzi uciekających z pałacu na polecenie Tura? Myślicie, że jak inaczej doprowadziliśmy Xaxę do tego

miejsca z mocą mniejszą, niż posiada Tur, gdy cały jej pałac był wypełniony wojownikami? Idźcie, póki jeszcze możecie.

Jeden z nich odpiął pas i rzucił go razem z bronią na dach, a gdy zaczął biec w stronę spiralnych schodów, zebrani towarzysze poszli za jego przykładem.

Wtedy podszedł do nas Hovan Du.

– Świetnie, Vadzie Varo - warknął. - Chociaż nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi.

– Dowiesz się później - odpowiedziałem. - Teraz musimy znaleźć szybki statek powietrzny i ruszać w drogę. Gdzie jest Sag Or? Nadal żyje?

– Jest dobrze związany i bezpiecznie ukryty w jednej z wysokich pałacowych wież - odrzekła małpa. - Łatwo będzie się do niego dostać, gdy wystartujemy.

Xaxa przyglądała nam się gniewnie. - Nie jesteś Turem! - wykrzyknęła. - Małpa cię zdradziła!

– Ale jest już za późno, abyś wykorzystała tę wiedzę w jakikolwiek sposób, Jeddaro - zapewniłem ją. - Nie mogłabyś przekonać nawet jednego ze swoich ludzi, którzy znajdowali się w świątyni tej nocy, że nie jestem Turem. Sama nie wiesz, czy nim nie jestem. Ścieżki Tura, wszechmocnego, wszechwiedzącego, znajdują się poza wyobraźnią śmiertelników. Dla ciebie, Jeddaro, jestem Turem i zobaczysz, iż jestem wystarczająco wszechpotężny dla osiągnięcia swoich celów.

Myślę, że wciąż była zdumiona, gdy znaleźliśmy statek i ruszyliśmy w jego stronę. Umieściliśmy ją na pokładzie, po czym obróciliśmy nos wehikułu w stronę wysokiej wieży, w której to Hovan Du pozostawił Saga Ora.

– Będę zadowolony, gdy znowu się zobaczę - powiedział Dar Tarus ze śmiechem.

– I znów staniesz się sobą, Darze Tarusie - powiedziałem mu. - Tak szybko jak nigdy dotąd możemy powrócić do podziemi Rasa Thavasa.

– Chciałbym móc ponownie połączyć się z moją słodką Karą Vasą - westchnął. - Wtedy, Vadzie Varo, moja wdzięczność w pełni należałaby do ciebie.

– Gdzie możemy ją znaleźć?

– Niestety nie wiem. To właśnie podczas poszukiwań mojej ukochanej zostałem schwytyany przez agentów Xaxy. Byłem w pałacu jej ojca, gdzie dowiedziałem się, że został on zamordowany, a jego majątek skonfiskowany. Miejsce pobytu Kary Vasy nie było im znane lub nie chcieli mi go zdradzić - trzymali mnie tam pod różnymi pretekstami, do czasu aż oddział gwardzistów Jeddary przybył i mnie aresztował.

– Będziemy musieli wypytać Saga Ora - powiedziałem.

Byliśmy coraz bliżej przystanku, przed oknem wskazanym przez Hovana Du. Na miejscu antropoid razem z Darem Tarusem wskoczyli na parapet i zniknęli w środku. Wszyscy byliśmy teraz uzbrojeni, wzięwszy broń pozostawioną przez trójkę wojowników w hangarach. Pod stopami mieliśmy dobry statek powietrzny i cała nasza kompania była w komplecie. Mając dodatkowo Xaxę oraz Saga Ora, którzy byli teraz wprowadzani na pokład, byliśmy w naprawdę świetnych humorach.

Gdy ruszyliśmy w dalszą drogę, ustawiając dziób pojazdu w kierunku wschodnim, zapytałem Saga Ora, czy wie co stało się z Karą Vasą. Zapewnił mnie gburowatym tonem, że nie ma pojęcia.

– Zastanów się, Sagu Orze - upomniałem go. - I pomyśl mocno, bo być może od tej odpowiedzi zależeć będzie twój los.

– Jakie mam szanse na przeżycie? - zadrwił, łypiąc brzydkiem w stronę Dara Tarusa.

– Masz szansę - odpowiedziałem. - Twoja dalsza egzystencja leży w zagłębieniu mojej dłoni. I jeśli będziesz dobrze mi służyć, to wróci do ciebie - choć w swoim oryginalnym ciele, a nie tym należącym do Dara Tarusa.

– Nie zamierzacie mnie zniszczyć?

– Ani ciebie, ani Xaxy - odparłem. - Jeddara powinna żyć we własnym ciele, tak samo jak ty.

– Nie chcę żyć w moim własnym ciele! - Coś pękło w kobiecie.

Dar Tarus wpatrywał się w Saga Ora, patrząc na swoje własne ciało niczym na jakąś bezcielesną duszę. Najdziwniejsza sytuacja, jaką kiedykolwiek widziałem.

– Powiedz mi, Sagu Orze - powiedział - co się stało z Kara Vasą. Gdy odzyskam moje ciało, a ty swoje, nie będę do ciebie wrogo nastawiony, jeśli tylko nie skrzywdziłeś Kary Vasy i powiesz mi gdzie ona jest.

– Nie mogę ci powiedzieć, gdyż tego nie wiem. Nie została zraniona, ale w dzień po tym, jak zginąłeś, zniknęła z Phundahl. Byliśmy przekonani, że została uprowadzona przez swojego ojca, ale od niego nie mogliśmy niczego się dowiedzieć. Następnie został zamordowany. - Mężczyzna spojrzał na Xaxę. - Od tego czasu nie dowiedzieliśmy się niczego nowego. Niewolnik powiedział nam, że Kara Vasa, razem z kilkoma wojownikami swego ojca, wsiadła do statku powietrznego i poleciała w stronę Helium, gdzie zamierzała oddać się pod ochronę wielkiego Wodza Barsoom. Nie wiemy jednak, czy jest to prawdą. Mówię szczerze. Ja, Sag Or! - Daremne było w takim wypadku poszukiwanie Kary Vasy w Phundahl, więc trzymaliśmy kurs na wschód, w kierunku Wieży Thavas.

## ROZDZIAŁ 14:

# POWRÓT DO THAVASA

Całą tę noc spędziliśmy pod pędzącymi księżycami Marsa w towarzystwie najdziwniejszej kompanii, jaka kiedykolwiek zebrała się na jakiegokolwiek planecie. Przysięgam. Dwóch mężczyzn, z których każdy posiada ciało innego, stara i zła cesarzowa, której piękne ciało należało do młodej damy, ukochanej przez innego członka tej drużyny, wielka biała mała zdominowana przez połowę ludzkiego mózgu. Ja, istota z odległej planety, razem z Gorem Hajusem, zabójcą z Toonol, zamykaliśmy tę szaloną listę.

Rzadko potrafiłem oderwać wzrok od wspaniałej sylwetki i twarzy Xaxy. I bardzo dobrze, że byłem tak zafascynowany, gdyż złapałem ją podczas próby rzucenia się za burtę. Tak bardzo przerażała ją perspektywa ponownego życia w jej starym, ohydny ciele. Po tym wydarzeniu trzymałem ją bezpiecznie skrepowaną i przymocowaną do pokładu, chociaż bolał mnie widok więzów na tych cudownych kończynach.

Dar Tarus był niemal równie zafascynowany kontemplacją własnego ciała, którego nie widział od lat.

– Na mojego pierwszego przodka - zakrzyknął. - Musiałem być najmniej próżnym człowiekiem, gdyż daję wam słowo, nie miałem pojęcia, że tak wspaniale wyglądam. Mogę to teraz powiedzieć nie wychodząc na egoistę, ponieważ mówię o Sagu Orze. - I zaśmiał się donośnie z własnego żartu.

Ale faktem pozostaje to, iż ciało oraz twarz Dara Tarusa rzeczywiście były piękne, chociaż w jego oczach był teraz ślad zimnej stali, a kształt szczęki symbolizował drzemiące w nim pragnienie krwi. Nic dziwnego

więc, że Dar Tarus chciał opuścić naznaczone hulaszczą i wiekiem ciało, które obecnie okupował, i wrócić do swojego własnego.

Tuż przed świtem opadliśmy nad jedną z licznych wysepek, które otaczają Wielkie Bagna Toonoliańskie i przeciskając statek pomiędzy pniami wielkich drzew, udało nam się wylądować na stałym gruncie. Będąc w połowie przykrytymi przez bujne i wspaniałe trawy dżungli, zostaliśmy dobrze ukryci przed wzrokiem potencjalnych prześladowców. W tym miejscu Hovan Du znalazł owoce oraz orzechy, które małpia część jego mózgu określiła jako bezpieczne do konsumpcji przez ludzi, a instynkt zaprowadził go do pobliskiego źródła, z którego wylewała się przepyszna woda. Nasza czwórka była niezwykle głodna i zmęczona, więc z przyjemnością przywitaliśmy jedzenie oraz picie. Xaxa z Sagiem Orem również ich nie odrzucili. Po posiłku trójka z nas poszła się wyspać na pokład wehikułu, gdy tylko dobrze zabezpieczyliśmy łańcuchami naszych więźniów. Czwarta osoba stała na warcie. W ten sposób, na zmianę, przespaliśmy większość dnia, a gdy zapadła noc, wypoczęci i odświeżeni byliśmy gotowi, aby kontynuować lot.

Wybierając szeroki objazd na południe, uniknęliśmy Toonol i około dwie godziny przed świtem wypatrzyliśmy wysoką Wieżę Thavas. Myślę, że wszyscy byliśmy podekscytowani w najwyższym stopniu, ponieważ nie było na pokładzie maszyny osoby, której życie nie zostałoby diametralnie zmienione przez sukces lub porażkę naszego przedsięwzięcia.

W pierwszej kolejności zabezpieczyliśmy ręce za plecami Xaxy oraz Sag Ora i umieściliśmy kneble w ich ustach, żeby nie udało im się zaalarmować o naszym przybyciu.

Cluros dawno już zniknął, a Thuria płynęła w kierunku horyzontu w momencie, gdy zatrzymaliśmy nasz silnik i dryfowaliśmy bez świateł przez milę lub dwie na południe od wieży, czekając niecierpliwie, aby Thuria zostawiła niebo ciemności i nam. Na północnym zachodzie światła Toonol

świeciły jasno na ciemnym tle okien wielkiego laboratorium Rasa Thavasa. Sama wieża była jednak spowita cieniem, od cokołu do szczytu.

Najbliższy księżyc opadł za horyzont i pozostawił scenę ciemności. Dar Tarus uruchomił silnik - wspaniały, cichy napęd z Barsoom, a my ruszyliśmy powoli, blisko ziemi, w kierunku wyspy Rasa Thavasa. Jedynym dźwiękiem, jaki nas otaczał, był delikatny szum śmigła, którego i tak nie można było usłyszeć z daleka, gdyż obracało się bardzo wolno. Blisko wyspy zatrzymaliśmy się za skupiskiem gigantycznych drzew, a Hovan Du, zginając się w łuk, wydał z siebie kilka niskich warknięć. Następnie czekaliśmy w milczeniu, nasłuchując. Do naszych uszu dotarł szelest z gęstych zarośli przy brzegu. Po raz kolejny antropoid wydał z siebie ponury odgłos i tym razem przyszła odpowiedź z mrocznych cieni. Mój towarzysz mówił w języku wielkich małp, a niewidzialna istota zareagowała na jego starania.

Przez pięć minut - w czasie których byliśmy świadomi, z powodu pojawienia się różnych odgłosów, że inni dołączyli do przybrzeżnej konwersacji - małpy dyskutowały, a następnie Hovan Du zwrócił się do mnie.

– Załatwione - powiedział. - Pozwolą nam ukryć statek powietrzny pod tymi drzewami oraz puszcza wolno, gdy będziemy gotowi do odlotu. Nie skrzywdzą nas również w żaden sposób. Proszą tylko o to, abyśmy pozostawili otwartą bramę prowadzącą na wewnętrzny dziedziniec po załatwieniu naszych spraw.

– Czy mają świadomość tego, że małpa wchodzi z nami do środka, ale wracamy bez niej? - Zapytałem.

– Tak, ale nic nam nie zrobią.

– Dlaczego chcą, żeby brama pozostała otwarta?

– Nie dociekaj zbyt mocno, Vadzie Varo - odrzekł Hovan Du. - Wystarczy, że wielkie małpy umożliwią ci przywrócenie ciała Valli Dii do jej mózgu i waszą wspólną ucieczkę z tego straszego miejsca.

- Wystarczy - odpowiedziałem. - Kiedy możemy wylądować?
- Natychmiast. Pomogą nam szybko przeciągnąć statek pod drzewami.
- Ale najpierw musimy przedostać się przez mur na wewnętrzny dziedziniec - przypomniałem mu.
- Tak, prawda - zapomniałem, że nie możemy otworzyć bramy z tej strony.

Przemówił ponownie do małą, których jeszcze nie widzieliśmy, po czym poinformował nas o tym, iż wszystko jest już zorganizowane, a on razem z Darem Tarusem powrócą ze statkiem zaraz po tym, jak wysadzą nas wewnątrz twierdzy.

Ponownie ruszyliśmy w drogę i wznosząc się powoli nad zewnętrzną ścianą, opadliśmy cicho na dziedziniec. Noc była wyjątkowo ciemna. Chmury podążały za Thurią zmywając gwiazdy, gdy tylko zaszedł księżyc. Nikt w promieniu pięćdziesięciu metrów nie mógł dostrzec naszego pojazdu, a my poruszaliśmy się niemal zupełnie bezszelestnie. Po cichu wysadziliśmy więźniów, po czym wspólnie z Gorem Hajusem pozostaliśmy z nimi, gdy Dar Tarus oraz Hovan Du wznieśli się ponownie i zabrali statek z powrotem do kryjówki.

Natychmiast ruszyłem w stronę bramy, po odblokowaniu której czekałem na rozwój wypadków. Do moich uszu nie dotarł żaden dźwięk. Nigdy jeszcze nie natknąłem się na tak absolutną ciszę. Żaden odgłos nie dochodził z wielkiego stosu znajdującego się za mną ani z terenów ogromnej dżungli poza murem. Niewyraźnie dostrzegłem obok mnie skulone sylwetki Gora Hajusa, Xaxy oraz Saga Ora. W przeciwnym razie mógłbym pomyśleć, że jestem zupełnie sam w ciemności i ogromie przestrzeni.

Wydawało się, że czekałem tam wieczność, nim usłyszałem delikatne drapanie na panelach ciężkiej bramy. Otwarłem je, a Dark Tarus z Hovanem Du wkroczyli cicho do środka, zanim znów je zamknąłem. Nikt się nie odezwał. Wszystko było dokładnie zaplanowane, więc przemowy nie były



potrzebne. Razem z Darem Tarusem prowadziliśmy grupę, a reszta towarzyszy zamykała pochód z więźniami. Poszliśmy prosto do drzwi wieży, odnaleźliśmy schody i zeszliśmy do podziemi. Szczęście wydawało się nam sprzyjać. Nikogo nie spotkaliśmy. Nie było problemów ze znalezieniem krypty, której szukaliśmy, a będąc już w środku, zabezpieczyliśmy drzwi, aby nikt nam nie przeszkadzał - to było naszym pierwszym zmartwieniem. Następnie pospieszyłem w miejsce, gdzie za ciałem wielkiego wojownika ukryłem Vallę Dię, daleko przy ścianie w ciemnym kącie. Moje serce stanęło, gdy odsuwałem na bok truchło mężczyzny, ponieważ cały czas obawiałem się, że Ras Thavas - znając moje zainteresowanie tą kobietą i domyślając się celu podróży, w jaką wyruszyłem - zlecił przeszukanie każdej komory oraz jamy, a także przebadanie każdego ciała, byle tylko znaleźć to, którego poszukiwał. Jednak moje lęki były bezpodstawne, gdyż ciało Xaxy - stara i pomarszczona szkatułka, skrywająca mózg mojej ukochanej - leżało tam, gdzie ukryłem je pamiętnej nocy. Delikatnie podniosłem ludzką formę, a następnie zaniósłem na jeden z dwóch pokrytych ersytem stołów. Jeddara, stojąc tam związana i zakneblowana, spojrzała z nienawiścią oraz wstrętem na mnie i to ohydne ciało, do którego jej mózg miał niedługo powrócić.

Gdy niosłem ją na sąsiednią płytę, próbowała wykręcić się z mojego uścisku, a następnie rzucić się na podłogę. Udało mi się ją jednak przytrzymać i po kilku sekundach została bezpiecznie przypięta. Chwilę później leżała już nieprzytomna, a ponowne przeniesienie było na dobrej drodze do zakończenia się sukcesem. Gor Hajus, Sag Or oraz Hovan Du byli bardzo zainteresowanymi widzami, jednak dla Dara Tarusa, który mi asystował, nie było to nic nowego, ponieważ pracował w laboratorium, gdzie widział o wiele za dużo podobnych operacji. Nie będę zanudzał Pana opisem całości - było to powtórzenie tego, co robiłem wcześniej wiele razy w ramach przygotowań do tego wydarzenia.

W końcu zabieg został ukończony, a moje serce zamarło w chwili, gdy zastąpiłem płyn do balsamowania życiodajną krwią Valli Dii i spostrzegłem, jak jej policzki nabierają rumieńców, a zaokrąglony biust podnosi się i upada pod naporem delikatnego oddechu. Wtedy otworzyła oczy i spojrzała na mnie.

– Co się stało, Vadzie Varo? - spytała. - Coś poszło źle, że przywołałeś mnie tak szybko, czy może nie reaguję na płyn?

Jej wzrok powędrował ze mnie na twarze innych zebranych dookoła postaci. - Co to znaczy? - zapytała. - Kim oni są?

Podniosłem ją delikatnie w ramionach, po czym wskazałem na pozornie martwe ciało Xaxy, zajmujące kolejną ersytową płytę. Valla Dia otworzyła szeroko oczy. - Czy to już skończone? - zawołała, przykładając ręce do swojej twarzy i czując jej rysy oraz delikatne kontury gładkiej szyi. Nadal jednak nie potrafiła w to uwierzyć. Poprosiła o lusterko, a ja wyjąłem jedno z kieszeni Xaxy. Długo się w nie wpatrywała, po czym łzy zaczęły spływać jej po policzkach. Potem spojrzała na mnie jak przez mgłę, obejmując ramionami moją szyję i przyciągając moją twarz do swojej. - Mój wodzu - wyszeptała. To było już wszystko, ale mnie wystarczało. Dla tych dwóch słów zaryzykowałem swoje życie oraz stawiałem czoła nieznanym niebezpieczeństwom. I zrobiłbym to z chęcią ponownie za taką samą nagrodę. Zawsze.

Zapadła kolejna noc, nim udało mi się zakończyć przywracanie form Dara Tarusa oraz Hovana Du. Xaxę, Saga Ora i wielką małpę pozostawiłem w stanie snu wywołanego cudownymi środkami znieczulającymi Rasa Thavasa. Nie miałem zamiaru wzbudzać małpoluda, ale czułem obowiązek odwiezienia pozostałych do Phundahl, choć Dar Tarus - teraz olśniewający w swoim własnym ciele i pięknych szatach Saga Ora - namawiał mnie, abym oszczędził cierpiącym od dawna Phundahlianom ich obecności.

– Dałem jednak słowo - powiedziałem.

– Więc muszą tam powrócić - odrzekł.

– Jednak to, co zrobię potem, jest już całkiem inną sprawą - dodałem, bo nagle w mojej głowie zaświtał śmiały plan.

Przez brak czasu nie powiedziałem kompanowi, o co mi chodzi, gdyż w tej samej chwili usłyszeliśmy, że ktoś próbuje otworzyć drzwi. Następnie rozbrzmiały jakieś głosy i ponownie starano się sforsować wejście, tym razem za pomocą siły. Czekaliśmy w ciszy. Miałem nadzieję, iż ktokolwiek to jest, zaraz sobie pójdzie. Drzwi były bardzo silne i brutalne próby przedostania się do środka musiały okazać się daremne, bo obcy szybko z nich zrezygnowali. Jeszcze przez chwile słyszeliśmy ich głosy, po czym wydawało się, że zniknęli.

– Musimy stąd iść - powiedziałem. - Zanim wrócą.

Po związaniu rąk Xaxy oraz Saga Ora za ich plecami i założeniu knebli szybko przywróciliśmy więźniów do życia, choć nigdy jeszcze nie widziałem dwóch mniej wdzięcznych osób.

Spojrzenie, którym mnie obdarzyli, mogłoby z łatwością zabić, a niesmak, z jakim na siebie spoglądali, był wyraźnie wypisany w ich oczach.

Ostrożnie przekręciłem klamkę i po cichu otwarłem drzwi w prawej ręce trzymając nagi miecz i mając u boku uzbrojonych towarzyszy. Na zewnątrz zobaczyłem dwóch niewolników Rasa Thavasa obserwujących korytarz. Jednym z nich był Yamdor, jego osobisty sługa. Na nasz widok mężczyźni krzykiem podnieśli alarm i zanim zdążyłem przeskoczyć przez wejście, by ich zatrzymać, obaj obrócili się i pobiegli wzdłuż korytarza tak szybko, jak tylko mogli.

Teraz nie było czasu do stracenia - wszystko musiało zostać poświęcone dla szybkości.

Bez myślenia o ostrożności lub ciszy pośpieszyliśmy przez podziemia w kierunku schodów w wieży. Gdy ponownie trafiliśmy na wewnętrzny dziedziniec, znów była noc, ale na bezchmurnym niebie znajdował się dalszy księżyc. W rezultacie zostaliśmy natychmiastowo zauważeni przez wartownika, który wzniósł alarm, ruszając w naszą stronę.

Co strażnik robił na dziedzińcu Rasa Thavasa? Nie potrafiłem tego zrozumieć.

I kim byli oni? Kilkunastu uzbrojonych wojowników biegło przez podwórze, depcząc po piętach woja.

– Toonolianie! - wykrzyczał Gor Hajus. - Wojownicy Vobis Kana, Jeddaka Toonol!.

Do utraty tchu pędziliśmy w stronę bramy. Gdybyśmy tylko mogli dotrzeć tam pierwsi! Zwalniali nas jednak więźniowie, którzy zatrzymali się natychmiast, gdy spostrzegli, iż mogą nas postawić w trudnej sytuacji. Z tego powodu wszyscy spotkaliśmy się przed głównym wejściem. Dar Tarus, Gor Hajus, Hovan Du i ja umiściliśmy Vallę Dię oraz więźniów za naszymi plecami, po czym rozpoczęliśmy starcie z dwudziestoma wojownikami z Toonol - w stosunku pięciu na jednego. Wkładaliśmy jednak w walkę więcej serca niż oni i być może to pozwoliło nam uzyskać przewagę - choć jestem pewien, że Gor Hajus sam był jak dziesięciu mężczyzn, tak straszny efekt wywoływał na mężach Toonol dźwięk jego imienia.

– Gorze Hajusie! - zawołał pierwszy, który go rozpoznał.

– Tak, jestem Gor Hajus - odpowiedział zabójca. - Przygotujcie się na spotkanie z przodkami! - I wbił się w nich niczym rozpedzone śmigło, ze mną stojącym po prawej stronie oraz Hovanem Du po lewej.

To była piękna walka, ale mieli tak wielką przewagę liczebną, że z pewnością obróciłyby się w końcu przeciwko nam, gdybym nie pomyślał o małpach i bramie znajdującej się obok nas.

Torując sobie drogę do celu, otworzyłem wrota na oścież. Za nimi, przyciągnięty przez dźwięki konfliktu, stał tuzin wielkich bestii. Zawołałem do Gora Hajusa i innych, aby odsunęli się na bok bramy, a gdy mały pośpiesznie wpadły do środka, wskazałem na toonoliańskich wojowników.

Myślę, że bestie były blisko pogubienia się w tym, kto jest przyjacielem, a kto wrogiem, jednak Toonolianie zawiadamiali ich o tym poprzez ciągłe

ataki, podczas gdy my znajdowaliśmy się na obrzeżach z opuszczoną bronią. Przez moment staliśmy tak, czekając. Następnie, gdy antropoidy rozrzuciły przeciwników, my zniknęliśmy w ciemnościach dżungli za zewnętrzną ścianą, szukając naszego statku. Za nami słychać było warknięcia i ryki bestii mieszające się z krzykami oraz przekleństwami mężczyzn, a dźwięki te nadal wydobywały się z dziedzińca, gdy wchodziliśmy na pokład wehikułu i umykaliśmy w mroki nocy.

Gdy tylko poczuliśmy, że bezpiecznie opuściliśmy wyspę Thavasa, usunąłem kneble z ust Xaxy oraz Saga Ora i muszę Ci powiedzieć, iż momentalnie tego pożałowałem. Nigdy w życiu nie byłem wystawiony na potok tak obrzydliwych przekleństw, jaki wylał się ze starych, pomarszczonych ust Jeddary. Zdecydowała się zaprzestać dopiero w momencie, gdy zacząłem ponownie ją uciszać.

Moje plany zostały teraz precyzyjnie określone i zawierały powrót do Phundahl, ponieważ nie mogłem lecieć z Vallą Dią do Duhor bez prowiantu oraz paliwa. Nie miałem też szans uzyskać tych rzeczy w miejscu innym niż Phundahl, ponieważ czułem, że posiadam klucz, który odblokuje dla mnie zasoby tego miasta, podczas gdy całe Toonol było uzbrojone przeciwko nam - co spowodowane było strachem Vobis Kana przed Gorem Hajusem.

Tak więc powtórzyliśmy naszą drogę do Phundahl w takim samym sekrecie jak wcześniej, gdyż nie chciałem zostać schwytanym, zanim wejdziemy do pałacu Xaxy.

Ponownie odpoczywaliśmy przez dzień na wyspie, która zapewniła nam schronienie dwa dni wcześniej, i po zmroku wyruszyliśmy na ostatni etap naszej podróży do miasta. Jeśli podążał za nami pościg, to nic o nim nie wiedzieliśmy, co mogło być z łatwością wyjaśnione przez wielkie połacie niezamieszkanых bagien, którymi lecieliśmy, oraz obrany przez nas skrajnie południowy kurs blisko ziemi.

Kiedy zbliżyliśmy się do Phundahl, znów zakneblowałem więźniów, a ponadto zabandażowałem im głowy, żeby nikt ich nie rozpoznał. Następnie poleciliśmy przez miasto prosto do pałacu, mając nadzieję, iż nie zostaniemy zauważeni - będąc jednocześnie gotowymi na taką ewentualność.

Ale doszliśmy do hangarów na dachu najwidoczniej bez zwracania niczyjej uwagi, a ja nieprzerwanie uczyłem każdego roli, jaką miał do odegrania. Gdy powoli usadawialiśmy się na dachu, Dar Tarus, Hovan Du oraz Valla Dia szybko zabandażowali głowy Gora Hajusa i moją, ponieważ ujrzeliśmy poniżej sylwetki strażników hangaru. Gdyby okazało się, że dach jest niestrzeżony, wiązanie nas byłoby niepotrzebne.

Gdy się zbliżyliśmy, jeden z wartowników przywołał nas do siebie. - Jaki statek? - zapytał.

- Królewski statek powietrzny Jeddary z Phundahl - odpowiedział Dar Tarus - powracający z Xaxą i Sagiem Orem.

Wojownicy szeptali między sobą, gdy zesliśmy bliżej, i muszę przyznać, iż czułem się trochę zdenerwowany, obawiając się rezultatu naszego podstępu. Pozwolili nam jednak wylądować bez słowa, a widząc Vallę Dię, pozdrowili ją zgodnie z obyczajami Barsoom w czasie jej cesarskiego zejścia z pokładu pojazdu.

- Zabierzcie więźniów do moich apartamentów! - rozkazała, zwracając się do strażnika, a z pomocą Hovana Du i Dara Tarusa cztery związane oraz zakneblowane postacie zostały przeniesione z maszyny po spiralnych schodach prosto do pokoi Xaxy - Jeddary Phundahl. Tutaj podekscytowani niewolnicy pośpieszyli powitać władczynię. Po pałacu musiała się rozejść z prędkością światła wiadomość o powrocie cesarzowej, gdyż prawie natychmiast zaczęli przybywać nadworni funkcjonariusze, ale Valla Dia oznajmiła, iż nie chce na razie nikogo widzieć.

Następnie odprawiła swoich niewolników, a na moją sugestię Dar Tarus zbadał apartamenty w celu wyszukania bezpiecznej kryjówki dla mnie,

Gora Hajusa i więźniów. Wkrótce odnalazł ją w formie małego przedpokoju położonego bezpośrednio przy głównym apartamencie królewskim. Więzy zostały zdjęte z rąk moich oraz zabójcy, po czym wspólnie wnieśliśmy Xaxę i Saga Ora do pokoju.

Wejście do pomieszczenia było wyposażone w ciężkie drzwi, nad którymi znajdowały się całkowicie ukrywające je zasłony. Kazałem Hovanowi Du, który jak reszta z nas, nosił phundaliańską uprząż, stać na straży i nie wpuszczać nikogo poza członkami naszej grupy. Razem z Gorem Hajusem zajęliśmy stanowiska zaraz za firanami, w których wycięliśmy małe otwory pozwalające nam widzieć wszystko, co dzieje się w głównej komnacie. Bardzo martwiłem się o bezpieczeństwo Valli Dii w czasie, gdy udawała Xaxę - wiedziałem, iż siała strach w sercach poddanych i była przez nich równocześnie znienawidzona i przez to nieustannie narażona na ataki zabójców.

Valla Dia wezwała niewolników, po czym kazała im wprowadzić dworskich urzędników. Gdy tylko drzwi się otworzyły, przeszedł przez nie korowód szlachty. Wyglądali na zmieszanych i mogłem zgadywać, że wspominali epizod w świątyni, kiedy to opuścili swoją Jeddare, a nawet rzucili ją brutalnie pod nogi Wielkiego Tura. Jednak Valla Dia szybko sprawiła, iż poczuli się swobodniej.

– Wezwałam was - powiedziała - abyście wysłuchali słów Tura. On znów przemówi do swego ludu. Trzy dni oraz trzy noce spędziłam z Turem. Jego gniew skierowany przeciw Phundahl jest wielki. Kazał mi zebrać całą wyższą szlachtę w świątyni po kolacji dzisiejszego wieczora, a także wszystkich kapłanów, dowódców, dwarów oraz tylu pomniejszych arystokratów, ilu jest w pałacu. Wtedy wszyscy ludzie z Phundahl usłyszą słowo i prawo Tura. Wszyscy posłuszni przeżyją. Ci, którzy się sprzeciwią, zginą. I biada tym, którzy mimo wezwania nie stawią się w świątyni tej nocy. Ja, Xaxa, Jeddara Phundahl, przemówiłam! Idźcie!

Wyszli, wydając się zadowolonymi, że mogą opuścić to miejsce. Następnie Valla Dia wezwała odwara ze swojej gwardii, który w naszym świecie byłby generałem. Kazała mu usunąć z pałacu każdą żywą istotę - od poziomu świątyni aż po dach - godzinę przed wieczornym posiłkiem. Oraz nie pozwolić nikomu wejść na teren świętego miejsca lub poziomów powyżej niego, nim nie wybije godzina wyznaczona na wysłuchanie głosu Tura - oprócz osób, które mogą znajdować się w jej apartamentach, do których nie można wchodzić pod groźbą śmierci. Wytłumaczyła wszystko jasno i przejrzysto, a odwar zrozumiał jej polecenia i myślę, że trochę zadrżał, gdyż wszyscy bardzo lękali się Jeddary. Następnie oddalił się, niewolnicy zostali zwolnieni, a my byliśmy sami.



## ROZDZIAŁ 15:

### JOHN CARTER

Pół godziny przed wieczornym posiłkiem znieśliśmy Xaxę oraz Saga Ora po spiralnych schodach i umieściliśmy ich w podstawie Wielkiego Tura, a następnie razem z Gorem Hajusem zajęliśmy nasze miejsca na górnej platformie za oczami i głosem bożka. Valla Dia, Dar Tarus oraz Hovan Du pozostali w królewskich apartamentach. Nasze plany były dokładnie przygotowane. Nie było nikogo pomiędzy drzwiami znajdującymi się w tylnej części posągu Wielkiego Tura a stojącym na dachu statkiem powietrznym, będącym w gotowości do lotu, gdyby nasz szalony plan napotkał na przeszkody.

Kolejne minuty płynęły powoli i w końcu zapadła ciemność. Zbliżała się wyczekiwana chwila. Usłyszeliśmy, jak otwierają się drzwi świątyni, a za nimi ujrzeliśmy wspaniale oświetlony wielki korytarz. Był pusty, z wyjątkiem dwójki kapłanów, którzy nerwowo wiercili się w przejściu. W końcu jeden z nich nabrał wystarczająco dużo odwagi, aby wejść do środka i włączyć światła. Następnie, śmieiej, ruszyli do przodu, a potem upadli przed ołtarzem Wielkiego Tura. Gdy się podnieśli i spojrzeli w twarz bożka, nie mogłem oprzeć się pokusie, aby przekręcić ogromne oczy do wnętrza komory, po czym na powrót skierować je w stronę księży. Nie odezwałem się jednak, ponieważ wydaje mi się, że efekt strasznej ciszy w obecności żywego boga był bardziej imponujący niż jakiegokolwiek słowa. Kapłani po prostu upadli. Osunęli się na podłogę i leżeli tam, drżąc, jęcząc i błagając

Tura, aby się nad nimi zmiłował. Nie powstali przed przybyciem pierwszych wiernych.

Następnie świątynia szybko się wypełniła i zobaczyłem, że słowo Tura zostało umiejętnie oraz dokładnie rozpowszechnione. Wierni przybyli tak jak przedtem. Tym razem jednak było ich więcej. Ustawili się po obu stronach centralnej nawy i tam czekali, a ich uwaga była podzielona pomiędzy drzwiami i Turem. W czasie gdy pomyślałem o odegraniu kolejnej sceny, pozwoliłem wzrokowi bożka podróżować nad zgromadzeniem, aby byli odpowiednio przygotowani na to, co miało nastąpić. Zareagowali dokładnie tak jak kapłani, upadając na posadzkę, jęcząc oraz błagając. Pozostali w tej pozycji do momentu, gdy dźwięki trąb zapowiedziały przybycie Jeddary. Potem wstali chwiejnie na nogi.

Otworzyły się wielkie drzwi, za którymi był dywan oraz niewolnicy. Gdy toczyli go w kierunku ołtarza, dźwięk trąb rozbrzmiewał coraz głośniejsze, a czoło królewskiego orszaku pojawiło się w polu widzenia. Rozkazałem przygotować to w ten sposób, aby spowodować większą widowiskowość, niż była możliwa, gdy wrota otwarły się natychmiast przed początkiem procesji. Mój plan umożliwił widowni ujrzeć orszak kroczącego długim korytarzem, a efekt tego był wspaniały. Najpierw pojawiły się dwa rzędy szlachty, a za nimi wjechał rydwan zaprzęgnięty w dwie banty, na którym znajdowała się lektyka z Vallą Dią. Z tyłu podążał Dar Tarus, jednak wszyscy w komnacie byli przekonani, iż spoglądają na Jeddarę Xaxę oraz jej ulubieńca Saga Ora. Hovan Du znajdował się za nim, a dalej kroczyło pięćdziesięciu młodych mężczyzn oraz tyle samo panien.

Rydwan zatrzymał się przed ołtarzem, a Valla Dia wysiadła z niego i uklękła. Głosy, które śpiewały na cześć Xaxy, ucichły, gdy piękna istota wyciągnęła ręce w stronę Wielkiego Tura, a następnie spojrzała w jego twarz.

– Jesteśmy gotowi, Panie! - zawołała. - Przemów! Oczekujemy słowa Tura!

Westchnienie przebiegło przez klęczący tłum, po czym zamieniło się w szloch. Czułem, że zebrani całkiem nieźle współpracują i wszystko powinno pójść gładko. Przyłożyłem tubę do ust.

– Jestem Turem! - zagrzmiałem, a ludzie zadrżeli. - Przychodzę osądzić lud Phundahl. Po wysłuchaniu mojego słowa będziecie dalej rozkwitać lub zginiecie. Grzechy ludzi mogą zostać zmasane przez dwie istoty, które w moich oczach zgrzeszyły najbardziej. - Pozwoliłem oczom Tura błądzić nad publicznością, a następnie skierowałem je w stronę Valli Dii. - Xaxo, czy jesteś gotowa odpokutować za grzechy własne i swoich ludzi?

Valla Dia spuściła swoją piękną głowę. - Twa wola jest prawem, Panie! - odparła.

– Sagu Orze - kontynuowałem. - Zgrzeszyłeś. Czy jesteś gotów zapłacić?

– Jak Tur sobie życzy - powiedział Dar Tarus.

– Więc moją wolą jest - zagrzmiałem - by Xaxa oraz Sag Or oddali prawowitym właścicielom przepiękne ciała, które ukradli, a ten, którego postać przywłaszczył sobie Sag Or, zostanie nowym Jeddakiem Phundahl i Arcykapłanem Tura. Natomiast kobieta, której formę okupowała Jeddara, z należnym szacunkiem zostanie zwrócona rodzinemu krajowi. Przemówiłem. Ktokolwiek chciałby sprzeciwić się moim słowom, niech odezwie się teraz lub zamilczy na zawsze.

Nikt nie protestował. Byłem przekonany, że tak właśnie będzie. Wątpię, czy jakkolwiek bóg spoglądał kiedykolwiek na łagodniejsze oraz bardziej zawstydzone stado.

Gdy przemawiałem, Gor Hajus zszedł do podstawy posągu, gdzie usunął więzy krępujące ręce i nogi naszych więźniów.

– Zgaście światła! - nakazałem. Drżący kapłan wykonał moje polecenie.

Dia Valla oraz Dar Tarus stanęli obok siebie przed ołtarzem, zanim nastąpiła ciemność. W następnej chwili razem z Gorem Hajusem musieli pracować bardzo szybko, ponieważ gdy usłyszałem cichy gwizd

dochodzący z dołu posągu - umówiony sygnał informujący o tym, że mój towarzysz zakończył swoje zadanie - i zleciłem ponowne rozświetlenie sali, na miejscu mojej ukochanej i przyjaciela stali już Xaxa oraz Sag Or. Wydaje mi się, iż dramatyczny efekt, jaki wywarła na ludziach ta transformacja, był najbardziej zdumiewającą rzeczą, jaką kiedykolwiek widziałem. Więźniowie nie mieli na sobie żadnych sznurów czy knebli i nic nie wskazywało na to, że zostali sprowadzeni w to miejsce siłą. Nie było nikogo, kto mógłby to zrobić. Złudzenie było doskonałe - wszechmocny gest, który po prostu oszalał umysły. Jednak nie miałem jeszcze zamiaru kończyć.

– Słyszeliście, jak Xaxa zrzekła się tronu - powiedziałem. - A Sag Or poddał się osądowi Tura.

– Nie zrzekłam się mojego tronu! - wykrzyczała kobieta. - To wszystko jest...

– Cisza! - zagrzmiałem. - Przygotujcie się na powitanie nowego Jeddaka, Dara Tarusa z Phundahl! - Zwróciłem wzrok w stronę wejścia, a oczy zebranych podążyły za moimi. Wielkie drzwi otworzyły się i stał za nimi mój przyjaciel, jaśniejący w szatach Hora Sana - zmarłego od dawna Jeddaka oraz arcykapłana, którego zwłoki leżące u podstawy bożka obrabowaliśmy godzinę wcześniej. Jak Darowi Tarusowi udało się tak szybko przebrać, jest poza moimi wyobrażeniami, jednak zrobił to, a efekt był piorunujący. W każdym calu wyglądał jak Jeddak, gdy poruszał się powolnie i z godnością przez szeroki korytarz, wzdłuż niebiesko-złoto-białego dywanu.

Xaxa stała się purpurowa z wściekłości. - Oszust! - wrzasnęła. - Złapcie go! Zabijcie! - rzuciła, po czym pobiegła do przodu na spotkanie z nim, jak gdyby chciała zabić go gołymi rękoma.

– Weźcie ją - powiedział Dar Tarus spokojnym głosem i w tym momencie kobieta upadła na podłogę, tocząc pianę z ust. Krzyczała i dyszała, a następnie znieruchomiała. Zła, stara kobieta umarła z powodu

udar mózgu. A kiedy Sag Or zobaczył ją leżącą na ziemi, musiał jako pierwszy zdać sobie sprawę z tego, że kobieta nie żyje i nie było już nikogo, kto mógłby uchronić go przed nienawiścią, która zawsze kumuluje się na osobie ulubieńca władcy. Przez chwilę rozglądał się dziko, a potem rzucił się do stóp Dara Tarusa.

– Obiecałeś mnie chronić! - zapłakał.

– Nikt cię nie skrzywdzi - odrzekł nowy Jeddak. - Odejdź i żyj w pokoju. - Następnie skierował oczy w górę, w kierunku Wielkiego Tura. - Jaka jest twa wola, Panie? - zawołał. - Dar Tarus, twój sługa, czeka na rozkazy! - Przed odpowiedzią pozwoliłem na chwilę imponującej ciszy.

– Niech kapłani Tura, mniejsza szlachta oraz określona liczba gwardzistów Jeddary idą do miasta i rozpowszechnią wśród ludu słowo Tura, aby wiedzieli, iż Tur znów uśmiecha się nad Phundahl, a oni mają nowego Jeddaka, którego Tur bardzo ceni. Niech wyższa szlachta uda się teraz do komnat jeszcze niedawno zajmowanych przez Xaxę i odda cześć Valli Dii, w której idealnym ciele Jeddara nimi rządziła. Mają dokonać niezbędnych przygotowań związanych z jej prawidłowym powrotem do Duhor - rodzinnego miasta kobiety. Tam również znajdą dwójkę osób, która dobrze służyła Turowi i ma mieć zapewnioną przyjaźń oraz gościnę każdego Phundahljanina - Gora Hajusa z Toonol i Vada Varo z Jarsoom. Ruszajcie! A kiedy ostatni z was wyjdzie, niech świątynia pokryje się ciemnością. Ja, Tur, przemówiłem! - Valla Dia poszła bezpośrednio do apartamentów byłej władczyni, a w momencie, gdy zgąsły światła, dołączyłem do niej razem z Gorem Hajusem. Nie mogła się doczekać, aby usłyszeć, jakie rezultaty przyniósł nasz podstęp. Gdy zapewniłem ją, że wszystko poszło gładko, łzy radości napłynęły jej do oczu.

– Dokonałeś niemożliwego, mój wodzu - wyszeptała. - Widzę już wzgórza Duhor oraz wieże mojego rodzinnego miasta. Och, Vadzie Varo, nie śniłam nawet o tym, iż przyszłość może znów rozpościerać przede mną tak szczęśliwe perspektywy. Zawdzięczam ci życie, a nawet więcej.

Przeszkodziło nam wejście Dara Tarusa razem z Hovanem Du i wyższymi dostojnikami. Ci ostatni przywitali nas godnie, choć myślę, że byli oszołomieni, zastanawiając się, w jaki sposób jesteśmy połączeni ze służbą ich bogu. Jestem pewien, iż żaden z nich nigdy nie poznał prawdy. Byli szczerze zachwyceni pozbyciem się Xaxy. I byli zadowoleni, mimo że nie potrafili zrozumieć, dlaczego Tur posadził na tronie byłego gwardzistę, gdyż służyło to oddaleniu od nich boskiego gniewu - od teraz bardzo realnego i przerażającego z powodu cudów dokonanych w świątyni. Jednak arystokratyczne pochodzenie Dara Tarusa sprawiło, że traktowali go z wielkim szacunkiem. Byłem przekonany, że nadal będą tak się do niego odnosić, gdyż był również arcykapłanem i po raz pierwszy od stu lat miał sprawić, że Wielki Tur w królewskiej świątyni przemówi głosem boga, ponieważ Hovan Du oraz Gor Hajus zgodzili się pełnić z nim służbę, dzięki czemu nigdy nie będzie ciszy, gdy przyjdzie pora na wysłuchanie głosu Tura. Widziałem wielkie możliwości związane z rządami Dara Tarusa, Jeddaka Phundahl.

Na spotkaniu, które odbyło się w apartamentach Xaxy, zdecydowano, że Valla Dia powinna odpocząć dwa dni w Phundahl, w czasie gdy niewielka flota przygotowywała się, aby przetransportować ją do Duhor. Dar Tarus przeznaczył apartamenty dawnej Jeddary na użytek dziewczyny oraz dał jej niewolników z różnych miast, którzy mieli zostać zwolnieni ze służby i wrócić z Vallą Dią do jej ojczyzny.

Prawie świtało, gdy znaleźliśmy jedwabne pościele i futra, a przed naszym przebudzeniem słońce było już wysoko na niebie. Gor Hajus i ja zjedliśmy śniadanie z Vallą Dią, pod której drzwiami rozłożyliśmy nasze łóża, aby nie pozostawić jej bez opieki ani na chwilę. Ledwie skończyliśmy nasz posiłek, gdy przybył posłaniec Dara Tarusa wzywający nas do sali audiencyjnej, gdzie zobaczyliśmy niektórych z wyższych oficerów dworskich zebranych wokół tronu, na którym siedział nasz przyjaciel - w każdym calu wyglądający jak cesarz. Przywitał nas serdecznie, wstając i

schodząc z podestu, aby przyjąć Vallę Dię oraz odprowadzić ją do jednej z ławek, umieszczonych dla nas obok tronu.

– Jest jedna osoba - powiedział do mnie - która przybyła nocą do Phundahl, a teraz błaga o możliwość spotkania z Jeddakiem. Człowiek, z którym myślę, iż chciałbyś spotkać się ponownie. - Po czym kazał jednemu ze sług wpuścić oczekującego. Gdy otworzyły się drzwi na drugim końcu sali, zobaczyłem w nich Rasa Thavasa. Nie rozpoznał mnie, Valli Dii oraz Gora Hajusa, zanim nie podszedł niemal do samego tronu, a gdy już to zrobił, na jego twarzy pojawiło się zdziwienie i jeszcze raz szybko spojrzał na Dara Tarusa.

– Ras Thavas z Wieży Thavas w Toonol - zapowiedział oficer.

– Co chce Ras Thavas od Jeddaka Phundahl? - zapytał Dar Tarus.

– Przyszedłem na spotkanie z Xaxą - odpowiedział zainteresowany. - Nie wiedziałem o jej śmierci i twoim wstąpieniu na tron do dzisiejszego ranka. Widzę jednak Saga Ora na tronie Jeddary, a obok niego tę, którą uważałem za Xaxę, choć powiedziano mi, iż ona nie żyje. Jest tutaj również człowiek, który był moim asystentem, oraz Zabójca z Toonol, a ja jestem zdezorientowany, Jeddaku. Nie wiem, kto mnie otacza: przyjaciele czy wrogowie.

– Mów tak, jakby Xaxa wciąż siedziała na tronie Phundahl - powiedział mu Dar Tarus. - Bo mimo iż jestem Darem Tarasem, którego skrzywdziłeś, a nie Sagiem Orem, to nie musisz niczego się obawiać na moim dworze.

– Pozwól mi powiedzieć o tym jak Vobis Kan, Jeddak Toonol, dowiedziawszy się o ucieczce Gora Hajusa z mych rąk, będąc przekonany, że wypuściłem zabójcę, aby go zamordował - wysłał wojowników, którzy zajęli moją wyspę oraz uwięziliby mnie, gdybym nie został wcześniej ostrzeżony. Dlatego przyszedłem w to miejsce błagać Xaxę, aby wysłała swoich ludzi i oczyściła mój dom z Toonoliańczyków, bym miał możliwość kontynuowania moich trudów naukowych.

Dar Tarus zwrócił się do mnie: - Vadzie Varo, ze wszystkich tutaj zebranych jesteś najbardziej zaznajomiony z pracą Rasa Thavasa. Czy chcesz, aby odzyskał swoją wyspę oraz laboratorium?

– Tylko pod warunkiem, że poświęci swoje wielkie umiejętności do łagodzenia ludzkiego cierpienia - odpowiedziałem. - I że nie będzie już ich wykorzystywał do plugawych celów związanych z chciwością oraz grzechem. - Doprowadziło to do dyskusji trwającej godzinami, której wyniki miały niebagatelne znaczenie. Ras Thavas zgodził się na wszystko, czego wymagałem, a Dar Tarus zlecił Gorowi Hajusowi poprowadzenie armii przeciwko Toonol.

Jednak te sprawy, mimo iż niezwykle ważne dla osób bezpośrednio zainteresowanych, nie miały wielkiego wpływu na opowieść o moich barsoomiańskich przygodach, gdyż nie brałem w nich udziału. Na drugi dzień wsiadłem na statek z Vallą Dią i w eskorcie floty phundaliańskiej, ruszyliśmy w stronę Duhor. Dar Tarus towarzyszył nam przez krótką chwilę. Kiedy pojazdy zatrzymały się na brzegu wielkiego bagna, władca pożegnał się z nami. Miał już wchodzić na pokład swego statku i wracać do miasta, gdy nagle wzniósł się krzyk z innej maszyny i szybko rozeszła się informacja, że obserwator wypatrzył coś, co przypominało wielką flotę daleko na południowym zachodzie. Nie minęło wiele czasu, nim sami wyraźnie to zobaczyliśmy - oczywistym było, że pojazdy kierują się do Phundahl.

Dar Tarus powiedział mi wtedy, iż bardzo żałuje, ale nie może zrobić nic innego jak wrócić natychmiast do stolicy z całą swoją flotą, ponieważ nie może poświęcić nawet jednego statku lub człowieka, gdyby okazało się, że mają do czynienia z wrogimi siłami. Nie mogliśmy mieć z Vallą Dią co do tego żadnych zastrzeżeń. Zawróciliśmy więc i pędziliśmy z powrotem w kierunku miasta, tak szybko jak tylko mogły powolne statki Phundalianów.

Nieznajome maszyny dostrzegły nas w tym samym czasie co my ich, po czym zobaczyliśmy, jak zmieniają swój kurs i kierują się w naszą stronę.



Gdy zbliżyły się bardziej, flota podzieliła się na mniejsze jednostki, które przygotowały się do otoczenia nas. Stałem u boku Dara Tarusa, gdy kolory nadciągających statków stały się rozpoznawalne i dowiedzieliśmy się, że pochodzą z Helium.

– Dajcie sygnał i zapytajcie, czy przychodzą w pokoju - nakazał Dar Tarus.

– Chcemy rozmawiać z Xaxą, Jeddara Phundahl - nadeszła odpowiedź. - Sprawa pokoju lub wojny będzie zależeć od niej.

– Powiedz im, że Xaxa jest martwa, a ja, Dar Tarus - Jeddak Phundahl, przywitam dowódcę floty Helium w pokoju na pokładzie mego statku lub pozdrowię go kanonadą z wszystkich moich dział. Ja, Dar Tarus, przemówiłem!

Wielki statek wywiesił białą flagę, a gdy maszyna mojego przyjaciela odpowiedziała tym samym, nieznajomi podpłynęli bardziej, a my mogliśmy zobaczyć ludzi z Helium na pokładzie. Powoli wspaniały wehikuł przybił do naszego mniejszego pojazdu, a grupa oficerów odwiedziła nas, gdy wyrównaliśmy lot.

Byli to dobrze wyglądający mężczyźni, a na ich czele stał ten, którego rozpoznałem natychmiast, chociaż nigdy wcześniej nie widziałem go na oczy. Myślę, że był najbardziej imponującą postacią, jaką kiedykolwiek widziałem, gdy przechodził powoli przez pokład w naszym kierunku - John Carter, Książę Helium, Wódz Marsa.

– Darze Tarusie - powiedział. - John Carter pozdrawia cię w pokoju, choć myślę, że byłoby inaczej, gdyby nadal panowała Xaxa.

– Wypowiedziałeś jej wojnę? - zapytał Dar Tarus.

– Przybyliśmy naprawić to, co złe - odrzekł Wódz. - Ale z naszych informacji wynika, że w przypadku Jeddary można tego było dokonać jedynie z pomocą siły.

– Co złego Phundahl zrobiło Helium? - zażądał odpowiedzi Dar Tarus.

– Zło zostało wyrządzone jednemu z twoich ludzi, a nawet tobie osobiście.

– Nie rozumiem - powiedział Dar Taras.

– Jest na moim pokładzie ktoś, kto może ci to wszystko wytłumaczyć, Darze Tarusie - odrzekł John Carter z uśmiechem. Odwrócił się i przemówił do jednego ze swoich ludzi szeptem, a człowiek ten zaszalutował, po czym powrócił na pokład statku. - Musisz to zobaczyć na własne oczy, Darze Tarusie. - Nagle zmrużył oczy. - Naprawdę jesteś Darem Tarasem, wojownikiem z gwardii Jeddary, rzekomo zamordowanym na jej rozkaz?

– Jestem - odpowiedział Dar Taras.

– Muszę mieć pewność - powiedział Wódz.

– Nie ma co do tego wątpliwości, Johnie Carterze - odezwałem się w języku angielskim.

Jego oczy rozszerzyły się, a gdy skierował na mnie swój wzrok i zauważył jaśniejszą skórę, z której schodził już barwnik, podszedł bliżej, wyciągając rękę w moją stronę.

– Rodak? - zapytał.

– Tak, Amerykanin - odpowiedziałem.

– Byłem niemal zaskoczony - odrzekł. - Jednak dlaczego właściwie miałbym być? Ja tu trafiłem, nie ma powodu, żeby inni nie mogli tego zrobić. A tobie się udało! Musisz lecieć ze mną do Helium i opowiedzieć mi wszystko.

Dalsza rozmowa została zakłócona przez powrót pomocnika, który przyprowadził ze sobą młodą kobietę. Na jej widok Dar Taras wydał z siebie okrzyk radości i skoczył do przodu, a mnie nikt nie musiał informować, że to Kara Vasa.

Mam jeszcze trochę do powiedzenia, ale może nie będę Pana już zanudzał opowieścią o tym, jak John Carter zabrał mnie oraz Vallę Dię do Duhor po zaślubinach Dara Tarusa i Kary Vasy. I o wielkiej niespodziance, jaka czekała na mnie w rodzinnym mieście ukochanej, gdzie dowiedziałem

się, że Kor San - Jeddak Duhor - był ojcem Valli Dii. Oraz o wielkich zaszczytach i bogactwach, jakie spadły na mnie, gdy się z nią ożeniłem.

John Carter był obecny na ślubie i wspólnie zapoczątkowaliśmy na Barsoom stary, dobry, amerykański zwyczaj, gdyż Wódz był moim drużbą. Następnie nalegał, abyśmy kontynuowali go miesiącem miodowym i zabrał nas do Helium, gdzie piszę te słowa.

Nawet teraz wydaje mi się snem to, iż mogę patrzeć przez okno na szkarłatne i żółte wieże bliźniaczych miast Helium. Oraz że spotykam codziennie Carthorisa, Thuię z Ptarth, Tarę z Helium, Gahana z Gathol oraz to niezrównane stworzenie, Dejah Thoris, Księżniczkę Marsa. Jednak dla mnie, jak piękna by ona nie była, inna jest jeszcze cudowniejsza - Valla Dia, Księżniczka Duhor - Pani Ulysses Paxton.